

Carla Mori

KREW,
POT
I ŁZY

Oficyjnka

...nie sat bemo onder staen tydt en wet te veranderen. Dan

Carla Mori

**KREW,
POT
I ŁZY**



Oficynka

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10

11 12 13 14 15 16

17 18 19 20 21 22

23 24 25 26

Posłowie

Podziękowania

Dla mojej córeczki

1

Było chłodne, późnojesienne popołudnie. Staromodny zegar z kukułką, ustawiony przez jej matkę w salonie, wskazywał pięć po szóstej. Pospiesznie naciągała na swoje długie, zgrabne nogi koronkowe pończochy – pre zent od niego. Była już spóźniona, ale wiedziała, że on się tego spodziewa. Zawsze musiał na nią czekać. Zawsze też miał świadomość, że cierpliwość mu się opłaci.

Spotykali się już od kilku miesięcy. Jego nudna żona każdej soboty jeździła do matki i zostawała u niej aż do niedzieli wieczorem. Teściowa nie przepadała za nim i nie nalegała na jego obecność, więc nie musiał specjalnie szukać wymówek. Zwykle udawało mu się wykpić jakimś meczem albo imieninami kolegi. Raz na jakiś czas odwoływał też swój udział w rodzinnym spotkaniu, dosłownie w ostatniej chwili oznajmiając, że musi koniecznie przynieść do domu tony niesprawdzonych wypracowań, które trzeba ocenić najpóźniej na poniedziałek. Na jego szczęście nigdy żadna z nich, ani żona, ani teściowa, nie zadawały zbyt wielu pytań.

Tak więc rozciągała się przed nim wizja kolejnego upojnego weekendu w towarzystwie boskiej Viki. W rzeczywistości dziewczyna nazywała się Weronika, jednak od dziecka to imię wydawało jej się banalne i już w podstawówce wymyśliła sobie ksywkę czy – jak to nazywała – pseudonim. Leszkowi niespecjalnie zależało na nazewnictwie. Tak naprawdę liczyły się tylko jej sięgające prawie do szyi nogi i krągłe pośladki, za którymi zaczynał tęsknić każdorazowo tuż po opuszczeniu hotelu. Dla tego tyłeczka mógł używać w stosunku do niej dowolnego idiotycznego przezwiska. Dodatkową zaletą Viki było to, że jej iloraz inteligencji nie przewyższał zanadto przeciętnie sprytnego szympansa, a więc nie było mu trudno zaimponować jej byle czym ani też, ilekroć miała chęć na amory w czasie zarezerwowanym dla

domu i pracy, zbyć ją jakimkolwiek wykrętem.

Pracę cenił sobie szczególnie, mimo że nie była ona specjalnie satysfakcjonująca, a już na pewno nie dochodowa. O pieniądze jednak nie musiał się martwić. Firma jego żony przynosiła im rocznie okrągłą sumkę, a jej nie zależało na typowo patriarchalnym modelu rodziny. Wystarczało jej poczucie bezpieczeństwa u boku wspaniałego, inteligentnego i wrażliwego mężczyzny, za jakiego go uważała. W istocie był inteligentny, jednak jego wrażliwość ograniczała się do szczególnego wyczulenia na piękno corocznie napływających do jego klas, świeżych, jędrnych i rumianych uczennic. Z każdego rocznika niemal od razu potrafił wyłowić najlepsze kąski i w czasie nieprzekraczającym jednego semestru stawał się kochankiem kolejnej szesnastoletniej panienki, która potrzebowała akurat męskiego wsparcia w połączeniu z mocnymi czwórkami z polskiego.

W tym sezonie zainteresowała go Viki. Miała ciemne włosy i zielone oczy, które sprawiały, że wyglądała jak kotka. O nic nie pytała, nie planowała ślubu ani dzieci. Miała doskonałe ciało i szybko nauczyła się robić z nim niesamowite rzeczy. W zamian nie chciała właściwie niczego. Była idealna. Dlatego właśnie zdecydował się znosić jej drobne wady, jak naiwność, notoryczne roztrzepanie oraz przede wszystkim ustawiczne spóźnianie. Tym razem również siedział już ponad pół godziny w swoim mondeo, zaparkowanym niedaleko jej domu. Czekał i w myślach już szykował się na to, co go niewątpliwie spotka, kiedy tylko zamkną się za nimi drzwi pokoju w Mercure.

Z rozmyślań wyrwało go nagle niecierpliwe stukanie w boczną szybę. Pospiesznie odblokował zamek i do auta wsiadła Viki. Zbyt mocno pachniała swoimi ulubionymi perfumami, a na ustach miała zdecydowanie za dużo pomadki, jednak jej kształtny nosek i zalotne dołeczki w policzkach natychmiast go rozczuliły, przywodząc na myśl śpiące lalki, które uwielbiał w dzieciństwie.

– Jak się masz, dziecinko? Jesteś dziś prawie o czasie – przywitał się, całując ją w upudrowany policzek.

– Przepraszam, to przez ten zegar matki, ciągle się spóźnia – skłamała bez mrugnienia okiem. – Postaram ci się to jakoś wynagrodzić.

Sposób, w jaki to powiedziała, zdradził mu natychmiast, że w tym tygodniu wyjątkowo za nim tęskniła, a co za tym idzie, że może bez przeszkód liczyć na „coś ekstra”. Uśmiechnął się do tej myśli i uruchomił silnik.

– Dokąd panienka sobie życzy?

– Mercure, pokój 615. Najlepiej prosto do łóżka – zachichotała, kładąc mu dłoń na udzie. Zdecydowanie zbyt blisko krocza, jak na przyjacielskie klepienie.

Wiedział dokładnie, co ten gest oznacza, więc uśmiechnął się tylko lekko i mocniej przycisnął pedał gazu.

W hotelu powitał ich znajomy już portier. Miał stalowoszare włosy i jasnobłękitne oczy. Jego twarz nie wyrażała niczego szczególnego. Ilekroć się na niego spoglądało, miało się wrażenie, że nie jest prawdziwym człowiekiem, tylko woskową figurą, której odpowiednie oświetlenie nadaje wrażenie życia. Jednak w miarę jak przyzwyczajają się do stałych klientów, coraz częściej zdarzało mu się nagle uśmiechnąć lub nawet zagadnąć o samopoczucie. Poza tym nigdy o nic nie pytał, co stanowiło dla Leszka nieocenioną zaletę. Mimo że podejrzewał, iż obyłoby się i bez tego, zawsze biorąc klucz od numeru 615, wręczał portierowi banknot „ekstra”. Traktował to jako inwestycję na przyszłość i skrycie liczył na to, że w razie jakichkolwiek kłopotów, pieniądze te pomogą mu zyskać przychyłność personelu hotelowego.

– Witam ponownie szanownych państwa. Czym mogę służyć?

– Weźmiemy pokój sześćset piętnaście. Czy jest wolny?

– Naturalnie, już podaję klucz. W ubiegłym tygodniu przeprowadzono tam niewielki remont. Jestem przekonany, że będą państwo zachwyceni. – Położył klucz na blacie lady wypolerowanej na wysoki połysk. – Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Dziękuję, to wszystko. Życzę dobrej nocy. – Zanim Leszek wypowiedział te słowa, Viki już szarpnęła go za rękaw marynarki, kierując się

w stronę windy. Poczul się poirytowany, jednak tylko głębiej westchnął i bez słowa podążył za dziewczyną.

W obszernej, obitej drewnianą boazerią windzie Viki nacisnęła guzik z numerem sześć i niemal natychmiast dźwig ruszył, postukując miarowo.

– Złóścisz się? – spytała z miną kopniętego szczenięcia. – Jesteś dzisiaj jakiś dziwny... Chodzi o to, że ciągle się spóźniam? Przepraszam, postaram się zmienić, tylko nie bądź zły na swoją laleczkę... – Zrobiła pauzę, żeby zajrzeć mu głęboko w oczy. – Jesteś?

– Nie, Viki, nie jestem na ciebie zły, po prostu mam dzisiaj gorszy dzień. Chyba potrzebuję odrobiny relaksu, miałem stresujący tydzień. To nie twoja wina.

– Potrzebujesz relaksu? – Ożywiła się i puściła mu perskie oko. – Chyba wiem, jak mogę ci pomóc, kochany... – zniżyła głos, nadając mu ciepłą, dźwięczącą barwę. – Daj mi tylko chwilę, a sprawię, że zapomnisz o wszystkich nieprzyjemnościach, jakie spotkały cię w tym tygodniu... a może nawet w tym roku...

Zatrzepotała wytuszowanymi rzęsami i zbliżyła się o pół kroku, tak aby poczuł ciepło jej ciała. Była niesamowicie pociągająca, gdyby tylko mógł, wziąłby ją tu, teraz, w windzie, ale wiedział, że musi się opanować jeszcze przez parę minut. Złapał ją w talii i przyciągnął do siebie. Z zadowoleniem wciągnął do nosa mdły zapach jej perfum.

– Zgoda, poddam się twojej terapii, jak tylko znajdziemy się w pokoju. Możesz mnie leczyć ze świata aż do jutrzejszego południa. Zgadzam się na wszystko – to mówiąc, pocałował ją prosto w usta. A kiedy winda się zatrzymała, wziął ją za rękę jak dziecko i zaprowadził przed jedne z szeregu drzwi. Te, na których widniał mosiężny numer sześćset piętnaście.

Pospiesznie umieścił klucz w zamku, przekręcił, po czym nacisnął klamkę. Zaskrzypiała charakterystycznie, zdradzając niesumienną pracę konserwatora, a ich oczom ukazało się wnętrze pokoju hotelowego. Nie zauważyli niczego nowego, a przecież portier uprzedził ich o niedawnym remoncie. Wszystko

wyglądało jak zwykle. Pokój był prostokątny, z oknem na krótszej ścianie. Po lewej stronie znajdowały się drzwi do łazienki i niewielka szafa. Pod oknem ustawiono stylową komodę, a na niej kryształowy wazon pełen świeżych kwiatów. Po prawej stronie stało ogromnych rozmiarów łóżko zasłane kremową pościelą z bordowymi akcentami. W nogach łóżka rozłożono gładko bordową kapę wykończoną złotym, ręcznym haftem. Całość zestawiona ze złotawymi, winylowymi tapetami prezentowała się fantastycznie, jednak nadal żadne z nich nie widziało śladów remontu czy choćby przemeblowania. Skonsternowani wymienili spojrzenia.

– Dziadek musiał coś pokręcić. Ten remont to chyba nie tutaj, nie? – zauważyła Viki i nie czekając na odpowiedź, dodała: – To ja skoczę pod prysznic, a ty tu na mnie poczekaj, OK? – Klepnęła Leszka obiecująco w pośladek i truchtem pobiegła w stronę łazienki.

Lubiła te ich weekendowe wypadki do hotelu. Przy nim czuła się jakaś lepsza. Spotykała się przedtem z kilkoma chłopakami, ale rówieśnicy jej nie pociągali. Wszyscy, z którymi miała do tej pory do czynienia, mieli pryszczę albo mutację, albo wyglądali jeszcze całkiem jak dzieci. A ona czuła, że potrzebuje prawdziwego, dojrzałego mężczyzny, który jej zaimponuje, który się nią zaopiekuje i potraktuje jak gwiazdę. Podobał jej się jego samochód i drobne prezenty bez okazji. Podobało jej się, że zabiera ją do porządnego hotelu, a nie do mieszkania starszego brata albo do akademika. Żałowała tylko, że nie może się z nim pokazywać w szkole, ale mimo jego wyraźnego zakazu i tak pochwaliła się kilku najbliższym koleżankom. Lubiła, kiedy jej zazdrościły. Często opowiadała im, jak spędzili kolejny weekend, co z nim robiła i na co nowego zdobyła się tym razem. A miała o czym opowiadać. Zaspokajała wszystkie jego fantazje i czasem radziła się przyjaciółek, w jaki sposób to ona może zaskoczyć jego. Miała ciągłą potrzebę wychodzenia mu naprzeciw, udowadniania, że nie jest nudna ani bierna. Seks nie był dla niej tylko przyjemnością. Był tym, w czym czuła się naprawdę dobra, w czym, odwrotnie niż w szkole, prześcigała wszystkich. Cieszyła się, że on to docenia, i miała nadzieję, że dzięki swoim wyjątkowym umiejętnościom zatrzyma go

przy sobie na dłużej.

Kiedy kolejny raz tego wieczoru zmuszony był na nią czekać, poczuł się dziwnie znużony całą tą historią. Nigdy wcześniej nie wątpił w słuszność swoich hedonistycznych upodobań. Ostatecznie nie był przecież byle kim i na pewno bardziej niż inni zasługiwał na obcowanie z tymi wszystkimi, wspaniale młodymi ciałami. Nikomu nie wyrządził krzywdy. Dbał o to, żeby jego żona o niczym się nie dowiedziała, a dziewczętom nigdy niczego nie obiecywał. To nie była jego wina, że czasem brały te spotkania za coś poważnego. Niektóre nawet sugerowały, że powinien poznać ich rodziców albo odejść dla nich od żony. W takich wypadkach najpierw cierpliwie tłumaczył im niedorzeczność takiego scenariusza, a następnie dawał do zrozumienia, że wszelkie próby szantażu są z góry skazane na porażkę, bo i tak niczego nie mogą mu udowodnić. W ten sposób zapewniał sobie ich milczenie, przyjmując za pewnik, że nie będą ryzykowały w obawie o własną reputację. Później zaś w krótkim czasie przygruchiwał sobie następną i jeszcze kolejną. Na myśl o tych tuzinach kociaków, które przewinęły się z nim przez to łóżko, uśmiechnął się i mruknął z zadowoleniem. Wszelkie złe myśli natychmiast go opuściły i pogrążył się w pełnym erotycznego napięcia oczekiwaniu na powrót Viki. Odwiesił marynarkę na stojak przy wejściu i wyciągnął koszulę ze spodni. Usiadł na brzegu łóżka, zdjął pantofle i skarpetki, po czym włożył je do środka i postawił buty koło komody. Rozłożył się wygodnie na bordowej kapie, dłonie splatając pod głową, przymknął oczy i czekał.

„Prysznic” był oczywiście stwierdzeniem umownym. W rzeczywistości nie miała ani powodu, ani ochoty na kąpiel. Gdyby naprawdę weszła pod wodę, oznaczałoby to ni mniej, ni więcej jak tylko zniszczenie misternie przygotowanej fryzury i makijażu. Dodatkowo zmyłaby z siebie perfumy i olejki, którymi dokładnie natarła całe ciało przed wyjściem, oraz naraziłaby lakier na paznokciach dłoni i stóp na odpryśnięcie. Nie, to nie miało sensu. Wyszła z domu niecałe pół godziny temu i na pewno nie ma na niej ani krzty brudu czy potu. Jednak zawsze mówiła: „Skoczę pod prysznic”. Uważała tę

kwestię za konieczną, ponieważ występowała ona w zdecydowanej większości filmów tuż przed rozbieraną sceną. Wątpiła, żeby jakaś prawdziwa kobieta, spoza filmu, faktycznie brała prysznic „przed”. No, chyba że te, które wracały do pokoju w ręczniku i z mokrymi włosami, ale tu również coś jej nie grało. Na pewno wszystkie one miały po prostu cellulit i rozstępy i żaden makijaż ani perfumy nie mogły tego ukryć. Ale to były kobiety z rodzaju „nudne”, jak żona Leszka. Miały obwisłe piersi, a seks uprawiały wyłącznie pod kołdrą i przy zgaszonym świetle. Ona nigdy taka nie będzie. W jej standardach nie mieściło się paradowanie przy jakimkolwiek mężczyźnie bez makijażu. Zwłaszcza „przed”.

Pochłonięta tymi myślami zdjęła minispódniczkę i angorowy sweterek, przypudrowała nosek, wyjęła z koronkowych majtek mało erotyczną wkładkę higieniczną i spisała dodatkową porcją perfum wewnętrzną część ud. Poprawiła swoje krągłe piersi, tak aby sprawiały wrażenie wylewających się z biustonosza, i chwilę pocierała kciukami sutki, aż stały się ciemne i sterczące. Jeszcze raz rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze i z zadowoleniem stwierdziła, że na jego miejscu sama by się zerznęła. Teatralnym gestem odrzuciła na plecy długie, lśniące włosy, wypluła gumę do żucia i stanęła w drzwiach łazienki.

Przez chwilę obserwowała jego nieruchomą sylwetkę na jasnej pościeli. Leżał z zamkniętymi oczyma na łóżku w taki sposób, że stopami niemal dotykał podłogi. Był przystojny. Nie wiedziała dokładnie, ile ma lat, ale wyglądał na dobiegającego czterdziestki. Miał ciemne, gęste, lśniące włosy, gdzieś tam poprzecinane kilkoma zaledwie siwiejącymi pasmami. Była pewna, że golił się rano, jednak o tej porze jego twarz pokrywała już smuga odrastającego zarostu. Pociągał ją. Nie był może rewelacyjnie zbudowany, ale podobała jej się w nim ta nuta delikatności. Nie była w stanie dokładnie określić, czy chodzi jej bardziej o gładkie dłonie, czy może o zmysłowy szept, którym za każdym razem doprowadzał ją do szaleństwa. Ale nie to było teraz ważne.

Korzystając z tego, że jej nie zauważył, najciszej, jak potrafiła, zsunęła ze

stóp modne szpilki i bezszelestnie opadła na podłogę. Na czworaka posuwała się w jego stronę, czując, że z każdym ruchem jej podniecenie się wzmacnia. Zauważył ją dopiero, kiedy bez ostrzeżenia pojawiła się między jego udami. Niecierpliwie odpięła mu pasek i sięgnęła do rozporka jego grafitowych, eleganckich spodni. Podniósł się gwałtownie i złapał ją za nadgarstek. Jednak w chwili, gdy usiadł na łóżku, a obie stopy postawił na miękkiej wykładzinie, zupełnie stracił nastrój na czułą grę wstępną, na jaką zwykle sobie pozwalał. Chciał ją mieć natychmiast. Teraz. Na tej podłodze. Szybkim ruchem rozpiął rozporek, a spodnie i bokserki zsunął poniżej kolan. Był już w pełnej gotowości. Pchnął ją tak raptownie, że upadła na plecy i jęknęła, boleśnie wykrzywiając rękę. Nie zwrócił jednak na to najmniejszej uwagi. Szarpnął za jej śnieżnobiałe, koronkowe figi i niemal natychmiast opadł na nią całym ciałem. Zdezorientowana dziewczyna odsunęła się kawałek w tył, unikając w ten sposób gwałtownego zbliżenia. Nie była do końca pewna, co w niego wstąpiło, czy to jakaś nowa zachcianka, czy rodzaj gry. Próbowwała się bronić, ale z każdą sekundą wyraźniej czuła, że ma ochotę na to samo co on. Jej unik tylko dodatkowo go rozsierdził. Zamachnął się i uderzył dziewczynę na odlew w twarz. Krzyknęła z bólu, a on poczuł, że nigdy wcześniej nie był tak bardzo podniecony. Powtórzył uderzenie. Tym razem z jej idealnie wykrojonych warg popłynęła strużka krwi. Obrócił oszołomioną dziewczynę na brzuch i popchnął w kierunku łóżka. Jedną ręką złapał ją za włosy, drugą boleśnie ścisnął lewą pierś. Teraz już wszedł w nią bez problemu. Przestała się szarpać, a jęk bólu w jednej chwili zamienił się w pomruk zadowolenia.

– Uderz mnie! – zażądała tonem nieznoszącym sprzeciwu, a on bez wahania spełnił jej prośbę. – Mocniej! Mocniej! – domagała się, połykając własną krew i łzy. Otarcia na kolanach i po wewnętrznej stronie ud zaczynały ją piec, a wykręcony sutek bolał niemiłosiernie. Nie wiedziała, dlaczego czuje z tego powodu takie podniecenie. – Jeszcze! Tylko na tyle cię stać?!

Tymczasem Leszek dawał upust swoim zwierzęcym instynktom. Czuł się władcą Viki, jej panem. Mógł z nią zrobić wszystko, cokolwiek zechciał. Rznął ją jak nigdy nikogo przedtem i w ogóle nie odczuwał zmęczenia.

Przeciwnie, im więcej bólu jej sprawiał, im bardziej obcierał w niej członek, tym mocniej czuł, że to wszystko za mało. Tłukł ją rękoma po pośladkach, szarpał za włosy i przyduszał, a w odpowiedzi słyszał jedynie jęki uniesienia i błaganie o więcej. Mężczyzna złapał więc leżące obok spodnie i zdecydowanym ruchem wyjął z nich skórzany pasek. Owinął go wokół ręki, pozostawiając luźny koniec z metalową sprzączką. Tak przygotowany smagnął ją kilka razy po plecach i pośladkach. Z małej ranki na żebrach popłynęło kilka kropel krwi. Viki zawyła z bólu i szarpnęła się, odrzucając swojego oprawcę za siebie. Bez wahania wstała i podciągnęła go do pozycji siedzącej, opierając plecami o komodę. Żadne z nich nie zastanawiało się, skąd w tym pokaleczonym, kruchym ciałku siła, aby niemal podnieść dorosłego mężczyznę. Stojąc nad nim w rozkroku, napłuła mu prosto w twarz i nie czekając na reakcję, dosiadła go z powrotem. Nie protestował, złapał tylko obiema rękami jej piersi i wbił w nie paznokcie. Zabolało ją, jednak uczucie bólu natychmiast przyćmiła nowa fala pożądania. Przytrzymała rękoma jego głowę na wysokości uszu i zaczęła rytmicznie uderzać nią o komodę. Oboje jęczeli w ekstazie, nie mogąc opanować żądz. Kiedy wydawało się, że już dochodzą, Viki chwyciła wazon z kwiatami i uniosła go tuż nad głowę kochanka. Nie przestraszył się, ale przyciągnął ją do siebie i wbił zęby głęboko w jej odsłonięte ramię. Przez chwilę upajała się tym niepowtarzalnym uczuciem zjednoczenia, jakie wywołało w niej ugryzienie. Była niesamowicie napalona. Zamachnęła się i roztrzaskała wazon na głowie Leszka. Odłamki szkła rozprysły się na wszystkie strony, kalecząc przy tym jej piersi i brzuch. Krew płynęła szkarłatną strugą z jego poprzecinanych łuków brwiowych i policzków. Zbliżyła do niego twarz i zaczęli całować się namiętnie, zмирzając wielkimi krokami do ostatecznego spełnienia. W ustach oboje mieli ciepłą mieszankę własnej krwi i potu.

Kiedy skończyli, położyła się na jego pokaleczonej piersi, a spomiędzy jej ud bez końca wyciekał ciepły, piekący strumień spermy. Leżeli wprost na rubinowej, miękkiej wykładzinie i głaskali nawzajem swoje posiniaczone ciała. W chwili gdy odpływali w kojący sen, obojgu przyszło do głowy, co

mogło być nowym elementem wystroju hotelowego pokoju numer 615.

Znużona Klara jechała swoim starym suzuki krajową „jedyneką” z Piotrkowa do Częstochowy. Nie lubiła tej drogi. Planowo trasa miała być częścią autostrady A1, jednak odkąd wybudowano ten odcinek w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, nic się tu nie zmieniło. Z jej obserwacji wynikało, że dwupasmowa szosa była wiecznie zatłoczona, a na tym krótkim przecież odcinku wydarzały się bez przerwy całkowicie paralizujące ruch stłuczki i kraksy. A może nie była to wina samej dziurawej nawierzchni? Może to ona tak bardzo obrzydzała sobie podróże w tym kierunku, że nieświadomie ściągała nieszczęście na innych kierowców? Nie była tego do końca pewna. Jedno nie ulegało jednak wątpliwości. Nienawidziła swojego rodzinnego miasta i wszystkiego, co się z nim łączy. Mdliło ją na samą myśl o tym, że za kilkadziesiąt minut wjedzie pomiędzy martwe zabudowania miasta, żeby oglądać szare i zmęczone twarze krajan. Nie chciała tu być i już od kilku miesięcy udawało jej się unikać tego miejsca. Jednak tym razem nie miała wyboru.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Sikorski specjalnie przydzielił jej tę pracę, żeby przez przedłużające się śledztwo była zmuszona utknąć tu na dobre. Ona jednak zaplanowała to zupełnie inaczej. Miała zamiar opisać wszystko tak szybko, jak to możliwe, i uciec, gdzie pieprz rośnie. Wciąż nie była zdecydowana, czy pokazywać się rodzicom. Z jednej strony wiedziała, że nie będzie to miłe spotkanie. Z drugiej nawet nie chciała myśleć, co się stanie, gdy któraś ze znajomych matki przypadkiem spotka ją na ulicy. A w tej dziurze jest to tak pewne, jak nadejście jutrzejszego poranka. Niecałe dwieście czterdzieści tysięcy mieszkańców pielgrzymkowego miasta znało się nawzajem niemal tak dobrze, jak ludzie w którejś z okolicznych zapyziałych wiosek. Gdzie się nie obejrzeć: wspólna podstawówka, wspólna koleżanka albo wspólny mąż. Dlatego stąd uciekła. Dlatego nie chciała tu wracać. Od

dziecka czuła się tu jak w getcie. Zamknięta i bez końca inwigilowana. A teraz ten koszmar miał wrócić.

Wjeżdżając do centrum, mimowolnie spojrzała w kierunku klasztoru. Wznosił się dumnie ponad miastem już od kilku stuleci. Jego nieoświetlona o tej porze sylwetka wyglądała raczej na warownię lub basztę więzienną, której ponury cień otulał mieszkańców Częstochowy płaszczem wiecznego nieszczęścia. Dodatkowej upiorności dodawała klasztorowi jesienna pogoda. Stalowe, zasnutę nieprzyjawnymi chmurami niebo i mgła działały przygnębiająco i wydobywały z budowli wyłącznie złowieszcze cechy. Mroczny moloch przywodził jej na myśl same złe skojarzenia. Wiedziała, że otoczka stworzona przez paulinów, wiernych i pielgrzymujących jest w istocie tylko przykrywką dla siedliska wszelkiego zła i rozpusty. Jeszcze na studiach rozmawiała z dziesiątkami świadków, którzy potwierdzali prawdziwość różnych miejskich mitów na temat Jasnej Góry. Napisała nawet obszerny reportaż na ten temat, jednak w tym mieście ani w tym kraju nikt nie chciał tego wydać. A szkoda, wprawdzie z pewnością naraziłaby się na klątwę ekskomuniki, ale przynajmniej raz na zawsze zakończyłaby swój romans z Kościołem.

Nie mogła powiedzieć, że nie wierzy w Boga. Wręcz przeciwnie, była jedną z silniej wierzących osób, jakie знаła. Inaczej niż jej nawiedzona rodzinka, wielokrotnie czytała *Pismo Święte* i starała się żyć w zgodzie z niepodważalnym kodeksem moralności, za jaki uważała Dekalog. Nie potrafiła tylko znieść obłudy wysokich dostojników kościelnych. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tylko ona widzi, że ich nauki w rzeczywistości obliczone są wyłącznie na zysk. Nie mogła zrozumieć, co zdaniem świątłych ludzi odróżnia to zbiorowe szaleństwo od ściganych z ramienia prawa sekt i zgromadzeń. Wreszcie nie mogła pojąć, w jaki sposób nieskończone rzesze ludzi nabierają się na ten teatr, który odgrywa się przed nimi już dwa tysiące lat.

Patrzyła na pyszny przybytek rozwiązłości i starała się opanować wzburzenie. Wiedziała, że oboje rodzice powołają się właśnie na Jasną Górę, kiedy będą rozpaczać z powodu jej nieślubnej ciąży. To właśnie żyjący TAM

ludzie będą mieli prawo ocenić jej życie, przezornie przemilczając zastępy dziwek przewijających się codziennie przez klasztor. Ci sami ludzie będą mieli prawo do nakładania na nią kary i moc odpuszczenia jej grzechu cudzołóstwa. Oni też zdecydują, czy jej bękartowi należeć się będzie życie wieczne w niebie. Czy godne będzie ochrzcić dziecko z nieprawego łoża i dołączyć je do stada posłusznych owieczek. Oni w końcu będą chcieli zdominować życie kolejnych pokoleń, nieustannie upominając je średniowiecznym *memento mori*, tak aby nikt z wiernych nie odważył się uśmiechnąć czy choćby podnieść oczu ku Stwórcy. Oni będą strzec prawa i oni będą stanowić prawo, na wieki wieków, amen.

– Dość! Nie mogę się dłużej zadręczać. Przyjechałam tu wyłącznie służbowo i problemy tego miasta mnie nie dotyczą! – skarciła się półgłosem i skręciła na najbliższym skrzyżowaniu, pozostawiając klasztor za plecami. W jednej chwili zrezygnowała z wizyty u rodziców. Przynajmniej na dzisiaj. Zawróciła i skierowała się w kierunku hotelu Grand. Przynajmniej to jedno trzeba przyznać, że redakcja nigdy nie szczędziła grosza na kwaterunek. I dobrze. Należy jej się za te nerwy i upokorzenia. Podkreśliła radio. Lokalna stacja z hitami lat minionych ogłosiła właśnie osiemnastą.

– Nic już dzisiaj nie zrobimy, kochanie – szepnęła w stronę swojego olbrzymiego brzucha. – Dzisiaj poleżysz z mamusią w hotelu na koszt wujka Sikorskiego. I nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zaczniemy pracować od jutra. Komu, jak komu, ale nam na pewno należy się odpoczynek. – Uśmiechnęła się w myślach i wjechała na obszerny parking.

Idąc wolnym krokiem w stronę głównego, jasno oświetlonego wejścia do budynku, rozmyślała nad artykułem. Miała na swoim koncie już dziesiątki podobnych reportaży. Sprawa była prosta i nic nie wskazywało na jakiegokolwiek komplikacje. Jej zadaniem było przeprowadzić krótkie dochodzenie w sprawie nieprawidłowości w rozdysonowaniu budżetu miasta w poprzednim roku. Wiadomo było, że prezydent Kafka po uszy siedzi w układach i układzikach, a ostatnio pojawiły się głosy, że miejsce miały również jakieś przekręty i niedociągnięcia. Miała to sprawdzić. Wytropić,

prześledzić, popytać, dowiedzieć się i opisać. Łatwizna, zwłaszcza że legitymacja dziennikarska znacznie ułatwiała jej wejścia w niektóre miejsca, a błogosławiony stan sprawiał, że ludzie darzyli ją większym niż zwykle zaufaniem. Zastanawiała się tylko, gdzie zacząć. Dokąd się udać? Czy powęszyć najpierw na ulicy i poszperać w starych gazetach? A może walić prosto do gabinetu prezydenta i poprosić, aby pochwalił się zeszłorocznymi inwestycjami? Istnieje spora szansa, że odpowiednio nakierowany, udostępni jej nawet jakąś dokumentację, świadczącą o jego niewątpliwym poświęceniu dla dobra miasta. Ostatecznie będzie teraz liczył na każdą reklamę, bo wkrótce kolejna kampania i wybory, a on na pewno chętnie popierdzi w swój stołek jeszcze jedną kadencję. Dobrze byłoby też uruchomić jakieś stare kontakty. Dzwoniła już do kilku osób. Jak dotąd nikt jej nie odmówił, więc mogła się spodziewać wielu owocnych rozmów, rzucających nowe światło na sprawę. Szczególnie liczyła na jedną panią prokurator. Zuzanna Bachleda była jej przyjaciółką jeszcze z czasów szkolnych i podobnie jak ona nie znosiła kłamstwa i obłudy. Być może dlatego obie panie pracowały w swoich zawodach. Każda na swój sposób codziennie walczyła o sprawiedliwość i zasady. Były z Zuzą w stałym kontakcie i często wymieniały się informacjami. Jednak podczas ostatniej rozmowy telefonicznej Zuza sprawiała wrażenie wyjątkowo zmęczonej i wspominała coś o jakiejś bardzo wyczerpującej sprawie. Klara miała nadzieję, że nie przeszkodzi im to w spotkaniu, i zamierzała umówić się z przyjaciółką na kolację tak szybko, jak to możliwe.

W hotelu panowała niemal absolutna cisza. Obcasy niskich czółenek Klary donośnie stukały o podłogę wykafelkowanego holu, a dźwięk ten odbijał się echem od wyłożonych lustrami ścian. Zza kontuaru w recepcji wychyliła się głowa przyjaźnie wyglądająca, młodziutkiej dziewczyny z uroczo skaczącymi blond kucykami po obu stronach rumianej twarzy.

– Dobry wieczór, w czym mogę pani pomóc? – zaszczębiotała cienkim głosem.

– Nazywam się Klara Wasowska, mam u państwa rezerwację.

– Momencik, tylko sprawdzę. – Dziewczyna wstukała kilka pierwszych liter nazwiska Klary w klawiaturę komputera i po kilku sekundach z promiennym uśmiechem potwierdziła jej rezerwację. – Tak, mamy pokój na pani nazwisko. Jak długo zamierza się pani u nas zatrzymać?

– Na pewno przez kilka dni. Czy to będzie dla państwa problem, jeśli nie odpowiem dzisiaj? – spytała niepewnie.

– Oczywiście, że nie. Proszę nas tylko poinformować wieczorem przed planowanym dniem wymeldowania. Zresztą nie będę pani teraz zatrzymywała, z pewnością potrzebuje pani odpocząć po podróży. Tutaj są pani klucze. Pokój czternaście na pierwszym piętrze. Tam jest winda. W razie pytań proszę dzwonić do recepcji. Wewnętrzny: zero jeden. W pokoju ma pani telefon i barek do dyspozycji, chociaż pewnie niewiele z jego zawartości będzie dla pani odpowiednie. – Tu znacząco spojrzała na ogromnych rozmiarów brzuch rozmówczynie. – A, byłabym zapomniała! W nocnej szafce jest pilot do telewizora, gdyby miała pani ochotę zrelaksować się przed szklanym ekranem. W restauracji na dole mamy codziennie świeżą prasę do dyspozycji klientów. W razie gdyby miała pani jakieś specjalne życzenia, oczywiście służę pomocą. No, ale nie będę pani dłużej zawracać głowy, proszę się rozgościć i odpocząć.

Klarze zdawało się, że recepcjonistka powiedziała to wszystko na jednym wdechu, tak że nikt nie miałby szansy przerwać jej w pół słowa. Uśmiechnęła się tylko, podziękowała i skierowała w kierunku windy.

– Życzę miłego wieczoru! – krzyknęła za nią dziewczyna, jednak Klara już jej nie usłyszała. Była ogromnie zmęczona. Przestała odbierać bodźce ze świata zewnętrznego, kiedy tylko stało się to możliwe. Zależało jej tylko na jednym – jak najszybciej położyć głowę na poduszce i zasnąć.

Tej nocy śniła niesamowite rzeczy. Oglądała swoje dziecko, które nagie, w samej tylko czystej pieluszce, podążało środkiem wybrukowanego dziedzińca, ciągnąc za sobą tłum powykrzywianych z bólu ludzi. Nie mogła dojrzeć twarzy chłopca, ale była pewna, że to właśnie jej syn. Od tłumy bił odurzający odór stęchlizny i brudu, jak od bezdomnych lub starców. Raz po raz ktoś przystawał i patrzył prosto na nią, jakby chciał powiedzieć: „Nie zatrzymuj

nas!". Widok był przerażający, jednak ona z jakiegoś powodu nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Z uporem wpatrywała się w twarze mijających ją ludzi, starając się dociec, dokąd idą i po co. Nie znajdowała jednak odpowiedzi na żadne z tych pytań, a od strony tłumu dobiegał ją tylko radosny śmiech jego przewodnika – jej własnego dziecka.

Zbudził ją telefon. Nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć z okropnych obrazów, które ukazały jej się we śnie, i zaspana szukała dłonią telefonu leżącego na nocnej szafce.

– Klara, to ty? – niecierpliwiał się głos w słuchawce. – Tu Zuza. Słuchaj, gdzie się zatrzymałaś? Może podjadę po ciebie po śniadaniu, co? Mam dzisiaj luźniejszy dzień, możemy skoczyć na kawę i ciastko albo na samo ciastko, albo na sałatkę, jak chcesz. Mogę po ciebie podjechać. To jak?

Zuzanna Bachleda, podobnie jak młoda recepcjonistka, cierpiała na niemożliwy do powstrzymania słowotok. Wynikało to głównie z jej nawyków służbowych, sama zresztą często żartowała, że jest to rodzaj choroby zawodowej. Tłumaczyła, że nie można nie uzależnić się od ciągłego wydawania skrupulatnych poleceń na przemian z wyczerpującymi monologami na temat aktualnie toczącej się sprawy. Po prostu po jakimś czasie człowiek zaczyna przekładać to na życie prywatne, a w wypadku Zuzy przede wszystkim na kontakty towarzyskie. Nie sposób przecież nazwać życiem prywatnym późnych powrotów do ciasnej kawalerki, gdzie czeka na człowieka tylko wierny, acz mocno znudzony życiem kot.

– Cześć, Zuza. Jestem w Grandzie. Jeśli chcesz, możemy się spotkać za godzinkę. Pozwalam się zabrać gdziekolwiek, naprawdę. – Klara wiedziała, że i tak nie uda jej się przeforsować żadnej ulubionej kawiarni. W dyskusji z panią prokurator nawet jej kot, zwierzę z natury stawiające na swoim, nie miał najmniejszych szans.

– Świetnie! To będę za godzinkę, całuję!

Podczas porannej toalety Klary nie opuszczało niemiłe wrażenie, że stanie się coś niedobrego. Nie była do końca przekonana, czy jej przecucie ma

związek ze snem, czy może z powrotem do rodzinnego miasta. Wiedziała, że ciężarne kobiety miewają dziwne sny, zwłaszcza gdy do rozwiązania pozostaje zaledwie kilka tygodni. Starła się otrząsnąć z niedobrego przeczucia i skierować swoje myśli w inną stronę, ale one nie chciały odejść. Takich „niedobrych przeczuc” miała na pęczki jej babcia. Nikt nigdy nie wiedział, skąd się biorą ani czy są prawdziwe. Jedno jest pewne – babcia nigdy się nie myliła i zawsze potrafiła przepowiedzieć dzień, w którym zdarzy się jakieś nieszczęście. Nie przewidziała tylko własnej śmierci, ale Klara od małego podejrzewała, że babcia znała jej dokładną datę i godzinę. Powiedziała jej kiedyś: „Mój dar jest wyjątkowy i zapewniam cię, że nie odejdzie wraz ze mną. Ludzie nie widzą, bo nie potrafią patrzeć. Wiem, że ty potrafisz. Pewnego dnia, kiedy mnie już nie będzie, zrozumiesz i zobaczysz”. Słowa starowinki na długo zapadły jej w pamięć. Jako mała dziewczynka starała się odnaleźć swój dar. Godzinami wyczekiwała, wpatrując się w coś intensywnie i szepcząc pod nosem jak mantrę: „Pokaż się!”. Z czasem zapomniała o tym, bo jej nastoletni instynkt samozachowawczy nie pozwalał na tak daleko posuniętą inność. Teraz jednak pomyślała o słowach babci, zamknęła oczy, żeby wyszeptać swoje zaklęcie... i usłyszała natarczywe pukanie do drzwi.

Otworzyła pospiesznie, szczelnie otulając się szlafrokiem. To recepcjonistka pytała, czy zamierza zejść na śniadanie, i przeproszała, że nie uprzedziła telefonicznie, ale zdaje się, że telefony nie działają. Wyrwana ze swoich rozmyślań Klara szybko dokończyła makijaż. Założyła ciężowe dżinsy i zieloną, bawełnianą tunikę. Na szyi zawiesiła sznur żółtych koralików, żeby trochę rozweselić tę jesienną szarugę. Skropiła nadgarstki odrobiną perfum i stanęła przed lustrem. Efekt nie był może powalający, ale zadowalał ją w stopniu pozwalającym na spotkanie z wyższą, szczuplejszą i bardziej atrakcyjną przyjaciółką. Złapała torbę i w biegu wrzuciła do niej telefon, notes i chusteczki higieniczne. Teraz miała już wszystko. Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w kierunku hotelowej restauracji.

Po śniadaniu wyszła na parking, gdzie czekało na nią złote mitsubishi Zuzy. Pani prokurator właśnie skrupulatnie poprawiała makijaż we wstecznym

lusterku, więc nie od razu zauważyła stojącą przy samochodzie Klarę.

– Cześć, kochana, wsiadaj! – powitała ją, otwierając drzwi od strony pasażera. – Jaki grubas z ciebie, Klarka! Świetnie wyglądasz z tym brzuchem! Jak się czujesz? Opowiadaj, co tak nic nie mówisz?!

Klara powoli wsiadła do auta, moszcząc się wygodnie w skórzanym fotelu, i obrzuciła szybkim spojrzeniem jego właścicielkę. Zuza wyglądała jak zawsze świetnie. Miała na sobie dobrze skrojony żakiet i czarną stylową spódniczkę. Jedwabna, czerwona bluzka idealnie komponowała się z wysokimi, lakierowanymi szpilkami i krwistym lakierem do paznokci. Nienaganny makijaż wieńczyła połyskująca, droga szminka, a w uszach migotały topazy oprawione w białe złoto. Była piękna. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, długie, zgrabne nogi i szczupłą sylwetkę. Kilka piegów na kształtnym nosie tylko przydawało jej wdzięku, a długie blond włosy zawsze wyglądały jak prosto od fryzjera. Klara zazdrościła jej tego. W szkole to ona zawsze uchodziła za tę brzydszą, chociaż raz na jakiś czas zdarzał się koneser, który wolał umawiać się z nią. Dopiero na studiach zauważyła, że zainteresowanie, jakim mężczyźni darzą jej piękną przyjaciółkę, jest jedynie powierzchowne. Chętnie się z nią pokazywali, jednak rzadko zapraszali gdzieś więcej niż dwukrotnie. Obie z Zuzą podejrzewały, że faceci po prostu boją się pięknych, zadbanych i władczych kobiet. Lubią na nie patrzeć, lubią je zdobywać i kolekcjonować, jednak nie proponują im małżeństwa ani nawet trzeciej randki. Boją się zostać zdominowani i nic dziwnego – Zuza potrafiła wprawić w osłupienie każdego, kogo spotkała, a zaraz potem narzucić mu swoją wolę, poglądy i religię. Była niesamowita i dobrze było mieć ją po swojej stronie. Klara uśmiechnęła się do tej myśli i serdecznie uścisnęła przyjaciółkę.

– Jak się masz, Zuza? Rewelacyjne buty, o-sza-łamia-ją-ce! Skąd ty bierzesz te gadzety? – z zachwytem westchnęła Klara.

– A wiesz, tu przecena, tam wyprzedaż, znasz mnie. Mogę nie mieć czasu się przespać, ale wielkiej obniżki jeszcze nie przepuściłam. – Zuza roześmiała się dźwięcznie. – To dokąd jedziemy? Cafe Belg? Porządna herbata i szarlotka

dobrze nam zrobią. To co, w drogę?

Klara wiedziała, że to wcale nie było pytanie, więc tylko skinęła głową. Zresztą pomysł z szarlotką wcale nie wydawał jej się zły. Lubiła Belga. Znajdował się w samym centrum, w jednym z podwórek rzędu starych kamienic. W spokojnej atmosferze, przy dźwiękach dobrej muzyki podawano tam kilkadziesiąt rodzajów kawy i herbaty. Wnętrze było bardzo przytulne, a latem wystawiano stoliki również na zewnątrz. Do tego ta szarlotka...

Po drodze wymieniły kilka niezobowiązujących uwag na temat dziur w nawierzchni, piosenki w radiu i stroju mijanej kobiety. W chwili gdy znalazły się w Alejach Najświętszej Marii Panny, w ścisłym centrum miasta, ich rozmowę przerwał dzwonek telefonu Zuzy.

– Przepraszam cię, muszę. To ktoś z policji – usprawiedliwiła się, zanim odebrała. Przez chwilę Klara mogła obserwować, jak na twarzy koleżanki pojawiają się wypieki. – Dobrze, zaraz będę. – Zuza odłożyła telefon i zwróciła się do ciężarnej przyjaciółki: – Klarka, zmiana planów. Przepraszam cię. Musimy jechać na miejsce przestępstwa. To znaczy tak sądzę, że to było przestępstwo. Przy dobrych wiatrach zrobisz sobie z tego niezły artykuł. Piszesz się?

Klara się pisała. Lubiła pieprzne kawałki, poza tym to były łatwe pieniądze. Napisać szybki artykuł o jakimś krwawym morderstwie, mając najświeższe doniesienia od samej pani prokurator, ubarwione zdjęciami z miejsca przestępstwa – to była bardzo smaczna bułka z masłem.

– Zatem jedźmy. Nie musisz się martwić, nie mam problemów z żołądkiem i nie zamierzam ci zapaskudzić pantofli. Najwyżej przedwcześnie urodzę, ale nie wydaje mi się, żeby junior odróżniał już film grozy od rzeczywistości, więc możemy być spokojne. – Uśmiechnęła się, chcąc sprawiać wrażenie pewnej siebie i zdecydowanej.

Zuza dodała gazu i po chwili obie znalazły się na parkingu hotelu Mercure. Idąc szybkim krokiem w stronę głównego wejścia, Klara mimowolnie zerknęła na triumfujący po drugiej stronie ulicy klasztor. Budził

w niej obrzydzenie i obawę. Odpędziła chmurne myśli i przyspieszyła, nie chcąc pozostawać za bardzo w tyle.

Na miejscu przywitał je komisarz Malinowski. Był to średniego wzrostu, niczym niewyróżniający się mężczyzna. Przy pani prokurator wyglądał jak brzydki karzeł, ale Zuza po prostu należała do kobiet, przy których trudno było wypaść korzystnie.

– Jak dobrze, że pani już jest. Czekaliśmy na panią. Nie wygląda to dobrze. Szczerze mówiąc, zupełnie nie mam pomysłu, co z tym fantem zrobić – nakreślał Zuzie sprawę, zbliżając się do windy.

– O co chodzi, panie komisarzu? Jest jakoś wyjątkowo drastycznie? Ile mamy trupów? Wie pan, nie chciałabym, żeby Klara... Właśnie, byłabym zapomniała. To jest Klara Wasowska, reprezentuje miesięcznik „Na Tropie”, prywatnie – moja przyjaciółka.

Klara nieśmiało wyciągnęła rękę w kierunku policjanta, a ten obrzuciwszy ją podejrziwym spojrzeniem, przywitał ją męskim uściskiem dłoni.

– Jeśli chcemy, żeby w gazetach znalazła się tylko niezbędna, rzetelna relacja z miejsca zdarzenia, radzę nie dopuszczać do sprawy nikogo poza panią Wasowską – ciągnęła Zuza. – Chcę mieć całkowitą pewność, że żadna hiena nie przedostanie się do tego hotelu aż do końca pracy speców. Czy to jasne?

Policjant jeszcze bardziej skurczył się pod spojrzeniem pięknej zwierzchniczki, kiwnął potakująco głową i już w milczeniu poprowadził obie kobiety przed wejście do pokoju 615. Kiedy uchylił lekko skrzypiące drzwi, oczom całej trójki ukazała się scena prawdopodobnej zbrodni. Na miejscu było kilku techników z aparatami fotograficznymi i szeregiem narzędzi przeznaczonych do badania śladów. Zabezpieczano znalezione na miejscu odciski palców i za pomocą lamp ultravioletowych szukano krwi i innych śladów biologicznych. Przedmioty mogące stanowić istotny materiał dowodowy oznaczano kolejnymi numerami i wykonywano szczegółowe fotografie, przy których umieszczano miarkę centymetrową. Wszyscy obecni

pracowali w ciszy i w najwyższym skupieniu, pilnując, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem oraz nie zniszczyć potencjalnych dowodów. Pośrodku pokoju na jasnej wykładzinie leżało dwoje nagich ludzi. Mężczyzna, na oko czterdziestoletni, i całkiem młoda, prawdopodobnie wciąż jeszcze nieletnia dziewczyna. Z odległości kilku kroków wyglądali, jakby po prostu zasnęli. Z wyjątkiem roztrzaskanego na podłodze szkła nic nie wskazywało na obecność kogoś trzeciego. Ich ciała ułożone były swobodnie, przytulone do siebie, a na twarzach obojga malował się spokój i zadowolenie. Męskie ubrania leżały w nieładzie obok nich, co mogło wskazywać na rabunek, ale przy komodzie pod oknem stała równo para eleganckich, męskich pantofli. Zuza była pewna, że powodem bałaganu była co najwyżej żądza niecierpliwej kochanki. Nie widać było krwi. Więc co? Otruli się z miłości? Nie, ten szekspirowski scenariusz jakoś nie pasował jej do namiętnego seksu, jaki niewątpliwie miał tu miejsce tuż przed śmiercią tych dwojga. Może zazdrosny chłopak albo żona denata? Czy on miał żonę? Kim w ogóle są ci ludzie i co tu się, do cholery, zdarzyło?! Zuza spojrzała pytającym wzrokiem na komisarza Malinowskiego, a ten w lot zrozumiał, o co jej chodzi. Dla niego sprawa również była niezwykła. Niezwykła i trudna do zniesienia, tym bardziej że znał tę dziewczynę osobiście.

– Znalazła ich pokojówka. Niecałe dwie godziny temu. Będę osobiście przesłuchiwał ją i resztę personelu, jak tylko skończymy tutaj. Mamy tożsamość obu ofiar. Mężczyzna to Leszek Jabłoński, lat czterdzieści jeden. Żonaty. Nauczyciel polskiego w Zespole Szkół Gastronomicznych. Dziewczyna nazywa się Weronika Dacewicz. Siedemnastolatka z Częstochowy. Prawdopodobnie uczennica denata. Dokumenty obojga zostały znalezione w ich rzeczach osobistych na miejscu zbrodni. W portfelu mężczyzny znajduje się również spora ilość gotówki. Wykluczyłbym zatem napad rabunkowy. Próbuje się skontaktować z jego żoną, ale wygląda na to, że od wczorajszego ranka przebywa poza miastem. – Komisarz szybko recytował z notatnika. – To wszystko, co na razie mamy.

– A przyczyna zgonu? Co im się stało? O co tu w ogóle chodzi? –

dopytywała się zniecierpliwiona Zuza. – Jeśli wykluczemy rabunek, a żona Jabłońskiego jest poza miastem, to jaki mamy motyw? W ogóle możemy mówić o motywie i zabójcy? A może to jakieś chore samobójstwo? Poloniści podobno żyją powieściami, może ten tutaj wcielił jakiś tani romans w życie?

– Właśnie przyczyna zgonu jest tutaj najdziwniejsza, pani prokurator. – Malinowski przybrał nie przenikniony wyraz twarzy. – Lekarz na razie nie może powiedzieć nic ponadto, że obie ofiary zmarły na skutek wykrwawienia... – Nastąpiła chwila ogłuszającej ciszy. Twarz Zuzy zaczęła purpurowieć, a Klara i Malinowski wstrzymali oddech.

– Jak to wykrwawienia? Jak to wykrwawienia?! – najpierw spokojnie, a potem coraz bardziej nerwowo dopytywała się Zuza. – Czy wy słyszycie, Malinowski, co do mnie mówicie?! Postradaliście rozum, Malinowski?! Pomyliłeś notatki, durniu, a teraz robisz ze mnie idiotkę i marnujesz mój cenny czas! Natychmiast uporządkuj ten swój burdel i powiedz mi, co tu się stało!!! Że też tacy imbecyle jak ty dostają takie odpowiedzialne stanowiska! Nie mogę uwierzyć, że miałam cię za rzetelnego i zdolnego policjanta! Jesteś idiotą, Malinowski, słyszysz?! Kompletnym idiotą!

Klara miała wrażenie, że jej przyjaciółka już za krótką chwilę wyląduje na kardiologii ze stanem przedzawałowym. Dawno, jeśli w ogóle kiedykolwiek, nie widziała jej w takiej furii. Nie słyszała też nigdy, żeby Zuza zwracała się do kogokolwiek w ten sposób. Jednak nie mogła się z nią nie zgodzić, że komisarz musiał być tego dnia wyjątkowo roztrzepany, żeby zanotować wykrwawienie się dwóch osób, stojąc na miejscu przestępstwa, gdzie nie było ani jednej kropelki krwi. Nie znajdując innego wytłumaczenia dla jej cholerycznego zachowania, założyła w myślach, że to po prostu... trudne dni... i chcąc załagodzić sytuację, położyła dłoń na ramieniu Zuzy.

– Pani prokurator, myślę, że powinniśmy pójść teraz na jakąś kawę i dać szansę komisarzowi Malinowskiemu i technikom, żeby zebrali dla pani wszystkie dowody. – Zuza powoli zaczęła odzyskiwać normalne kolory na twarzy. Wzięła kilka głębszych wdechów i łagodnie odpowiedziała przyjaciółce:

– Tak, ma pani rację, pani redaktor. Kiedy będę mogła zapoznać się ze szczegółowym raportem biegłego? – zwróciła się, już zwykłym tonem, do komisarza.

Malinowski otarł mankietem pot, który wystąpił mu na czoło, odchrząknął i odpowiedział rzeczowo:

– Po południu będziemy już mieli komplet informacji.

Nie odważył się powtórzyć na głos tego, czego był pewien. Nie zaszła żadna pomyłka. Lekarz wyraźnie powiedział mu przed kwadransem, że przyczyną śmierci w obu tych wypadkach jest nic innego, jak wykrwawienie. On sam nie wiedział, jakim cudem. Fachowiec też nie był w stanie tego wytłumaczyć. Liczył, że wszystko się wyjaśni po dokładnych oględzinach zwłok. Wygląda na to, że wszyscy na to liczyli. Ta dziewczyna była koleżanką z klasy jego córki. Nawet bał się pomyśleć, jak poczują się Dacewiczowie, kiedy poinformuje ich o tym zdarzeniu. Czuł, że ta sprawa będzie dla niego jedną z najtrudniejszych w życiu.

– Będę panią informował na bieżąco. Proszę się nie martwić, wszystkiego tutaj dopilnuję.

– Zgoda, wobec tego nic tu po nas. Żegnam, komisarzu. Mam nadzieję, że w przyszłości nasza współpraca będzie się jednak lepiej układała. – Zuza uścisnęła rękę Malinowskiego, a Klara natychmiast zrobiła to samo. Uśmiechnęła się przy tym nikle, jakby chciała tym wstydliwym grymasem wyrazić nieme przeprosiny za zachowanie pani prokurator. Komisarz odwzajemnił uśmiech i wrócił do swoich obowiązków, a ona, wsłuchując się w oddalający się stukot wystrzałowych szpilek Zuzy, szybkim krokiem podążyła z powrotem w kierunku windy.

Klara rozsiadła się wygodnie przy stoliku w pobliskim barze. Choć dochodziła dopiero trzynasta, na prośbę Zuzy zrezygnowały z szarlotki w Belgu na rzecz czegoś mocniejszego. Lokal o wdzięcznej nazwie Seta i Galareta idealnie się nadawał. Mieścił się tuż przy skrzyżowaniu ulic Waszyngtona i Nowowiejskiego, zaledwie kilkadziesiąt metrów od placu Biegańskiego i ratusza oraz tylko kilkanaście minut spacerem od hotelu Mercure. Samochód Zuzy zostawiły na parkingu niedaleko. Pani prokurator nie zamierzała oszczędzać na i tak wyjątkowo tanich w tym mieście taksówkach, a zdecydowanie potrzebowała czegoś procentowego na skołataną nerwy.

– Dzień dobry, poproszę pięćdziesiątkę wódki... albo dwie – zdecydowała Zuza. – Do tego coś na ząb, może chleb ze smalcem, dobrze? I ogórka. A dla koleżanki... Klarka? Soczek? Herbatkę? Śledzia tu mają rewelacyjnego, chcesz? Albo pierogi? – zwróciła się do przyjaciółki. – To jak?

– To może pierogi. I herbatę bez cytryny.

– No, to dla koleżanki te pierożki i proszę mi nie zamykać rachunku, czuję, że na tym nie koniec. – Zuza puściła perskie oko do barmana, który widywał ją tu już wcześniej. Podejrzewał, że pani prokurator może poprawić tę seteczkę jakimś piwkiem albo nawet dwoma. Seta była dla niej bezpieczną przystanią, z pewnością nie mogła się tu spodziewać żadnego sędziego czy ławnika. Ten lokal był zdecydowanie zbyt tani dla osobistości z jej branży. A ona szczególnie ceniła go za swojską atmosferę, ciekawe menu i brak nadęcia, którego nie cierpiała w drogich, wykwintnych restauracjach. Poza tym wciąż dobrze się czuła w towarzystwie młodzieży studenckiej, która wieczorami tłumnie oblegała lokal. Odejmowało jej to lat i pozwalało odreagować problemy zawodowe. Podświadomie czuła, że sprawa Leszka Jabłońskiego i

tej małolaty będzie kolejnym przewlekłym stresem w jej karierze.

– Co myślisz, Klarka? O tym Malinowskim i w ogóle o... wszystkim? – zagadnęła przyjaciółkę, siadając naprzeciwko. – Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonana, że to nie będzie łatwa sprawa, rozumiesz? Żadnego happy endu, żadnego szybkiego, udanego śledztwa, nic!

– Nie wiem, co o tym myśleć. – Klara oparła łokcie na czerwonej ceracie stolika. – Ale masz rację, wersja twojego komisarza nie wydaje mi się prawdopodobna. Może toksykologia wykaże jakieś paskudztwo we krwi i będziemy mieć jasność. Wiesz, przecież mogli coś razem wypić albo łyknąć, nawet na kilka godzin przed przyjściem do hotelu. Teraz farmacja daje duże możliwości, a w internecie kupisz dosłownie wszystko.

– Masz rację – zgodziła się Zuza. – Też obstawiam raczej mniej lub bardziej świadome samobójstwo. Wiesz, takie nastoletnie myślenie tej dziewczyny. Może zorientowała się, że nie zostawi dla niej żony, i pomyślała: „Skoro nie mogę go mieć, to razem się otrujemy... Jak w tej książce, którą omawialiśmy na polskim...”. Nadażasz? Potem wystarczyło, żeby dostała gdzieś w łapska odpowiedni specyfik i dorzuciła obojgu do drinków. Dalej już przewidywalnie. Hotel, seks i śmierć we śnie. To by tłumaczyło i błogie miny, i w ogóle wszystko.

– No to napisz się za mnie i miejmy nadzieję, że technicy znajdą jakiś liścik pożegnalny, a biegły ślad jakichś prochów we krwi. Ty zamkniesz sprawę, a Malinowskiego wyślesz na urlop. Natomiast ja napiszę artykuł o zgubnym wpływie Szekspira na kondycję psychiczną wykorzystywanych seksualnie licealistek. – Klara wykonała w powietrzu gest wyobrażający nagłówek na pierwszej stronie i zaśmiała się serdecznie. – Tak czy owak, nie ma co, miałyśmy dziś poranek pełen wrażeń. – Ugryzła kawałek pieroga i ponownie, ciut zaczepnie zwróciła się do Zuzy: – Ale zmieńmy temat. Co u ciebie? Jakaś nowa miłość, oprócz tego futrzaka, którego hodujesz w mieszkaniu?

Zuza szybkim ruchem wychyliła drugi kieliszek, lekko się skrzywiła i odgryzła spory kęs chleba.

– Widzisz, właściwie wszystko po staremu. Nie olśnię cię żadnym brylantem na palcu, jeśli o to pytasz – odgryzła się przyjacielsko i zabrała się za ogórka. – Chociaż widuję ostatnio jednego stażystę. Całkiem do rzeczy. Wysoki, przystojny, brunecik. Taki wysportowany, wiesz, w moim typie, ale elegancki, żaden żel. No, ale przecież nie zgwałcę go w biurze, bo jeszcze postanowi zrobić szybką karierę na sprawie o molestowanie seksualne, skierowanej przeciwko starzejącej się prokurator Zuzannie Bachledzie. – Mówiła to półżartem, ale obie wiedziały, że miała ochotę na jakiś romans w biurze albo w ogóle gdziekolwiek. Od dłuższego już czasu narzekała na „wściekliznę macicy”, jak żartobliwie określała tę przykrą dolegliwość. Nie miała nikogo na stałe ani przelotnie już od kilku miesięcy i chociaż nie liczyła dokładnie mijających tygodni, to jej zegar biologiczny uważał ten okres za zdecydowanie zbyt długi. – Nie wiem, Klarka, może powinnam wziąć sobie na utrzy manie jakiegoś niewymagającego mięśniaka, co?

– No wiesz? Bo stracę do ciebie szacunek. Już lepiej zainwestuj w wibrator. Wyjdzie taniej, a ja obiecuję osobiście sponsorować ci baterie, stoi?

– Stoi! Jak cholera! – zgodziła się pani prokurator i lokal wypełnił się ich gromkim śmiechem.

Wracając późnym popołudniem do Granda, Klara rozmyślała o wydarzeniach minionego dnia. Planowała jeszcze dziś spisać część informacji na temat konszachtów miłościwie władającego, zdobytych drogą miniśledztwa wśród starych, acz niezawodnych kontaktów. Sprawa wydawała jej się boleśnie oczywista. Wszystko wskazywało na to, że prezydent Kafka i radni siedzą głęboko w kieszeni klasztoru. Stąd wszystkie nieuzasadnione inwestycje, które bynajmniej nie były obliczone na korzyść miasta i mieszkańców. Pomniki, parki, fontanny, deptak w trzeciej Alei – to wszystko były piękne, lecz nietrafione inicjatywy, nieznajdujące poparcia wśród ludności miasta. Jednocześnie zamykano miasteczko studenckie, kluby, puby i w ogóle wszelkie niesakralne miejsca rozrywki, odstraszać skutecznie przyjezdnych studentów i turystów. Miasto dokładało się rokrocznie do przyjmowania milionów pielgrzymów. Organizowano dodatkowe patrole

policji i straży miejskiej, sprowadzano karetki pogotowia z całego powiatu, zamykano centralne ulice miasta, a kiedy ostatni pątnicy opuszczali granice Częstochowy, miasto na własny koszt organizowało wielotygodniowe sprzątanie. Nie trzeba być ekonomistą, żeby zrobić w pamięci szybki bilans zysków i strat. Klasztor w tym czasie zbierał obfite plony. Pobierał opłaty za wszystko, od miejsc parkingowych dla autokarów, przez noclegi, do toalet. Nie wspominając już o dobrowolnych ofiarach, które każdy grzesznik winien był Najświętszej Paniencie, sprzedaży poświęconych dewocjonaliów i odpłatnych odpustach. Tymczasem miasto powoli dogorywało. Młodzi uciekali, starzy wymierali. Nieliczni próbowali zwrócić uwagę władz na sankcjonowany prawnie terror, jaki Jasna Góra narzucała częstochowianom. Jednak jeśli nawet znalazł się śmiałek, który odważył się własnym nazwiskiem i osobą stanąć naprzeciw pomazańcom Pana, szybko był tłamszony lub przekupywany obietnicą wiekuistego spokoju ducha albo – znacznie częściej – doczesnego dobrobytu. Ona, Klara Wasowska, rodzima dziennikarka śledcza w stanie błogosławionym, zamierzała ujawnić tę sprawę i doprowadzić do jej szerokiego nagłośnienia, jeśli tylko świadkowie i redaktor Sikorski pozwolą. Rzecz jasna miała jeszcze zbyt mało dowodów, żeby zakończyć dochodzenie, ale oczyma wyobraźni widziała już kompletny artykuł na ten temat i upragniony urlop macierzyński, który niewątpliwie jej się należał. W międzyczasie machnie szybki reportaż na temat tajemniczej śmierci nauczyciela erotomana oraz jego nieletniej i nie całkiem niewinnej uczennicy. Może nawet wystarczy na gruntowny remont starego, dobrego suzuki. Uśmiechnęła się do tej myśli, niespiesznie zabierając się do pisania.

Karol skończył właśnie porządkowanie dokumentów i powoli zbierał się do wyjścia. Lubił swoją pracę w kancelarii. Na razie nie powierzano mu żadnych odpowiedzialnych zadań. Zajmował się głównie segregowaniem akt, wprowadzaniem danych do systemu i od czasu do czasu parzył zwierzchnikom kawę. Póki co był to pozornie nic nieznaczący staż, jednak Karol zdawał sobie sprawę, że praca pod okiem tak znakomitej prokurator, jak

Zuzanna Bachleda, nie może pozostać bez echa. Na co dzień nie miał z nią wprawdzie bliskiego kontaktu, jednak starał się być zawsze pod ręką i sprawić, żeby go zauważyła i zapamiętała.

Kariera w prokuraturze była jego marzeniem od czasu późnej podstawówki. Teraz czuł, że jest już bliski całkowitego wcielenia go w życie. Nie zamierzał przepuścić żadnej okazji i starał się z całych sił. Wiedział, że w dzisiejszych czasach w żadnej dziedzinie nie wystarczy tylko bycie ekspertem. Był przekonany, że aby osiągnąć sukces, trzeba być pewnym siebie, byстрыm, inteligentnym, wykształconym i dobrze się prezentować. Nie miał żadnych znajomości w branży, więc zdawał sobie sprawę z tego, że musi być przynajmniej dwa razy lepszy od konkurencji. Pod każdym względem. Dlatego codziennie po pracy udawał się do pobliskiej siłowni, gdzie pracował nad kondycją fizyczną i muskulaturą swojego pięknego ciała. Wiedział, że jest przystojny, i dbał o to, żeby prezentować się jak najlepiej. Podobał się kobietom. Miał nadzieję, że przykuł również uwagę uroczej pani prokurator. Nie był, co prawda, w stanie przełamać się, żeby w tym wypadku zdobywać karierę przez łóżko, miał jednak nadzieję, że jego elegancki garnitur i kształtne pośladki pomogą mu osiągnąć to, czego chce.

W szatni z namaszczeniem zdjął z siebie marynarkę i koszulę, po czym jak najdelikatniej powiesił je na wieszaku. Spodnie złożył wzdłuż kantów i przewiesił przez drzwiczki metalowej szafki. Zmienił skarpetki i naciągnął na siebie sportowe spodenki i luźną koszulkę. Kiedy usiadł, żeby zasznurować buty, rozejrzał się dookoła. Na ścianie tuż przed nim wisiała rozkładówka z jakiejś gazety, przedstawiająca półnagą kobietę na motocyklu. Jej opalone ciało pokryte było jakimś rodzajem oliwki czy balsamu, podobnym w kolorze i konsystencji do bejcy, a jej olbrzymie piersi i wydęte wargi wyglądały na pokąsane przez coś szalenie jadowitego. Motocykl nawet mu się podobał, jednak nie wydawało mu się, żeby to on był tym, co miało przyciągać męską uwagę.

Fotografia przypomniała mu o ciele ze szkoły podstawowej, do której chodził. Pan Andrzej, konserwator, miał w swoim składziku dziesiątki

podobnych obrazków, ponaklejanych jeden przy drugim na odrapanych ścianach w kolorze wymiocin. Wszystkie jego panie były obiektem zazdrości chłopców w całej szkole, dlatego prawdziwym zaszczytem było pomagać mu w pracy. Pół podstawówki prześcigało się, który z uczniów następnym razem będzie mógł pójść po konserwatora lub odnieść z nim coś do składziku. Karol pamiętał, że już wtedy nie interesowała go rozrywka tego typu. Nigdy nie zdołał zrozumieć, co w nich jest takiego fascynującego, żeby narażać się na gniew wychowawczyni i przynosić „świerszczyki” do szkoły. Sam raz tylko wykradł ojcu egzemplarz, żeby pooglądać go z jednym z kolegów, ale zapamiętał jedynie nieestetyczne i wielkie jak u krowy wymiona oraz to, że włosy modelki były rozwiane, mimo że zdjęcie zrobione było bez wątpienia wewnątrz jakiegoś pomieszczenia.

Spojrzał na zegarek. Było dokładnie wpół do siódmej. Miał więc dla siebie sporo czasu. Jako stały klient mógł ćwiczyć tak długo, jak tylko chciał, ponieważ portier i tak zostawał w budynku na noc. Żałował tylko, że Bartek nie może mu dzisiaj towarzyszyć. Jeszcze w kancelarii dostał od niego wiadomość, że przeprasza, ale dzisiaj wybiera się do siłowni trochę wcześniej, bo obiecał matce jakieś wspólne zakupy. Westchnął na myśl o samotnym wieczorze i zaczął się rozciągać. Po kilku minutach rozgrzewki wszedł do właściwej sali ćwiczeń. Było tu kilkanaście różnych sprzętów. Jednak Karol zwykle korzystał tylko z bieżni i roweru treningowego. Ćwiczył przede wszystkim dla kondycji i sylwetki. Nie interesowały go mięśnie jak u Pudziana. Chciał tylko dobrze się prezentować. Zwłaszcza nago. Dwa razy w tygodniu dodatkowo robił ćwiczenia wzmacniające muskulaturę ramion i nóg, jednak ponieważ tego dnia nie wypadła wtorek ani czwartek, od razu wsiadł na rower.

Na wyświetlaczu ustawił liczniki przejechanego dystansu, czasu i spalonych kalorii, po czym zaczął pedałowanie. W trakcie samotnego treningu jego uwagę przykuł fakt, że na podłodze jest nowa wykładzina. Spodobała mu się ta zmiana, ponieważ poprzednia, szara, była już w kilku miejscach poważnie pobrudzona i ogólnie nie prezentowała się najlepiej. Nowa, w

kolorze dojrzałego wina, zdecydowanie bardziej przypadła mu do gustu. Była w pewien sposób czarująca. Miał ochotę jej dotknąć, położyć się na niej, zapaść się między jej pluszowe włókna i wdychać zapach. Tymczasem czuł, że nie może zrobić absolutnie nic innego, jak tylko wpatrywać się w nią, nie przerywając treningu. Znalazł się w jakimś hipnotycznym transie. Pedałował coraz szybciej, gapiąc się przy tym w pobudzającą czerwień u swoich stóp. Poczul, że mu staje. Podniecenie wywołane kolorem wykładziny to była dla niego nowość, ale ucieszył się, że odnalazł dla siebie nowy bodziec. Stopniowo wysiłek fizyczny przeradzał się dla niego w akt seksualny odbywany gdzieś głęboko w podświadomości. Jego nabrzmiąły członek był boleśnie skrępowany przez dopasowane spodenki do ćwiczeń. Karol zaczął dyszeć i jęczeć, trochę na skutek zwiększającego się podniecenia, trochę z powodu coraz szybszego pedałowania i wzmożonego wysiłku. Czuł, że jest na granicy przytomności i świadomości, jednak nie był w stanie przestać ćwiczyć. Przed oczyma miał kobiety z rozkładówek. Prężyły się przed nim i wyraźnie miały na niego ochotę. On jednak tylko patrzył na nie z pogardą, a kiedy któraś zanadto się zbliżyła, uderzał ją na odlew w twarz i obrażał najgorszymi ze znanych mu słów. Podobała mu się ta władza, własna męskość i siła. Podniecały go myśli o nagich, młodych chłopcach, których widział opodal, bawiących się piłką. Z każdą chwilą, kiedy napawał się widokiem ich niewinności i niedojrzałych jeszcze ciał, bardziej się podniecał i z większym uporem odganiał się od tych wszystkich kobiet, niczym od roju brzęczących much. Coraz rzadziej i na krótsze momenty wracał do rzeczywistości, gdzie wciąż i niezmiennie kontynuował swoją rowerową wycieczkę w miejscu. Ta podwójna świadomość szalenie go męczyła i os tatkiem sił spróbował zeskoczyć z roweru, który stawał się jego narzędziem tortur. Próba jednak się nie powiodła. Nie zdołał nawet oderwać dłoni od profilowanej kierownicy. Obrazy w jego głowie przesuwały się coraz szybciej i były coraz bardziej sugestywne. Odbywał teraz, wbrew sobie, stosunek z tymi kobietami. Jedna po drugiej dosiadały go lub ssały jego naprężony do granic możliwości członek. Widział zaciekawione twarze chłopców, którzy przyglądali się tej

orgii i chciał, żeby każdy z nich, po kolei znalazł się w zasięgu jego rąk, ust i prącia. Był zbyt zmęczony, żeby walczyć z tym tabunem napalonych dziwek. Krzyczał tylko w stronę dzieci, żeby podeszły do niego bliżej. Czuł w ustach smak kobiety, a po skroniach spływał mu pot. Gardził sobą i poczuł, że chce umrzeć. Słyszał tylko własny przerywany oddech i kołatanie serca. Kiedy zamykał oczy, miał nadzieję, że to wszystko tylko mu się śni.

Kiedy komisarz Malinowski uważnie rozglądał się po miejscu zdarzenia, nie opuszczało go wrażenie, że coś tu jest nie w porządku. Tego dnia nad ranem odebrano zgłoszenie o martwym chłopcu znalezionym w siłowni. Ów chłopiec okazał się niemal trzydziestoletnim mężczyzną nazwiskiem Karol Kopara, siedzącym na rowerku treningowym w stanie całkowitego stężenia pośmiertnego. Na miejscu nie było nikogo poza zwłokami i cieciem, który zgłosił przykre znalezisko. Nie znaleziono również niczego podejrzanego. Wszystko wskazywało na to, że chłopak dostał zawału, wylewu czy czego tam jeszcze, zemdlął i już nigdy się nie obudzi. Ta przykra, acz rutynowa sprawa nie dawała jednak Malinowskiemu spokoju. Czuł się w tej siłowni dziwnie nieswojo. Poszedłby o zakład, że był już w podobnym do tego miejscu, nie mógł tylko przypomnieć sobie, o które miejsce chodzi.

Wyszedł stamtąd zasepiony. Stał na chwilę przed wejściem do budynku i próbował odgonić od siebie złe przeczucia. Z zadowoleniem odetchnął świeżym powietrzem i zapalając papierosa, rozmyślał nad tym, jak spędzi resztę tego zbyt wczesnie rozpoczętego dnia. W ustach czuł już smak schabowego, który matka na pewno przygotuje na obiad. Pojadą do niej oboje z żoną, kiedy tylko skończy raport na temat wezwania. W każde swoje imieniny zastawiała stół równie obficie jak na święta i mimo że była przecież gwiazdą wieczoru, prawie w ogóle nie siedziała z gośćmi przy stole, tylko ciągle donosiła jakieś smakołyki. Nie pozwalała sobie pomagać, czuła się panią domu i sprawiało jej to widoczną przyjemność. Nikt też nigdy nie odważył się protestować, bo jego matka gotowała jak nikt inny na świecie. Po obiedzie pewnie galaretka na deser, a później zimna płyta i po kieliszku naleweczki na trawienie. Wtedy właśnie dzieci zaczną się nerwowo wiercić. Jego córka lekko się zaczerwieni, kiedy ją spytają, czy ma dzisiaj randkę, a później odpisze na kilka SMS-ów i powie, że musi już iść. W tym czasie

bliźniaki jego brata będą już dawno na podwórku pod blokiem, a bratowa zacznie swoje denerwujące pokrzykiwania na dzieci z balkonu. Ojciec pewnie zaproponuje coś mocniejszego i trzeba będzie odbyć krótką batalię z małżonką. Kiedy już ustalą, że on pije, a ona prowadzi, obie z bratową przesiądą się na kanapę, żeby przy sałatkach obgadywać wspólnych znajomych. Mężczyźni tymczasem zajmą się ciepłąwą żołądkową gorzką, zagryzając jajkiem w majonezie i wędliną. W końcu rozmowa zejdzie na jakiś drażliwy temat, Kościół albo politykę, i to będzie sygnał, że trzeba się zbierać. Na szczęście zdąży się już ściemnić i bliźniaki będą okropnie marudzić, że chcą natychmiast jechać do domu. Wszyscy pożegnają się serdecznie, mama zapakuje każdemu trochę ciasta, sałatki i zimnych nóżek, a on sam lekko przyśnie w drodze powrotnej.

Z tej nad wyraz przyjemnej wizji ocknął się dopiero w chwili, kiedy żar papierosa niebezpiecznie zbliżył się do jego dłoni, a w powietrzu dało się wyczuć woń przysmażanych paznokci. Zaklął pod nosem, rzucił niedopałek na ziemię i dłuższą chwilę pastwił się nad nim, rozsmarowując resztki tytoniu i popiołu po nawilgłej powierzchni chodnika.

– Panie komisarzu, wygląda na to, że mamy świadka! – usłyszał za plecami Malinowski. Kiedy się odwrócił, stał przed nim wysoki i szczupły funkcjonariusz, na którego zmiętej twarzy nietrudno było dostrzec ślady nieprzespanej nocy. Jego podkrążone i opuchnięte oczy, osadzone w szarej, niedogolonej twarzy, błyszczały jednak blaskiem ekscytacji, jakby sam nie mógł uwierzyć, że oto nastąpiło coś, z czego należy się cieszyć.

– Świadka? Świadka czego?

– Dostaliśmy właśnie sygnał z posterunku – raportował młodzik. – Zgłosił się chłopak. Twierdzi, że wie coś na temat śmierci tego tutaj i że jest pewien, że to nie przypadek. Pytałem o niego portiera. Zeznał, że wczoraj po południu był tu ten drugi chłopak. Zwykle przychodzili z denatem o tej samej porze, ale wczoraj było inaczej.

– Świetnie, wobec tego znajdź mi tego chłopaka i umów go na przesłuchanie. Albo najlepiej sam go przesłuchaj, przyda ci się odrobina

rozrywki. – To mówiąc, Malinowski z uśmiechem poklepał chłopaka po plecach, gestem oznajmiającym, że decyzja jest ostateczna i nieodwołalna. Rozdysponował jeszcze kilka poleceń i z poczuciem spełnionego obowiązku oddalił się w stronę służbowego samochodu.

Blady poblask świetlówki nadawał jasnej tapecie pokoiku przesłuchań wygląd zbutwiałej bawełny. Ten niezdrowy, sinawy kolor przywoływał skojarzenie ze szpitalną pościelą albo z twarzą nieboszczyka. Charakterystyczny dla tego typu oświetlenia pomruk przytępił zmysły i z minuty na minutę zdawał się coraz głośniejszy. Zachmurzone, stalowe niebo za oknem dodatkowo ochładzało ten, i tak już surowy, wystrój, na który składało się biurko, szafa i półka z aktami. Nawet paprotka, ulokowana zapewne przez którąś ze sprzątaczek na parapecie, wydawała się tak anemiczna, jakby przygniotły ją wszystkie problemy tego świata. Zieleń jej liści dawno już spłowiła i obecnie przypominała raczej psie wymiociny niż roślinę, która, w założeniu przynajmniej, miała być ozdobna.

Malinowski siedział za biurkiem z łokciami opartymi o blat i wystukiwał numer telefonu. Dłuższą chwilę czekał na połączenie, ale kiedy już miał dać za wygraną, Zuza podniosła słuchawkę.

– Pani prokurator? Tak, właśnie skończyliśmy przesłuchanie. Nazywa się Bartosz Bukowski. Wygląda na to, że jest... nazwijmy to... bliskim przyjacielem denata. Twierdzi, że widział na miejscu kogoś jeszcze, „jakby zakonnika”, tak się wyraził. Świadek jest w stanie dość szczegółowo opisać jego zachowanie i ja uważam, że to, co mówi, ma związek z jakimś okultyzmem... Sam nie wiem. Chciałbym się skonsultować w tej sprawie. W każdym razie chłopak jest zrozpaczony i twierdzi, że to nie może być wypadek, że jego... hm... przyjaciel cieszył się dobrym zdrowiem i regularnie poddawał się badaniom okresowym. Tak, oczywiście, poczekam. Dziękuję, pani prokurator.

Malinowski ze świstem wypuścił powietrze. Wiedział już, że spóźni się na imieniny mamusi. Co więcej, miał prawo przypuszczać, że w ogóle tam nie

dotrze. Gdy tylko pojawił się na posterunku celem spisania raportu, okazało się, że przesłuchanie tego świadka ochotnika nie odbędzie się bez jego udziału. Koledzy z komisariatu poinformowali go już w progach, że dzieciak jest jakiś dziwny i że rozważają konsultację psychiatryczną. To, co usłyszał od niego w pokoju przesłuchań, nie tylko utwierdziło go w przekonaniu, że z chłopakiem jest coś nie w porządku, ale również kazało przypuszczać, że sprawa ma jakieś drugie dno i że prędko nie będzie jej mógł opatrzyć napisem „zamknięta”. Zrezygnowany otworzył teczkę z aktami.

– Bartosz Bukowski, lat dwadzieścia sześć, zamieszkały Częstochowa, ulica Wolności trzy przez pięć – zaczął czytać raport z przesłuchania. – Najpewniej gej albo biseks, nie ma co ukrywać. Jednak notoryczne wypinanie się kolegom szkodzi na głowę i oto mamy jeden z tych przykrych przypadków. Chłopaszek nawet ładny, wypindrzone jak dziewczyna, paznokcie zrobione, włoski przyczesane, dobra perfuma, nie ma co, geju jak nic. I ta koszulka różowa, kołnierzyk krochmalony, lakierki wypicowane... a porządny człowiek teraz musi siedzieć po godzinach przez głupie zeznania padalca! – komisarz dawał na głos upust swoim złym emocjom. Zalecił mu to policyjny psycholog, który twierdził, że zbyt częste tłumienie negatywnych uczuć sprzyja przedwczesnemu starzeniu, frustracji, depresji, nadciśnieniu tętniczemu i chorobie wieńcowej. A Malinowski, który z natury nie mówił zbyt wiele, był według szanowanego doktora w grupie najwyższego ryzyka. Toteż w trosce o zdrowie własne i najbliższego otoczenia korzystał z każdej chwili, żeby – czy to pod prysznicem, czy do lustra, czy jak w tym właśnie momencie: do paprotki – wygarnąć światu, co o nim myśli. – I co on tam? A, już mam, że „Kiedy przebierałem się w szatni po zakończonym treningu, zobaczyłem, że do sali ćwiczeń wszedł ktoś jeszcze” – czytał, umyślnie naśladując delikatny głosik świadka i pokracznie wyginając przy tym nadgarstek. – Sala ćwiczeń, myślałby kto! Siłownia, kurwa, SIŁOWNIA! „Rozłożył na wykładzinie kawałek czerwonej szmatki i kreślił wokół niej tajemnicze gesty dłońmi. Mamrotał przy tym coś, jakby zakłęcie, ale nie słyszałem dokładnie”. – Zatrzymał się i wstał z miejsca, żeby rozprostować

nogi. – Nie słyszał, kurwa, dokładnie i w ogóle nie wie, czy to ma jakiś związek, ale jest pewien, że widział w siłowni ubranego na biało księdza, który modlił się do szmaty na wykładzinie i najpewniej maczał palce w śmierci jego kochasia! Jasne! Maczał palce to on pewnie niejednokrotnie, a może i inne członki ciała, ale czy akurat w tym konkretnym pedale?! Przecież na plebanii ministrantów pod dostatkiem, chętnych i gotowych, aby w imię Pana, za snickersa niewinne pośladki obnażać, tfu! Nie, ja się nie nadaję... – Malinowski zamarł w pół słowa. W drzwiach stała prokurator Zuzanna z miną niewskazującą bynajmniej na nic dobrego. – Pani prokurator, dzień dobry! Nie zauważyłem pani, przepraszam, proszę spocząć, napije się pani herbaty? – Zmieszany funkcjonariusz nie był pewien, ile z jego monologu słyszała piękna zwierzchniczka, postanowił więc udawać, że nic się nie stało. Właściwie wstydził się nie tyle swoich słów czy poglądów, co samego publicznego wystąpienia, którego jedynym, acz nad wyraz wiernym, słuchaczem miała być roślina doniczkowa. Cholera, że też tak się zapamiętał w tym wyrzekaniu w powietrze. Jak mógł nie zauważyć, że już tyle czasu minęło? Powinien się kontrolować, wiedząc, że pani prokurator jest już w drodze. Teraz urocza Zuzanna zapewne będzie miała go nie tylko za idiotę, ale też za wariata! Spuścił niepewnie wzrok, oczekując kolejnych wymówek ze strony czarującej szefowej. Jednak ku jego zdumieniu Zuza uśmiechnęła się tylko i przysunęła sobie krzesło.

– Poproszę. Z cytryną. I proszę mi powiedzieć od razu, o co chodzi z tym świadkiem. Właściwie, czego on jest świadkiem? To znaczy wiem oczywiście, że mówimy o sprawie śmierci chłopaka w siłowni, ale to, że inny chłopak widział w tej siłowni księdza, to jeszcze nie dowód, że popełniono morderstwo, czyż nie? Ja się gubię, panie komisarzu, a pan mnie zna i pan wie, że ja się gubić nie znoszę. Tak że gdyby był pan łaskaw... od początku. – Pociągnęła łyk herbaty i niechętnie odstawiła kubek na biurko. Nie lubiła wystudzonej. W herbacie pociągało ją to, co w życiu – musiała być mocna, słodka i gorąca. Zwykle wlewała w siebie całą od razu i jeszcze kilka chwil później napawała się ciepłem ogarniającym jej wnętrzności. Jednak zdawała

sobie sprawę z tego, że relacja Malinowskiego może trochę potrwać, więc chciała rozciągnąć tę angielską przyjemność chociaż na pierwsze kilka minut.

– Więc... – Nie zaczyna się zdania od „więc”, skarcił się w myślach komisarz. – Świadka Bukowskiego poinformowaliśmy telefonicznie natychmiast po ustaleniu tożsamości denata. W portfelu tego drugiego funkcjonariusze znaleźli dokument plasujący właśnie Bartosza Bukowskiego na szczycie listy osób, które należy powiadomić w razie jakiegoś wypadku. Ponieważ wraz z owym dokumentem znaleziono zdjęcie świadka i numer telefonu, powiadomiliśmy go niezwłocznie. Bartosz Bukowski niemal natychmiast znalazł się na komendzie i domagał się przesłuchania w sprawie. Wysłałem do niego jednego z moich ludzi, którzy zajmowali się dochodzeniem na miejscu zdarzenia. Jednak w trakcie wstępnego przesłuchania pojawiły się okoliczności zmuszające mnie do osobistego udziału w rozmowie ze świadkiem. Stwierdził on bowiem jednoznacznie, że śmierć denata na pewno nie była przypadkowa i że jego zdaniem mamy do czynienia z morderstwem, przy czym nikomu z niżej postawionych funkcjonariuszy nie chciał wyjawić nic więcej. Niestety, kiedy dotarłem do pokoju przesłuchań, żeby kontynuować rozmowę ze świadkiem Bukowskim, okazało się, że o sprawie wie jedynie to, że na miejscu widział mężczyznę w bieli, który zdawał się rzucać jakieś uroki albo w inny sposób zajmował się magią. Problem w tym, że świadek nie chce odstąpić od swoich zeznań i domaga się wszczęcia śledztwa w sprawie o morderstwo dokonane na jego partnerze Karolu Koparze. – Urzędowy styl relacji Malinowskiego był wynikiem wieloletniego pisania raportów policyjnych oraz składania oficjalnych wyjaśnień w różnych sprawach. Był z niego dumny, bo cenił sobie u ludzi rzetelność, konkret i zwięzłość wypowiedzi. Jednocześnie monotony głos, którego celowo używał do raportowania, lekko otumaniał słuchacza i wydłużał mu faktyczny czas relacji, dając wrażenie kompletności przekazywanych informacji, co z kolei skutecznie chroniło Malinowskiego przed nadmiarem pytań szczegółowych. A pytań szczegółowych Malinowski nie znosił. Uważał, że nie po to, do cholery, zmusza się policjantów do

spisywania tych ton raportów, żeby wszyscy dopytywali o szczegóły. Szczegóły bowiem znajdowały się w owych raportach i jeśli kogoś interesowały, to właśnie do raportów należało zajrzeć.

– Jak nazwisko? – chciała wiedzieć Zuza, istotnie wyrwana ostatnim zdaniem komisarza z jakiegoś odrętwienia, zupełnie jak w szkole, kiedy już pierwsze monotonne zdania profesor Depresji, jak ją pieszczotliwie przezywali, kołysały ją do snu na jawie. Jak na złość, geografię mieli zawsze na pierwszej lekcji, a w pracowni zamontowane były buczące świetlówki. Kiedy tylko weszła do pokoju przesłuchań, zauważyła, że tutaj również powietrze przepełnione było buczeniem i charakterystycznym sinawym światłem świetlówek, ale postanowiła nie poddawać się od razu i za wszelką cenę nie wyłączyć się z rozmowy z komisarzem. Stało się jednak inaczej i dopiero to nazwisko wydało się jej dziwnie znajome. – Może pan powtórzyć nazwisko?

– Jan Malinowski – odparł nieco zaskoczony komisarz.

– Nie pańskie, denata – zniecierpliwiała się Zuza i znacząco przewróciła oczami.

– Ach tak – zmieszał się Malinowski. – Karol Kopara, pani prokurator. Tutaj ma pani kompletny raport z miejsca znalezienia ciała oraz z przesłuchania Bukowskiego. Na raport lekarza będziemy musieli...

– Boże! – przerwała mu w pół słowa. – Przecież to mój stażysta! Dlaczego wcześniej nie spytałam o nazwisko. Taki fajny chłopak... Ma pan tu zdjęcia z tej siłowni? – To mówiąc, sięgnęła po teczkę z raportem. – Tak, to Karol... – stwierdziła, wyjmując jedno ze zdjęć martwego chłopaka. – Boże, taka szkoda! Poczekamy na ustalenia lekarza i osobiście zdecyduję o tym, co dalej. Pan wybaczy, że wchodzę w pańskie kompetencje, komisarzu, ale w tej sytuacji potraktuję tę sprawę nieco bardziej osobiście. Nie ma pan nic przeciwko?

– Nie, oczywiście, że...

– Świetnie, w takim razie proszę mnie informować na bieżąco. Ma pan

mój numer służbowy. A teraz żegnam, muszę jeszcze załatwić kilka spraw. Pozwoli pan, że raport zabiorę ze sobą. Chciałabym się temu lepiej przyjrzeć. Do widzenia, komisarzu – zdążyła jeszcze powiedzieć przez ramię, wychodząc z pokoiku przesłuchań.

Malinowski nie mógł wyjść z podziwu dla sposobu bycia tej kobiety. Była jak huragan, jak wulkan. Groźna i nieujarzmiona. Nie znosiła sprzeciwu i taranowała wszystko na swojej drodze. Nie dała mu nawet odpowiedzieć na pożegnanie. Po prostu go zdominowała, a on, szaraczek Malinowski, został w swoim pokoiku z rozdziawioną paszczą, resztą zdania w gardle i zimną już herbatą pani prokurator na biurku. – Wspaniała kobieta... – pomyślał i westchnął.

Klara Wasowska zażywała relaksu w swoim pokoju hotelowym. Tego dnia należał jej się, jak nikomu innemu na świecie. Zapadła się w głęboki, obity pluszem fotel i starała się wyłączyć z zewnętrznego świata. Norah Jones i gorąca czekolada miały jej posłużyć za całe towarzystwo.

Po telefonie od matki była już całkiem pewna, że musi jak najszybciej wyjechać z tego miasta smutku. Kochana mamusia, osoba, która powinna kochać ją miłością bezwarunkową, zadzwoniła godzinę temu, zaczynając rozmowę tonem stanowczym, przerywanym raz po raz rozdzierającym serce szlochem. Zaskoczona Klara nie zdążyła nawet dobrze zebrać myśli, kiedy już było po wszystkim. Głos w telefonie zamilkł, a o odbytej właśnie rozmowie świadczyło już tylko piekące ucho i odrętwiały nadgarstek.

Właściwie powinna była się tego spodziewać. Wiedziała, że matka nie będzie zachwycona faktem, że jej jedyna córka nosi nieślubne dziecko. Wiedziała też, że usłyszy od niej kilka cierpkich słów. Nie przypuszczała jednak, że ich rozmowa odbędzie się w tonie ostatecznego pożegnania. Zupełnie jak gdyby fakt, że zmierza urodzić swoje dziecko, czynił z niej trędowatą i skazywał na wygnanie z łona rodziny. Matka wypomniała jej własną, poświęconą córce młodość. Zaprzepaszczone nadzieje i niespełnione marzenia. To Klara mogła nawet zrozumieć. Nie od dziś wiedziała, że jej pojawienie się na świecie nie było szanownym rodzicom na rękę, zwłaszcza że oboje mieli wybujałe plany dotyczące swojej najbliższej przyszłości. Chcieli się stąd wyrwać, tak samo jak ona. Pewnie dlatego tak bardzo nie mogli przełknąć tego, że jej się to udało. W głębi duszy nigdy nie pogodzili się ze swoim losem i zazdrościli własnemu dziecku, że potrafiło się wyrwać ze szponów smutku. Smutku, w którym oni sami pograżali się po pas i po szyję, codziennie od niemal pięćdziesięciu lat. Wiedziała, że odebrała im szansę na

lepsze życie i poniekąd zmusiła do przyjęcia na ramiona pokutnego worka nieszczęśliwców ufających Panu. Nie winiła ich za to, że nie potrafili się oprzeć indoktrynacji wprowadzonej przez klasztor. Cierpliwie znosiła wszystkie umoralniające kazania i klepała na kolanach wszelkie obowiązujące w domu modlitwy. Nigdy jednak nie straciła nadziei na to, że człowieczeństwo jej rodziców nie zatraciło się zupełnie. Zawsze wierzyła, że ich wszystkie działania to tylko ochronny pancerz, który pozwalał im przemknąć przez życie niezauważonymi, a przez to nienapiętnowanymi, że nie stali się bezmyślnymi robocikami w trybach jasnogórskiej wyroczni. Dopiero dziś dotarło do niej to, przed czym broniła się przez całe swoje dotychczasowe życie. To wszystko była prawda. Jej matka, jej własna matka była w tym bagnie tak samo głęboko jak te miliony pątników, odwiedzających co roku klasztor. Prali jej mózg przez pół wieku, jak w pieprzonej *Mechanicznej pomarańczy*, i udało im się. Przegrała.

Klara westchnęła, próbując odegnąć od siebie te przykre myśli i ulżyć zmęczonemu umysłowi w tym fizycznym niemal cierpieniu. Nie otwierając oczu, postarała się zejść jak najgłębiej w swoją podświadomość, kołysana przyjemnymi dźwiękami dobiegającymi z głośników. Wyobrażała sobie siebie jako małą dziewczynkę. Ubrana była w ulubioną, ręcznie haftowaną, różową sukienkę, wykończoną cienką falbanką. Włosy miała splecione w dwa śmieszne warkoczyki, a na nogach czarne lakierki i białe podkolanówki. Marszczyła trochę piegowaty nosek, kiedy patrzyła na błękitne niebo ponad głową. Obserwowała małe obłoczki, z których jedno na jej oczach zmieniały kształty, a inne po prostu się rozpląwały. Było jej dobrze i ciepło. Niespiesznie zbierała polne kwiaty, układając z nich sporych rozmiarów bukiet. Najbardziej lubiła chabry, ale te najtrudniej było zerwać. Wybierała też wątle maki i złociste mlecze, które zostawiała na jej paluszkach żółtą, lepką roślinną krew. Mlecze zawsze przepraszała. Nie chciała, żeby miały jej za złe, i tłumaczyła, że w wazonie będą wyglądały jeszcze piękniej. Z ogródka dobierała do bukietu kilka margaretek i floksów i z całym naręczem kwiecica biegła do domu. Była taka szczęśliwa.

Niechętnie otworzyła oczy, kiedy usłyszała, że ktoś coraz uporczywiej dobija się do drzwi. Z lekkim ociąganiem odstawiła kubek na stolik do kawy i zaczęła ostrożnie podnosić się z fotela. Wstawanie już dawno zaczęło stanowić problem, podobnie jak przewracanie się na drugi bok we śnie oraz banalne zakładanie skarpetek. Postępująca lustrzyca nie ułatwiała jej codziennych czynności, tym bardziej nie lubiła być popędzana, jak teraz. Natomiast to natarczywe pukanie było zdecydowanie z gatunku popędzających. Zsunęła się na sam skraj obszernego siedziska i jedną ręką odepchnęła od oparcia, drugą asekuracyjnie opierając na podłokietniku. Z niemałym wysiłkiem dźwignęła się do góry i podeszła do drzwi. Zdążyła kilka razy siarczyście zakląć w duchu, zanim w końcu przekręciła gałkę. Za drzwiami, z miną tyleż zniecierpliwioną, co zatroskaną, stała Zuza. Nie czekając na zaproszenie, wtargnęła do środka i ciężko opadła na ciepły jeszcze fotel.

– Co tak długo, Klarka? Sumienia nie masz? Kwitnę pod tymi drzwiami, jak idiotka, zaczynam się martwić, czy cię w ogóle zastałam, a ty nawet nie raczysz koleżance zaproponować jakiejś herbatki. Wstydź się, naprawdę.

Klara przymknęła oczy i w milczeniu policzyła do dziesięciu, oddychając przy tym głęboko. Przez lata ich wspólnej przyjaźni zdążyła się już przyzwyczaić do podobnego zachowania Zuzy. Do jej Zuzocentrycznej postawy, nieznoszącej sprzeciwu, do jej zachowań na granicy chamstwa i prostactwa, do braku wyczucia w kontaktach z ludźmi innymi niż jej podwładni. Westchnęła głęboko i zamknęła drzwi.

– No to czego się napijesz? – spytała, kierując swoje kacze kroki w stronę hotelowego barku. Wyginała się przy tym na boki i lekko powłóczyła nogami. Była już naprawdę zmęczona ciężką Zuzą i Częstochową. „Jeszcze tylko kilka dni. Wytrzymam”, powiedziała do siebie w duchu i bezwiednie pogładziła swój ogromny brzuch.

Po chwili dotarło do niej, że Zuza cały czas mówi, chyba coś opowiada. Wylewa z siebie potoki słów, jak zawsze. Tym razem jednak jej ton wskazuje na to, że jest poważnie zaaferowana podjętym tematem. Klara z całych sił

skupiła myśli i przestroila zmęczony umysł na odbiór świata zewnętrznego. Powoli zaczęła wyławiać i rozróżniać pojedyncze słowa wydobywające się z ponaddzwiękową prędkością z Zuzinych ust.

– ...ta sprawa śmierdzi. Zeznania świadka, nagranie z monitoringu, teraz jeszcze ten raport lekarza. Mówię ci, Klara, że tu dzieje się coś niedobrego. Jeśli założyć, że to było morderstwo... cholera, Klara, morderstwo dokonane na moim stażyście! Rozu miesz, co to znaczy? Klara? Klara! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Klara istotnie słuchała, ale do pełnego zrozumienia, o co chodzi, zdecydowanie brakowało jej początku opowieści. Podniosła w górę obie dłonie w geście nakazującym spokój i zwróciła się do rozgorączkowanej przyjaciółki.

– Zuza, spokojnie. Powoli. Powiedz mi wszystko jeszcze raz. Od początku.

Pani prokurator oblizwała spierzchnięte wargi, odetchnęła głęboko i starając się mówić wolno, głośno i wyraźnie, wyłuszczyła przyjaciółce wszystko to, co wiedziała o sprawie.

Brat Tadeusz pospiesznie kierował swoje kroki w stronę długich kamiennych stopni, prowadzących do jego celi. Był z siebie zadowolony. Do zakończenia zadania został mu już tylko jeden element. Ostatnia cegielka budowli Nowego Przymierza. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o zakończeniu swojej misji. W końcu będzie mógł dostąpić zaszczytu realnego obcowania z Panem. Ta myśl dodawała mu otuchy i wiary.

Znalazłszy się u szczytu schodów, rozejrzał się po surowym korytarzu i zdecydował pomodlić się dziś tutaj. W panującym półmroku jego biała szata z kapturem niemal całkowicie zlewała się z otoczeniem. Z namaszczeniem odstawił na marmurową posadzkę swoją skórzaną torbę, raz jeszcze ważąc w rękę jej bezcenną zawartość. Klęknął na obu kolanach przed krucyfiksem, wiszącym na krótszej, pobielonej wapnem ścianie, i pogrążył się w modlitwie. Chciał podziękować swojemu Panu za to, że dziś również otoczył go opieką.

Wiedział, że to, co robi, jest Jego wolą i jedyną drogą do ukazania światu Prawdy.

Modląc się w skupieniu, poczuł znajome ciepło w okolicy serca. To On ogarniał go swoją nieskończoną mocą, napełniając swego sługę siłą do uczynienia tego, co nieuniknione i ostateczne. Tadeusz poddawał się Jego woli i z radością służył Jego dziełu. Z pełną świadomością pragnął być narzędziem w rękach Największego i swoim postępowaniem świadczyć o Jego wielkości. Napawał się więc ciepłem, które go ogarnęło, kiedy szeptał słowa modlitwy, i pokładał swoje nadzieje w Panu.

Kołyszący się z lekka cień jego zgarbionej sylwetki miękko przesunął się po ścianach, delikatnie drżąc od stłumionego blasku samotnej świecy, ustawionej tuż pod krzyżem. Jej słaby płomień oświetlał nieznacznie wygładzoną wewnętrznym spokojem twarz paulina, skrytą pod obszernym kapturem, jego ledwo poruszające się wargi i przymknięte powieki. Świeca rzucała też blask na coś jeszcze. Coś, co mogłoby bez trudu ujść uwagi niewprawionego obserwatora, a co tu, w tym miejscu kultu, miało szczególne znaczenie. Chrystus pozbawiony płaszcza, z głową ukoronowaną cierniami i dłońmi przybitymi do ramion krzyża. Z pozoru krucyfiks, jakich setki tysięcy wisiało w polskich kościołach, domach i szkołach, jakich miliony zdobiły pierś katolików w całym kraju. Jednak nie był to zwykły krzyż. Ten konkretny był wiernym odwzorowaniem krzyża papieskiego – feruli.

6

Klara na powrót zapadła się w pluszowy fotel i mocno zacisnęła powieki. Próbowwała przywołać przyjemny obraz, z jakiego brutalnie została wyrwana. Wiedziała jednak, że sielankowa fotografia, wewnątrz której znajdowała się jeszcze kilkadziesiąt minut temu, różowa sukienka i pachnąca słońcem łąka, musi teraz ustąpić miejsca znacznie mniej przyjemnej wizji.

Informacje, jakie przed chwilą przekazała jej Zuza, pozostawiły w jej umyśle sporo znaków zapytania, nad którymi jako reporter śledczy nie mogła przejść do porządku dziennego. Z jednej strony czuła potrzebę zaangażowania się w tę sprawę i pomocy przyjaciółce, zwłaszcza że wraz ze śmiercią ulubionego stażysty śledztwo stało się dla Zuzy nieomal sprawą osobistą. Z drugiej jednak strony chciała ze wszystkich sił przewyciężyć swoją wrodzoną ciekawość, dokończyć trzymające ją tu sprawy i jak najszybciej odciąć się od rodzinnego miasta i wszelkich smutnych kwestii, jakie się z nim wiązały. Ale jeśli Zuza się nie myliła, to zdarzenia ostatniej doby będą miały ogromne konsekwencje.

Z raportu, jaki przyniosła ze sobą pani prokurator, wyłaniał się obraz przedziwnego zbiegu okoliczności, który, jeśli wierzyć jednemu świadkowi, mógł okazać się niezupełnie przypadkowy. Obecność na miejscu zdarzenia jakiegoś mnicha lub zakonnika wydawała się co najmniej dziwaczna, zwłaszcza że – jak z całą stanowczością zeznawał Bartosz Bukowski – nie znajdował się on tam w celach, w jakich zwykle korzysta się z siłowni. Opis działań „mężczyzny w bieli”, jak roboczo nazywał zakonnika raport, był w miarę dokładny, choć niepełny.

Zdaniem świadka po wejściu do sali ćwiczeń mnich ukląkł na oba kolana, opierając dłonie na wykładzinie. Przez chwilę pozostawał w tej pozycji, żeby w końcu przysiąść na piętach i sięgnąć do dużej skórzanej torby, którą miał ze

sobą. To, co z niej wyjął, przypominało nic innego, tylko kawałek purpurowego materiału. Rozłożył go z namaszczeniem na podłodze przed sobą, po czym pochylił się i rytmicznie kołysząc ciałem w przód i w tył, zaczął powtarzać jakieś zaklęcia. Bukowski nie dosłyszał, niestety, dokładnych słów, jednak był przekonany, że to było jedno, góra dwa zdania powtarzane w nieskończoność, jak mantra. Mnich miał zamknięte oczy i ledwo poruszał ustami. Po kilku minutach do modlitwy dołączył wymachy ramionami, jakby chciał coś napisać wielkimi literami w powietrzu przed sobą. To wszystko razem wyglądało jak odczynianie uroku lub rzucanie zaklęcia i świadek był pewien, że nigdy niczego takiego nie widział. Kiedy mężczyzna w bieli skończył swoje przedstawienie, pochylił się i nabożnie ucałował najpierw szmatkę, a następnie wykładzinę wokół niej. Zaczął od góry, potem na dole, a dwa kolejne pocałunki złożył po lewej i po prawej stronie od materiału. Później złożył go na czworo i delikatnie odłożył do torby. Klęczał jeszcze przez chwilę ze zwieszoną głową, a w końcu wstał i zwyczajnie wyszedł, nawet nie rozglądając się wokoło. Bukowski widział wszystko przez szparę w drzwiach szatni. W pierwszej chwili myślał, że ktoś robi mu kawał, później, że to prawdziwy ksiądz, a na resztę przedstawienia patrzył z czystej, ludzkiej ciekawości. Wydało mu się ono tyleż dziwne, co śmieszne, i potraktowałby je pewnie jako zabawną anegdotę, gdyby nie tajemnicze zabójstwo, którego ofiarą padł Karol Kopara, prywatnie jego partner.

Klara westchnęła. Sama obecność mnicha-magika w siłowni nie była jeszcze dowodem zabójstwa. Zarówno ona, jak i Zuza wiedziały o tym doskonale. W tej historii było jednak jeszcze coś, co nie dawało im spokoju. Punktem wyjścia dalszych dociekań było odnalezienie owego tajemniczego mnicha. To nie ulegało wątpliwości. Jego obecność w sali ćwiczeń, jak również to, że w chwili śmierci Karol Kopara był w budynku zupełnie sam, potwierdzało nagranie z monitoringu. Należało zatem wykluczyć, że zrozpaczony kochanek miał przywidzenia, i jak najszybciej ustalić tożsamość podejrzanego duchownego.

Chcąc wprowadzić swoje myśli na właściwy tor, Klara podniosła się i zaczęła krążyć po pokoju. Bose stopy trochę jej zmarzły, co stanowiło miłą odmianę po wielotygodniowym zmaganiu się z opuchliwą kończyną. Bolał ją kręgosłup i czuła ogólne zmęczenie i osłabienie. Z całych sił próbowała się skupić na rozwiązaniu zagadki, jednak czuła, że umyka jej coś ważnego. Może gdyby była w lepszej kondycji, łatwiej byłoby jej połączyć wszystkie fakty, tymczasem nie mogła skoncentrować myśli na niczym innym niż jej obolałe stawy i wciąż powiększający się brzuch. Gdyby tylko mogła się wyspać... Ale nie mogła... I zdawała sobie sprawę, że ten stan permanentnego niewyspania utrzyma się jeszcze dobre kilka miesięcy, kiedy już dziecko będzie na świecie.

Zrezygnowana podeszła do lustra. Opierając łokcie na stylizowanej na antyk toaletce, odchyliła z czoła włosy i wpiła koniuszki palców w niezbyt dokładnie ułożoną fryzurę. Przez chwilę nie myślała o niczym konkretnym, nie przestając masować kolistymi ruchami skóry głowy. Ten sposób na poukładanie myśli odkryła jeszcze w liceum, kiedy to nadmiar przedmiotów ścisłych powodował u niej krótkotrwałe stany depresyjne, a próba przyswojenia zasad dynamiki niezmiennie kończyła się czymś, co obie z Zuzą nazywały torsjami mózgu. Coś podobnego odczuwała również teraz. Żałowała tylko, że nie może już liczyć na sprawdzian poprawkowy. Egzamin dorosłego życia trzeba zdawać w pierwszym terminie.

Wciągnęła duży haust powietrza i popatrzyła w lustro. Jej oczom ukazała się szara twarz kobiety wkraczającej w średni wiek. Zwykle błyszczące, oliwkowe oczy były teraz zupełnie matowe. Kąciki ust opadały po obu stronach, wyrażając grymas bólu i rezygnacji. Makijaż miała trochę rozmazany, co potęgowało efekt zmęczenia, wywołany już i tak dość sugestywnie ciemnymi kręgami pod smutnymi oczyma. Przetarła twarz dłońmi.

– Chyba zaczyna do mnie docierać, co znaczy śmierć z wycieńczenia – powiedziała do siebie na głos. Ponownie oparła czoło na dłoniach i czując mieszankę wstydu i żalu, próbowała opanować niepohamowany i całkowicie nieracjonalny atak śmiechu.

Raport lekarza sądowego już drugi raz w tym tygodniu budził zdziwienie Zuzanny. Skrycie wierzyła, że jeśli opowie komuś o swoich wątpliwościach, wyrazi głośno swój sprzeciw, to sprawy same zaczną układać się w jej głowie. Jednak tym razem wizyta u Klary niczego jej nie rozjaśniła. Przeciwnie, kiedy na głos wypowiedziała swoje obawy, nabrały one jakby bardziej realnego kształtu i nie dawały się już zracjonalizować.

Weszła do windy i nacisnęła nadpalony zapalniczką przez jakiegoś nastoletniego wandala przycisk z numerem osiem. Cieszyła się, że jest już w domu. Nie mogła się doczekać, kiedy nareszcie zdejmie szpilki i garsonkę, żeby w końcu zażyć relaksującej kąpieli. Nic tak nie poprawia kobiecie nastroju jak długa, gorąca i aromatyczna kąpiel. No, może poza winem, ale dziś nie mogła się upić. Przed nią była jeszcze nierozwiązana sprawa. Musiała być skupiona i przytomna, a wino tylko by ją rozleniwiło.

Kiedy winda zatrzymała się na właściwym piętrze, a jej chromowane drzwi rozsunęły się ze znajomym Zuzie łoskotem, do jej uszu dobiegł dźwięk dzwonka i odgłos szybko oddalających się kroków.

– To pewnie jakiś żartowniś – pomyślała, słysząc, jak ktoś pędem zbiega ze schodów. Otworzyła torebkę i nie patrząc przed siebie, skierowała się w kierunku drzwi do własnego mieszkania, obiecując sobie w duchu, że zacznie wkładać te cholerne klucze zawsze do tej samej kieszonki. Kiedy w końcu wymacała dłonią potężnych rozmiarów pęk kluczy, stała już na wycieracze. Wybrała właściwy i skierowała go w stronę górnego zamka. Wtedy dopiero zobaczyła kopertę wetkniętą w niedużą szparę między drzwiami a framugą. Pewna, że to ulotka promocyjna któregoś z banków lub funduszy emerytalnych, sięgnęła po nią niechętnie, drugą ręką przekręcając klucz w jednym, a potem drugim zamku. Otworzyła drzwi i w ciemności odnalazła włącznik światła. Kiedy szklana kula zawieszona przy suficie rozświetliła się blaskiem stuwatowej żarówki, Zuza zerknęła na trzymaną w ręku kopertę i odczytała starannie wykaligrafowane: „Do wyłącznej wiadomości pani prokurator Zuzanny Bachledy”. Niestety pole nadawcy pozostało puste.

Komisarz Malinowski drżącą dłonią odkładał na widełki słuchawkę telefonu. Ten przedpotopowy aparat będący na wyposażeniu posterunku przypominał mu czasy, gdy telefonów używano wyłącznie w ważnych sprawach. Drażniący dźwięk dzwonka, do złudzenia przypominający terkotanie budzika, obwieścił mu w życiu wszystkie złe wiadomości, jakby chcąc go wybudzić ze zbyt udanej rzeczywistości. Przez telefon identyczny z tym, który teraz stał na jego biurku, dowiedział się o śmierci swojego ukochanego dziadka. Głos w słuchawce doniósł mu też, że jego żona i córka uległy wypadkowi oraz że ojciec miał zawał serca. Właściwie przez całe jego dorosłe, a zwłaszcza zawodowe życie dźwięk telefonu zwiastował mu same czarne wieści. Tym razem jednak, mimo że zanim odebrał, był pełen najgorszych przeczuc, nic złego się nie stało. Wręcz przeciwnie, to, co przekazał mu rozmówca, mogło znacząco wpłynąć na jego policyjną karierę.

Już w kilka minut po tym, jak prokurator Bachleda opuściła pokój przesłuchań, kojącą ciszę, która go wypełniała, przerwał natarczywy dźwięk telefonu. Malinowski niezwłocznie podniósł słuchawkę, a telefonistka powiedziała mu, że przekierowuje rozmowę z doktorem Janiakiem w sprawie śmierci Karola Kopary. Dla Malinowskiego ta sprawa stała się priorytetowa już wtedy, gdy przesłuchiwał jedyne go świadka. Nienawidził pedałów. Zwłaszcza tak oczywistych pedałów jak ten. Za każdym razem, kiedy miał styczność z homoseksualistami, czuł, że cierpiała na tym jego niepodważalna męskość. Przestawał być dumny ze swojego gatunku. Czuł wstyd i głęboką pogardę dla tych odrażających kreatur, za jakie uważał ludzi o odmiennej orientacji. Zwłaszcza mężczyzn, choć nie zasługiwali oni już na takie miano. Tracili do niego prawo automatycznie, kiedy choćby pomyśleli o wsadzeniu interesu w dupsko któregoś z kolegów. Na samą myśl o tym przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Chciał jak najszybciej doprowadzić śledztwo do końca

i opatrzyć teczkę napisem „zamknięto”, żeby już nigdy nie usłyszeć nazwiska tego Bukowskiego. Jednak od chwili, kiedy po wyjściu pani prokurator zorientował się, kim naprawdę była ofiara, postanowił być bohaterem, który pomoże pięknej zwierzchnicze ustalić wszystkie okoliczności śmierci jej stażysty, przy okazji nabijając sobie u niej dodatkowych punktów za pełen profesjonalizm, skuteczność, a także za tak zwane człowieczeństwo. Podwoił więc czujność i godząc się na nieodwracalne utracenie kolacji u mamusi, postanowił, że TA sprawa będzie miała dla niego największy priorytet.

Teraz gdy odkładał słuchawkę stalowoszarego telefonu z tarczą, czuł na ciele znajomy dreszcz podniecenia. Lekarz sądowy przedstawił mu pokrótce wyniki swoich oględzin. Dokładny raport był już w drodze na komisariat. Według patomorfologa, z którym częstochowska policja współpracowała od lat, Karol Kopara zmarł na skutek skrajnego wycieńczenia i odwodnienia organizmu. Nie ulegało wątpliwości, że bezpośrednią przyczyną śmierci był nadmierny wysiłek fizyczny. Jednym słowem stażysta prokurator Bachledy zatrenował się na śmierć.

Taka przyczyna zgonu już sama z siebie wydawała się co najmniej dziwna. Jednak nie ona spowodowała u komisarza przyływ adrenaliny. Malinowski był przecież na miejscu zdarzenia i dokładnie zapamiętał dystans, jaki wyświetlił się na urządzeniu sprzężonym z rowerkiem treningowym. Nie był to wynik imponujący jak na kogoś, kto zdaniem świadka bywał w siłowni przynajmniej kilka razy w tygodniu. A z całą pewnością nie był to dystans, który u średnio nawet wysportowanego człowieka przed trzydziestką mógł spowodować nagłą śmierć z wycieńczenia.

– A niech to szlag! – zaklął pod nosem komisarz. Szybkim krokiem podszedł do drzwi i wychyliwszy się na korytarz, wrzasnął: – Młody! Natychmiast do mnie!

W kilka sekund później w drzwiach stanął ten sam młody funkcjonariusz, który rano jako pierwszy przesłuchiwał świadka. Twarz miał wymiętą, a oczy podkrążone. Jednak mimo widocznego zmęczenia, trzasnął energicznie obcasami, zamierzając się zameldować. W tej samej chwili Malinowski uniósł

prawą dłoń i wypalił, pomijając wstępy:

– Bukowski miał rację. To nie może być przypadek! Ktoś pomógł pedałowi umrzeć i dowiem się, kto to był. – Uśmiechnął się i wycełował wskazujący palec w pierś młodego funkcjonariusza. – Wiesz, jaka jest przyczyna zgonu?

– Niestety nie, panie komisarzu.

– Pedał się zapedałował! Rozumiesz? Zapedałował się na śmierć! Czyż to nie poetycki dowód na homofobię społeczeństwa? – Malinowski rozciągnął pełne wargi w szerokim, ironicznym uśmiechu.

– Pan wybaczy, panie komisarzu, ale nie rozumiem – spieszył się młodzik. Niezbyt pewnie czuł się przy starszym wiekiem i rangą oficerze, zwłaszcza gdy ten niesmacznie żartował sobie z niemal ciepłego jeszcze denata.

– Dla mnie to jasne. Komuś nie spodobał się jego sposób na życie i postanowił go zaciupać. Wymyślił sobie do tego nad wyraz zabawny scenariusz i miejsca przestępstwa, gdzie upozorował śmierć swojej ofiary tak, jakby była ona wynikiem nadmiernego pedałowania. Chwytasz dwuznaczność, młody? – Ponownie zachichotał, nie próbując nawet ukryć tego nieprzystojnego zachowania. – Mniejsza jednak o jego poczucie humoru. Pośmiejemy się wszyscy, kiedy namierzemy tego pojeba. Może ma w zanadrzu kilka innych pieprzonych kawałków. – Na myśl o wymianie poglądów ze sprawcą zastygł w zamyśleniu, z przyklejonym do twarzy obleśnym uśmieszkiem. Po chwili jednak podjął z powagą: – A tymczasem – jego ton był teraz bardziej ugrzeczniejszy, podniosły, a dłonie złożone w teatralnym geście w koszyczek na brzuchu – udaj się, proszę, do reszty chłopaków i przekaz im, że sprawa stażysty prokurator Bachledy jest dla nas priorytetowa.

– Proszę? – zdziwił się funkcjonariusz, zaskoczony nagłą zmianą zachowania swojego zwierzchnika.

Malinowski poirytowany przewrócił oczyma, jak by pojął, że jego podwładny nie nawykł do kulturalnego sposobu wydawania przez niego

poleceń.

– No, spierdalaj, młody! – wrzasnął agresywnie.

– Tak jest, panie komisarzu! – młodzik w lot zrozumiał komendę, stuknął obcasami i oddalił się pospiesznie, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy pierwsze, blade promienie jesiennego słońca nieśmiało zaglądały przez okno hotelu Grand, Klara już od dawna nie spała. Szczelnie owinięta kocem, leżała w łóżku i patrzyła na pobielony sufit. Obie ręce trzymała na brzuchu, próbując nawiązać ze swoim dzieckiem więź. Miała nadzieję, że nie wszystko, o czym ona myśli, dociera do jego młodego umysłu, bo to, czym zajmowała się ostatnio, bez wątpienia nie było przeznaczone dla nikogo poniżej wieku dojrzewania. A już na pewno nie dla jej dziecka.

Znowu miała jedno z tych swoich przeczuć. Wiedziała, że coś złego się stanie, i biorąc pod uwagę śledztwo Zuzy, miała powody przypuszczać, że to coś już się dzieje. Nie potrafiła tylko odczytać sygnałów, które podsylała jej własna podświadomość. Nie wiedziała, na czym się skupić, żeby wyłuskać z nawału skojarzeń to, co jest naprawdę istotne. Teraz jeszcze te sny. Były dziwne, jak koszmary, choć ona sama nie brała w nich udziału. Nie były to obrazy, które mogłaby wytworzyć samodzielnie, tego była absolutnie pewna. Czuła, że mają jakieś ukryte znaczenie. Coś, czego powinna się domyślić, co ma skierować jej uwagę we właściwą stronę. Nie znała jednak filtru, przez który powinna przepuścić kreacje swojej podświadomości, żeby uzyskać przejrzysty przekaz. Nie wiedziała, z kim się skonsultować ani kto mógłby jej pomóc.

– Gdyby tylko żyła babcia... – wyszeptała w półmrok i w tym momencie przyszło jej coś do głowy. Niechętnie odsuwając kawałek koca, wyciągnęła rękę i podniosła z nocnej szafki telefon komórkowy. Rzuciła okiem na wyświetlacz. Było dokładnie piętnaście po szóstej.

– I co pan o tym sądzi? Nie uważa pan, że to co najmniej niepokojące? Nie co dzień dostaję wiadomości tego typu. Musi pan przyznać, że mam powody, żeby się obawiać o swoje zdrowie i życie. A już na pewno mam powody, żeby dowiedzieć się, kto i po co zostawił w moich drzwiach tę, jak przypuszczam, zawoalowaną informację. No i przede wszystkim mam powody oczekiwać, że ktoś dla mnie tę informację odszyfruje, bo, z całym szacunkiem, ale ja nic z tego bełkotu nie rozumiem!

– Pani prokurator, spokojnie. Nie powinniśmy...

– Proszę mi nie przerywać, komisarzu! Jeszcze nie skończyłam! Rozumiem, że do tej pory priorytetowo traktowaliśmy domniemane morderstwo Karola Kopary, ale od tej chwili proszę tak pokierować swoimi zasobami, aby wszyscy zajmowali się obiema sprawami jednocześnie. Mówiąc „wszyscy” mam na myśli dokładnie wszystkich policjantów, jacy znajdują się pod pana dowództwem. Dopóki nie dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi, nie chcę nawet słyszeć, że mamy coś pilniejszego. I nie interesuje mnie, jak zamierza pan to zrobić, komisarzu, ale jeszcze przed końcem tygodnia chcę być obecna przy przesłuchaniu tego mnicha z siłowni. I jeszcze w tym tygodniu chcę znać nazwiska podejrzanych w sprawie anonimów dostarczanych na prywatny adres prokuratora! Czy to jasne? Zostawiam to na pańskiej głowie, komisarzu. I proszę mi wierzyć, że mój ewentualny gniew, jeśli coś pójdzie nie tak, spadnie wyłącznie na pana. Rozumiemy się?

Malinowski nie śmiał nawet podnieść na nią wzroku. Prokurator Bachleda paraliżowała go. Czuł się przy niej jak uczeń, który nie ma prawa głosu i nie ma o niczym pojęcia. Skinął tylko potakująco głową i rozluźnił nieco węzeł krawata.

– Tak jest, pani prokurator. Zajmę się tym od razu. Może pani na mnie polegać – powiedział ściszym głosem, jakiego bez wątpienia nie znali jego podwładni. – Czy jest coś jeszcze, co mogę dla pani zrobić?

– Dziękuję, ale nie. Rozwiązanie tej sprawy to i tak duże obciążenie dla pana.

– Jednak, jeśli wolno mi wyrazić moje zdanie, potrzebna pani ochrona. W tej sytuacji nie powinniśmy ryzykować. Nie wiemy przecież, z czym mamy do czynienia. To może być głupi kawał, ale równie dobrze to może być dzieło jakiegoś szaleńca. Mógłbym... – zawiesił na krótką chwilę głos. – Mógłbym się tym zająć osobiście.

– Osobiście? – zdziwiła się Zuza. – To znaczy, że miałyby mi pan towarzyszyć przez całą dobę? Do końca trwania śledztwa? – chciała się upewnić.

– Jeśli tylko wyrazi pani życzenie, pani prokurator. Zajmę się tym z ochotą. Pani bezpieczeństwo jest w tej chwili najważniejsze.

– Dobrze, zastanowię się nad tym, ale osobisty ochroniarz nie wydaje mi się absolutnie koniecznym środkiem zapobiegawczym. Ostatecznie nie wiemy nawet, czy można ten anonim traktować jak groźbę lub ostrzeżenie. Może to tylko szczeniacki wybryk któregoś z małolatów z sąsiedztwa. Niemniej dziękuję za osobiste zaangażowanie, panie komisarzu. Będę pamiętała o pana ofercie. Obiecuję. – Malinowski milczał, więc Zuza kontynuowała, kierując się w stronę wyjścia. – A tymczasem proszę wrócić do swoich obowiązków, komisarzu Malinowski. Będziemy w kontakcie. Do widzenia – to mówiąc wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Pozostawiony sam w swoim gabinecie Malinowski raz jeszcze zważył w ręku kopertę, której dotyczyła cała ta rozmowa. Rozważał różne scenariusze, jednak, choć wstydził się do tego przyznać, byłoby mu zdecydowanie na rękę, gdyby to było coś poważnego. Całodzienne towarzyszenie pięknej prokurator było dla niego niczym spełnienie snów. Mógłby napatrzeć się na nią do woli, na pewno wypić z nią kawę czy dwie. Żona nie mogłaby mieć mu za złe, a

koledzy z posterunku pękliby z zazdrości. I wszystko to płatne, jak nadgodziny. Cudownie. Pozostawało tylko przekonać panią prokurator, że sprawa jest poważna, a jej bezpieczeństwo jest zagrożone. Kto wie, może zaniepokojona i bezradna spuściłaby nieco z tonu i pozwoliła się do siebie zbliżyć? Uśmiechnął się do tej myśli i ostrożnie wyjął zawartość koperty.

Trzymał teraz w ręku kartkę kredowego papieru, starannie złożoną na czworo. Delikatnie rozłożył ją i dokładnie przyjrzał się wypisanej na niej treści. Pismo było staranne, kaligraficzne. Tekst napisany atramentem, prawdopodobnie wiecznym piórem, choć co do tego nie mógł mieć całkowitej pewności. Jednak zastanawiający był nie sposób przekazu, ale jego treść:

Nieprawy, Rozwiązła, Niegodzien

Znaczeni przysłowia liczbami

Wyroku na całym narodzie

Nieszczerość dopełni kroplami

Przeczytał czterowers kilka razy i westchnął głęboko. Zaczął szukać w myślach kogoś, z kim mógłby się skonsultować. Sam nie czuł się na siłach, żeby interpretować cokolwiek ponad program telewizyjny, zwłaszcza jeśli się rymowało i zawierało jakieś aluzje. A trzeba było założyć, że ten konkretny poeta coś jednak miał na myśli, bo po co inaczej miałby zadać sobie tyle trudu, żeby komponować, a potem dostarczać swoje wierszyki prokurator Bachledzie.

Oparł się o biurko i zaczął wertować notatnik z numerami kontaktowymi różnych ludzi. Byli to znajomi i znajomi znajomych. Policjanci, detektywi, biegli sądowi, spece w różnych dziedzinach życia, z którymi Malinowski miał do czynienia podczas swojej długiej kariery policjanta. Od czasu gdy rozpoczął służbę, przez posterunek przewinęło się kilka, jeśli nie kilkanaście tysięcy spraw. Dotyczyły chyba wszystkiego, od kradzieży wycieraczki samochodowej, przez zaginięcie hodowli patyczaków, po nielegalne udostępnianie szerszej publiczności cudzej wartości intelektualnej i

maksymalne podkręcanie głośności odtwarzacza typu jamnik w lokalu użytkowym przy Lipowej 3. Dlatego też komisarz słusznie przypuszczał, że w jego starannie kompletowanym spisie osób potencjalnie przydatnych w śledztwie natrafi na nazwisko kogoś, kto będzie w stanie mu pomóc.

– Adamczak, Albrecht, Andrzejewski... Nie, może dalej... – czytał kolejne nazwiska. – Batko, Bączkowska... chyba pod koniec... – coś zaczęło mu świtać. – Urban, Wagner, Walczak... mam! – Postukał palcem w notes. – Wieczorek Krzysztof. Doktor habilitowany nauk humanistycznych. Akademia imienia Jana Długosza w Częstochowie, Wydział Filologiczno- -Historyczny – odczytał na głos, notując jednocześnie nazwisko i numer telefonu. – No, to mamy eksperta – uśmiechnął się, zacierając dłonie, po czym zdjął z wieszaka marynarkę i włożył anonim do wewnętrznej kieszeni.

Kierując się ku wyjściu, wydał swoim funkcjonariuszom kilka dyspozycji dotyczących nowej sprawy oraz wyraźny rozkaz, aby mu teraz nie przeszkadzać. Stawiając długie kroki, wyszedł z budynku i szybko pokonał odległość dzielącą go od służbowego wozu. Rozsiadł się wygodnie w fotelu kierowcy i poklepał dłonią kieszeń z cenną kopertą. Czuł, że ten kawałek kredowego papieru jest znaczący, że może odmienić jego karierę, a co za tym idzie, całe jego życie. Przymknął oczy, chłonąc z zadowoleniem to miłe uczucie, które go ogarnęło. Odnosił wrażenie, jakby coś wewnątrz niego rozpałiło małe, ciepłe światełko. Był podekscytowany i odrobinę się bał. Wiedział, że jeśli to ma być jego bilet do awansu, musi rozwiązać tę sprawę jak najszybciej. Zebrał się w sobie i przekręcił kluczyk w stacyjce. „Armii Krajowej 36a” – powtórzył jeszcze adres, zanim włączył się do ruchu.

Jadwiga właśnie podnosiła się z kolan, kiedy kątem oka dostrzegła, że w ławce niedaleko niej siedzą jeszcze Krystyna z synem. Mieszkała naprzeciwko nich od dnia swojego ślubu. W ubiegłym miesiącu minęły trzydzieści cztery lata. Przez całe swoje życie nigdy i do nikogo nie żywiła tak szczerego uczucia, jak do tej wieloletniej sąsiadki. Krystyna zawsze była motorem jej działania, jej muzą. Zawsze starała się jej dorównać, prześcignąć we

wszystkim. Dla świata były serdecznymi przyjaciółkami, niepotrafiącymi bez siebie żyć. Odwiedzały się codziennie, rozmawiały na każdy temat. Chodziły razem do kościoła i na kółko różańcowe. Zawsze znajdowały dla siebie czas. Wspierały się w najtrudniejszych momentach życia. Stały ramię w ramię na pogrzebach swoich mężów. Kiedy tylko jedna z nich zachorowała, druga natychmiast zjawiała się u niej z chudym rosołkiem i syropem z malin. W Wigilię zawsze łamały się opłatkiem, a na Wielkanoc dzieliły jajkiem i życzyły sobie obfitości łask bożych oraz wszystkiego, co najlepsze.

Widząc, że najbliższa sąsiadka nadal się modli, Jadwiga nie mogła opuścić kaplicy. Musiała szybko wymyślić jakieś wytłumaczenie dla swojego powstania z kolan. Idealny powód przyszedł jej do głowy w mgnieniu oka. Z zadowoleniem wyobraziła sobie minę Krystyny, która pierwsza powinna była to zaproponować. Zawstydzi ją i wprawi w zakłopotanie, jednoznacznie dowodząc, że to ona, Jadwiga, jest żarliwszą katoliczką, a jej modlitwy zawsze są dłuższe i bardziej gorliwe. Znowu ją miała. A każde takie małe zwycięstwo sprawiało jej niewysłowioną radość.

Zwykle jednak to Krystyna była górą. Bóg obdarzył ją jedynym synem, który słuchał się jej we wszystkim, razem z nią chodził na każde nabożeństwo i znał na pamięć cały katechizm. W dzieciństwie był ministrantem i co niedzielę służył do mszy, podczas gdy córki Jadwigi uważały chodzenie do kościoła za największą karę, a na sumie co chwila zerkały na zegarki, wypatrując końca. Jakby tego było mało, Krystyna ciągle chorowała, cierpiała na astmę i artretyzm, a Jadwiga, prócz swojej tuszy, zawsze była okazem zdrowia. Może dla innych ludzi byłby to powód do zadowolenia, ale nie dla niej. Przez to wiecznie musiała coś symulować, bo – jak wiadomo – cierpienie uszlachetnia i zbliża do Pana. A ona chciała przynajmniej wyglądać na taką, która jedną nogą jest już po prawicy Ojca. Raz jeden udało jej się skrócić kolano, kiedy niefortunnie zeskoczyła z taboretu przy okazji świątecznych porządków. Jednak rehabilitacja szybko przyniosła jej ulgę, a ona do końca życia zmuszona była udawać uciążliwy ból w nodze.

Rodzina również nie okazała się pomocna. Mimo gruntownego

przygotowania do życia w zgodzie z naukami Kościoła, starsza córka Jadwigi wcześniej wyszła za mąż, spodziewając się dziecka. Tę ujmę na honorze świeżo upieczonej babci spotęgował jeszcze fakt, że noworodek, który, jak ogłosiła wśród sąsiadek i znajomych, był wcześniakiem, w rzeczywistości ważył przy urodzeniu prawie pięć kilo i uzyskał dziesięć punktów w skali Apgar. To z kolei naraziło ją w towarzystwie na śmiech i drwiny. Jadwiga z trudem przełknęła tę gorzką pigułkę, jednak pokładała jeszcze nadzieje w swoim drugim dziecku. Życzyła sobie dla Anieli życia zakonnego albo chociaż w staropanieństwie, żeby tak jak Krystyna z synem mogły razem mieszkać i się modlić. Jednak tu znowu los zadecydował inaczej. Młodsza córka, mimo że bardzo religijna, nie wstąpiła do klasztoru. Dobiegając trzydziestki, wyszła w końcu za mąż i urodziła syna. Na szczęście w tej kolejności. Jednak radość Jadwigi niedługo trwała, bo już w trzy lata po ślubie Aniela podjęła decyzję o rozwodzie, co z kolei, jako wystąpienie przeciwko świętemu sakramentowi, ściągało na nią wyrok wiecznego potępienia. Jej biedna matka, która przez cały czas trwania tego małżeństwa mówiła sąsiadkom o pobożności i wszelkich cnotach swojego nowego zięcia, znowu znalazła się na językach. Już zawsze miała do Anieli żal, że jej to zrobiła. Mogła przecież zacisnąć zęby i znosić małżeńskie zdrady i kłótnie tak długo, jak jej matka chodzi po tym świecie. Zwłaszcza że, jak zapowiadała już od kilku lat, niewiele jej tego życia zostało.

Jadwiga z trudem dźwignęła się w górę. Ważyła coś około setki, co przy jej raczej niskim wzroście stanowiło o poważnej nadwadze. Mimo że staw kolanowy nie dokuczał jej już od dekady, donośnie syknęła, symulując ból. To natychmiast zwróciło uwagę rozmodlonej Krystyny i jej dorosłego już syna. Kiedy Jadwiga kierowała się w ich stronę, przesadnie utykając na lewą nogę, Robert szybko się podniósł i złapał ją za łokieć, pomagając pokonać ostatnie kilka kroków.

– Dziękuję ci, moje dziecko – wyszeptała niemal bezgłośnie, nie chcąc zakłócać ciszy panującej w świątyni. Opadła z trudem na ławkę obok Krystyny i nachyliła się w jej kierunku.

– Krysiu – zaczęła, rozcierając nieistniejący ból w kołanie. – Dziś są imieniny twojego męża. Panie, miej pieczę nad jego duszą. Pomyślałam, że moglibyśmy wspólnie odmówić w jego intencji Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Co ty na to?

– Dziękuję ci, Jadwiniu! Że też sama o tym nie pomyślałam. Jak to dobrze mieć cię przy sobie. – Krystyna skinęła na syna ręką, żeby pomógł jej wstać. – Ale skoro to ma być intencja za spokój jego duszy, uważam, że powinniśmy przenieść się przed oblicze Najświętszej Pani – dokończyła, wychodząc z ławki.

Jadwiga poczuła ukłucie gniewu, ale starała się zachować zimną krew. Krystyna znowu była górą.

„Skąd ona, do cholery, bierze ten zapach, te pomysły?! – zastanawiała się w duchu. – Przecież przed Cudownym Obrazem nie wypada używać klęczników! Dobrze, że posadzka przykryta jest czerwonym dywanem. W przeciwnym razie musiałybyśmy klęczeć na gołym kamieniu. Jakie to szczęście, że nie zaproponowałam różańca! Koronka powinna nam zająć nie dłużej niż piętnaście minut. Tyle mogę jeszcze wytrzymać”. – Z ociąganiem podniosła się i podążyła za Krystyną i Robertem.

Zanim wszyscy troje znaleźli się w głównej nawie kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, Jadwiga obmyśliła już plan, jak wysunąć się na prowadzenie w tym nienazwanym wyścigu pobożności. Nie mogła i nie chciała zostawić Krystyny na zwycięskiej pozycji. Pragnęła udowodnić przed nią i przed światem, że w niczym jej nie ustępuje. Popełniła może w życiu kilka młodzieńczych szaleństw, lecz ostatecznie odnalazła swoją ścieżkę ku Prawdzie. Latami budowała swój wizerunek żarliwej katoliczki, dbając, aby przynajmniej raz w miesiącu zamówić mszę za nieboszczyka męża, przynieść do kościoła kwiaty albo dać większą kwotę na ofiarę, koniecznie upewniając się, że jej nazwisko zostanie głośno przeczytane w ogłoszeniach parafialnych na niedzielnej sumie. Niestrudzenie chodziła na majowe, czerwcowe, nieszpory, różaniec i drogę krzyżową. Śpiewała kiedyś w parafialnym chórze, ale nowy organista delikatnie zasugerował jej, że teraz czas na młodsze

pokolenie. I chwala Bogu, bo w godzinach, w których odbywały się próby, zaczęto emitować *Modę na sukces*, a Jadwiga nie miała ochoty rezygnować z kolejnej przyjemności. Starła się nie spowiadać zbyt często, aby nie wzbudzić podejrzeń wścibskich sąsiadek, ale też niezbyt rzadko, aby nikt nie mógł pomyśleć, że oddała się od Pana. Właściwie nie czuła potrzeby spowiedzi. Nie grzeszyła przecież. Modliła się, nie opuszczała żadnego nabożeństwa, dawała na tacę, nie czytała literatury niepochwalanej przez proboszcza i nie miała komputera z internetem. Od lat nie uprawiała też seksu, więc właściwie pozostawała bez grzechu. Spowiadała się zwykle głównie z tego, co zrobiły jej córki lub niektóre ze znajomych, mając poczucie, że powinna je spotkać jakaś kara boska za liczbę występków, których się dopuszczają. W oczach swoich i – miała nadzieję – wszystkich, którzy ją znali, uchodziła za wzór chrześcijańskich cnót.

Teraz, powoli kuśtykając śladem Krystyny, namacała w kieszeni różaniec. Drzewo różane z posrebrzonym łańcuszkiem. Kosztował ją podwójny czynsz, ale nie mogła przecież odmówić sprzedającemu go wikariuszowi. Był poświęcony i otarty o grób papieża Jana Pawła II, co czyniło z niego artefakt o nieskończonej wartości.

Kiedy znalazła się pośrodku nawy, ostrożnie uklękła na oba kolana, przytrzymując się silnego ramienia Roberta. Podniosła oczy na Cudowny Obraz i zamarzyła o fortunę, jaką nosiła na sobie Najświętsza Pani. Każda z jej dziewięciu sukienek wykonana była na specjalne zamówienie jako dar dla Czarnej Madonny. Ta, na którą patrzyła teraz, była bursztynowo-brylantowa i nosiła nazwę sukienki zawierzenia Totus Tuus. Na jej przygotowanie zużyto ponad dziewięć kilogramów bursztynu i około tysiąca brylantów. Całość, umieszczona na srebrnej konstrukcji, oprawiona była w złoto najwyższej próby.

„Gdyby tak mieć chociaż kawałek takiej sukni... – pomyślała Jadwiga. – Mogłabym za to przeżyć resztę swojego życia. I to w luksusie! Pojechałabym na jakąś egzotyczną wycieczkę, może kupiłabym samochód albo zamieniła mieszkanie na większe? To chyba byłoby nawet lepiej, niż trafić szóstkę w

totka. A Krystyna? Umarłaby z zazdrości! Normalnie pa dłaby trupem! Na miejscu!" – Uśmiechnęła się lekko, co nie uszło uwagi klęczącej obok Krystyny.

– Dlaczego się uśmiechasz, Jadwiniu? Czy coś cię rozbawiło? – spytała cichym, nieco piskliwym głosem małej, naiwnej dziewczynki.

– Nie, nie, Krysiu, skąd. Tylko napawam się miłością naszej Matki i Królowej. Wiesz, kiedy tu przed nią klęczę, to tak ciepło mi na sercu. Czuję, jak mnie przygarnia do swojego matczynego łona, jak odgania ode mnie grzech i szatańskie pokusy – zełgała jak z nut. – Czy nie czujesz tego samego?

– Ależ tak, ale chyba nie tak intensywnie jak ty. Widocznie moja wiara nie jest dostatecznie mocna – szczerze zasmuciła się Krystyna. Po chwili milczenia podjęła: – Czy wobec tego mogłabyś, Jadziu, zanieść w tej naszej wspólnej modlitwie prośbę do Najświętszej Pani? Proś ją w naszym imieniu o spokój ducha i o życie wieczne przy boku naszego Miłosiernego Pana i Jego Matki Niepokalanej Dziewicy... dla mojego męża, oczywiście...

– Oczywiście, kochana, oczywiście – wyszeptła z przymkniętymi oczyma Jadwiga, po czym wyjęła z kieszeni różaniec i ucałowała krzyżyk na jego końcu. Ten gest miał być dla jej towarzyszy sygnałem, że dość już się nagadali. Że teraz czas na modlitwę. W istocie Jadwiga czuła pilną potrzebę rozpoczęcia tego, po co tu przyszli, bo nie lubiła klęczeć na marne, a i pusty żołądek już dawał znać o sobie. Dodatkowo było jej na rękę ponowne zawstydzenie Krystyny, która wyglądała na poważnie przygnębioną z powodu braku fizycznego połączenia z Cudownym Obrazem, do którego z kolei otwarcie przyznawała się Jadwiga. „Niech no tylko zobaczy, co dla niej przygotowałam..." – pomyślała i tym razem zdusiła uśmiech, nieśmiało wpełzający na jej twarz. Skinęła głową na resztę i zrobiła ręką znak krzyża.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – zaczęła.

Krystyna i Robert sięgnęli po swoje różańce i wszyscy we troje rozpoczęli modlitwę.

Jadwiga, udając pełne skupienie na modlitwie, odczekała kilkanaście

minut, aby w końcu rozpocząć realizację swojego planu. Otworzyła zamknięte do tej pory oczy i nie przerywając modlitwy, którą prowadziła, zaczęła z uporem wpatrywać się w żyrandol wiszący najbliżej wizerunku Madonny.

– Dla Jego bolesnej męki – powtarzała, przesuwając w palcach ostatnie paciorki czwartej części różańca.

– Miej miłosierdzie dla nas i całego świata – wtórowali Krystyna i Robert.

– Dla Jego bolesnej męki.

– Miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

– Dla Jego bolesnej męki.

– Miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

Kiedy Jadwiga poczuła, że ma teraz w dłoni większy koralik, nie przerywając uporczywego wpatrywania się w światło, przybrała najbardziej dramatyczny ton, na jaki było ją stać, i kontynuowała modlitwę:

– Ojczy Przedwieczny, ofiaruję Ci Ciało i Krew, Duszę i Bóstwo najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa, na przebłaganie za grzechy nasze i całego świata.

Ktoś, kto przyglądałby jej się w tej chwili, mógłby ulec wrażeniu, że jej modlitwa jest niezwykle żarliwa, a ona sama pogrąża się w zadumie, nie spuszczać oka z ukochanego wizerunku Królowej Polski. Dokładnie o taki efekt Jadwidze chodziło. Krystyna i jej syn byli przekonani, że ich sąsiadka wpatruje się z miłością prosto w oblicze Najświętszej Pani i wznosi do Niej swoje modlitwy. Tym bardziej nie byli zaskoczeni, kiedy po policzkach Jadwigi zaczęły spływać łzy. Jedna po drugiej kapały z jej oczu jak grochy. A ona nie przestając patrzeć prosto w światło żyrandola, kontynuowała:

– Dla Jego bolesnej męki.

– Miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

To był punkt kulminacyjny jej przedstawienia. Powstrzymując się od mrugania i patrząc prosto w światło w ciemnym i zimnym pomieszczeniu, bez trudu wywołała łzawienie oczu. Wiedziała też, że dla Krystyny będzie to niezbity dowód na jej głęboką wiarę i zaangażowanie w modły. Dopięła

swego. Teraz wystarczyło wytrwać w tym do końca modlitwy i nie wybuchnąć śmiechem. Potem już tylko krótka podróż do domu i upragniony serial na jedyńce.

Nagle, gdy wymawiała ostatnie słowa koronki, stało się coś nieoczekiwanego. Opuściła oczy na czerwony dywan, na którym klęczeli, i powtórzyła trzeci raz:

– Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami i nad całym światem. – Chciała sięgnąć do kieszeni po chusteczkę do nosa, ale jej ręka nie puściła różańca. Nie podnosząc wzroku, powtórzyła raz jeszcze: – Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami i nad całym światem. – A jej palce coraz silniej ścisnęły paciorki. Straciła kontrolę nad swoim ciałem. Łzy płynęły jej z oczu niepowstrzymanym potokiem, a usta same powtarzały: – Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami i nad całym światem.

Krystyna i Robert patrzyli oszołomieni, jak Jadwiga nie podnosząc się z kolan, uparcie powtarza ostatnie słowa modlitwy.

– Jadziu, chcesz jeszcze zostać i się pomodlić? – spytała Krystyna, jednak nie uzyskała odpowiedzi. Jadwiga zachowywała się jak w transie. Miała zsiniałe palce i mokrą od łez kurtkę. – My już pójdziemy. Zimno tu, może poczekamy na ciebie w samochodzie, dobrze? – Nadal nic. Sądząc, że potrzebuje chwili w samotności, oddalili się od niej w ciszy i wyszli z kaplicy.

Jadwiga nie mogła wydobyć z siebie nic poza powtarzaniem w kółko zawołaniem o miłosierdzie. Bolały ją kolana, kręgosłup i palce. Zamarzały jej policzki i pierzchły wargi, lecz mimo iż z całych sił chciała poprosić swoich towarzyszy o pomoc, nie była w stanie nawet odwrócić głowy. Po półgodzinie zobaczyła na dywanie pod sobą powiększającą się kałużę. To były jej łzy, które nieprzerwanym strumieniem leciały w dół po jej twarzy. W panice chciała się uwolnić z tego dziwnego paraliżu, ale przed oczyma miała tylko pustkę, ciemną otchłań.

– Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami

i nad całym światem. – Echo tych słów nieprzerwanie niosło się po sanktuarium. „Kurwa, kurwa, kurwa! – myślała Jadwiga. – Co mi jest? Dlaczego nie mogę się podnieść z tej skurwiałej podłogi?! Dlaczego ta dziwka mi nie pomoże?! Gdzie oni idą?! Nie, nie zostawiajcie mnie tu! Pomóżcie! Ja pierdołę, nie możecie mnie tu zostawić! Potrzebuję pomocy, do kurwy nędzy! Wracajcie!” – krzyczała w milczeniu i nikt nie mógł jej usłyszeć.

Zrozumiała już, że to nie przypadek i że ten dzień nie skończy się dla niej dobrze. Bała się. Chciała zwrócić się do Boga o prawdziwą pomoc, ale nie mogła już nawet kontrolować swoich myśli. Była skupiona na czarnej masie, która wirowała jej przed oczami. Zbliżała się do niej i powoli zapadała w jej bezbrzeżną nicość. Sama stawała się nicością. Jej piekące od łez oczy zasnuły się mgłą. Ostatnie, co usłyszała, to echo swoich własnych słów:

– ...Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami i nad całym światem.

Po zakończonej modlitwie brat Tadeusz w pośpiechu mijał kolejne drzwi w długim korytarzu, żeby u jego wylotu skręcić na następne, wąskie, kręte schody. Wspinał się na nie dobrych kilka minut, zanim dotarł do celu. Zdyszany pchnął ciężkie drzwi, które z cichym jękiem otworzyły się przed nim, ukazując wnętrze pomieszczenia. Surowy wystrój zdradzał ascetyczne zamiłowania jedyne go lokatora tej celi. Wzdłuż poszarzałych ścian ustawione było biurko, krzesło i pojedyncze łóżko zasłane starym, kraciastym kocem. Nad łóżkiem zaś zawieszono jedyną ozdobę tego wnętrza – mosiężną, prawie metrową ferulę. Przy pozbawionym firanek oknie na kamiennym cokole stało coś bliżej nieokreślonego. Wokół tajemniczego przedmiotu, starannie przykrytego ciemnym materiałem, rozrzucone były ciemne strzępy, jakby wyprute z jakiegoś płótna, przypominające wyglądem puch, jakim wypełnia się pierzyny.

Dopiero tutaj w bladym świetle bijącym od jedynej, gołej, uwieszonej u sufitu żarówki poczuł się bardziej człowiekiem niż duchem. Odrzucił w tył obszerny kaptur, który skutecznie ukrywał przed światem jego tożsamość, i popatrzył na swoje odbicie w szybie jedyne go okna. Zapadał zmrok.

Dobiegał już pięćdziesiątki, jednak jego twarz nie zdradzała wieku. Nie znaczy to, że wyglądał na młodzieniaszka. Jego wiek był zwyczajnie trudny do odgadnięcia. Nie przypominał ani nastolatka, ani mężczyzny w średnim wieku, ani nawet starca. Po prostu obdarzony był tego rodzaju urodą, która pozwalała mu na bezproblemowe zatajanie metryki. Zresztą to, jak wyglądał, trudno było w ogóle nazwać urodą.

Miał rude, lekko pofalowane włosy do ramion i twarz nieforemną do granic możliwości. Jego masywna szczęka zupełnie nie pasowała do wąskiego nosa ani małych, zielonkawych oczu, nad którymi triumfowały szerokie,

zrosnięte w jedną, grubą kreskę, ciemnoczerwone brwi. Miał niskie czoło z lekka poorane poprzecznymi zmarszczkami, powstałymi raczej w wyniku nieokreślonego, nieco zdziwionego grymasu twarzy niż w związku z upływającym czasem. Na skroniach i we włosach tuż nad nimi widniały nigdy nieustępujące pryszczki, przypominające swoim wyglądem ropne owrzodzenia. Usta miał duże, choć cienkie, w kolorze bardzo zbliżonym do cery. Przy tym, kiedy tylko je otworzył, wyglądał, jakby głowa rozłupywała mu się na pół, a z wnętrza ogromnego krateru, który powstawał w miejscu warg, wydobywały się krzywe, nierównej długości żółte zęby. Jakby tego było mało, był piegowaty, a jego piegi rozmieszczone były tak gęsto, że gdzieś zlewały się w jedną, brudnopomarańczową plamę.

Jako dziecko nie miał lekkiego życia. Koledzy dokuczali mu na każdym kroku, lżyli i obrażali go, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Z powodu swojego wyglądu nazywany był bękartem diabła. Jego karykaturalne podobizny, przedstawiające go z widłami, rogami lub na miotle, zdobiły każdą ścianę i drzwi wszystkich chłopięcych toalet w starej podstawówce, do której uczęszczał. W wieku dojrzewania osiągnął rozmiary dorosłego, dobrze zbudowanego mężczyzny. Wzrostem znacznie przewyższał rówieśników, a jego ramiona stały się tak silne, że bez trudu podnosił ciężkie sprzęty w sali gimnastycznej, przesuwiał meble i dźwigał największe ciężary. To w tym właśnie czasie ludzie zaczęli schodzić mu z drogi. Skończyły się uszczypliwe komentarze kolegów, a wokół niego jakby opustoszało. Dziewczęta otwarcie się go bały. Starły się na niego nie patrzeć, a kiedy już ich spojrzenia krzyżowały się, w ich wzroku znajdował mieszankę strachu i obrzydzenia. Narastała w nim złość i frustracja. Wiedział, że do końca swoich dni będzie żył sam. Miał świadomość, że na zawsze pozostanie odszczepieńcem i dziwadłem, że nie będzie mu dane zaznać szczęścia i miłości, że nigdy nie założy rodziny. To właśnie wtedy podjął decyzję, aby nadać swojemu życiu jakiś sens. Chciał odszukać swoje miejsce we wszechświecie, osiągnąć coś, stać się kimś. Pragnął zemsty za wszelkie upokorzenia, które go w życiu spotkały. Chciał, aby ci, którzy z niego szydzili, sami zostali wyszydzeni.

Chciał cierpienia tych, którzy zadawali mu cierpienie. Wiedział, że jedyne, co może mu zrekompensować smutne dzieciństwo i młodość, to posiadanie niezmiernie władzy. I właśnie tę władzę zaplanował osiągnąć.

Rozejrzał się wokół, aby się upewnić, że nie ma towarzystwa. Kiedy stwierdził z całą pewnością, że jest w pomieszczeniu zupełnie sam, odetchnął z ulgą. Z jego twarzy powoli zniknęło napięcie. Raz jeszcze sprawdził, czy drzwi są dokładnie zamknięte, i zasunął ciężką zasuwę. Jęknęła cicho, a od strony okna dało się słyszeć wyraźny szelest, jakby trzepot skrzydeł. Tadeusz odwrócił się w stronę, z której dobiegał ów dźwięk, i na chwilę zamarł w bezruchu, wpatrując się w widok za oknem. U jego stóp rozpościerało się miasto. O tej porze rozświetlone latarniami i światłami samochodów Aleje Najświętszej Maryi Panny wyglądały zjawiskowo. Mniej więcej pośrodku długiego pasa migoczących punkcików znajdował się kwadratowy i płaski plac Biegańskiego, a po jego prawej stronie ledwie dostrzegalny miejski ratusz. Tę osobliwą trasę ruchliwych światełek zamykał oświetlony bladym blaskiem kościół Świętego Zygmunta. Im dalej od centrum, tym miasto bardziej ciemniało, żeby zaledwie kilka kilometrów dalej stać się zupełnie niedostrzegalne.

W szybko zapadającej ciemności Tadeusz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że życie poniżej klasztoru pełza na kolanach, koncentrując się wokół swojego milczącego ciemności. Nie dało się nie zauważyć, że dostojna budowla kładzie się cieniem na radości tego miasta, na wszelkich przejawach entuzjazmu i chęci życia. Te białe i czerwone punkciki, wyznaczające trasę ruchu samochodowego, sprawiały wrażenie, jakby bały się podejść bliżej kamiennego gmachu i w popłochu uskakiwały w boki na skraju jasnogórskiego parku. Ten podświadomy strach kierowców i pieszych, młodzieży i starców, nie był dla zakonnika niczym zaskakującym. Ludzie przecież od wieków posiadali pewien instynkt samozachowawczy, nakazujący im unikanie bezpośredniego starcia z przeciwnikiem, który zagraża ich jestestwu. Zakon i Kościół w ogóle byli zaś przeciwnikami silnymi i nieugiętymi. Tym trudniejszymi, że kulturowo uświęconymi, mimo

wieloletnich kłamstw i obłądy, którymi karmili swoich wiernych. To ślepe poddaństwo niezliczonej rzeszy ludzkich istnień napawało dostojników kościelnych nieskończoną dumą. Dawało im władzę potrzebną do realizowania własnych celów. Mogli bezkarnie fałszować rzeczywistość, oddalając swoje owce od wiekuistego szczęścia i prowadząc nieświadome baranki na duchową rzeź. A mimo to rokrocznie miliony brnęły prosto w tę paszczę lwa, niczym ćmy w stronę ognia. Niczego nieświadome duszyczki przysięgały dozgonnie pozostawać pod wpływem swoich duchowych przewodników, nie mając pojęcia o mrocznym planie, którego ważną częścią nieodwracalnie się stawali.

– Jak dobrze, że mnie to nie dotyczy – podsumował swoje rozmyślenia Tadeusz. Oparł czoło o zimną szybę okna i uśmiechnął się szeroko. – Jak dobrze, że Pan jest po mojej stronie. Nie muszę się więcej lękać. On uczynił mnie silnym i niezwyciężonym. Dziękuję Ci, Panie! – to mówiąc, odwrócił się w stronę tajemniczej, szczelnie przykrytej bryły, z której raz po raz wydobywały się chrapliwe dźwięki i zagadkowy szelest. Szybkim ruchem ściągnął płótno i runął na kolana u stóp cokołu.

Przedmiotem zasłoniętym do tej pory przed oczyma Tadeusza była mosiężna klatka dla ptaków. A w niej ogromnych rozmiarów kruk. Jego czarne pióra połyskiwały w bladym blasku żarówki, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Potężny dziób zdawał się ostry jak brzytwa, a zagięte szpony z pewnością mogłyby rozszarpać ludzkie mięśnie zaledwie w ułamkach sekund. Najciekawsze i zarazem najbardziej zjawiskowe wydawały się jego oczy. Prawe ze złotą iskierką na dnie, lewe zaś puste i czarne. Te oczy, żywcem wyjęte z Bułhakowskiego opisu, napełniały obserwatora strachem. Uczuciem tak dojmującym, że niemal namacalnym, jakby zimna woda spływała strużką od uszu przez kark i w dół po plecach.

Tadeusz nie ważył się podnieść wzroku. Ze swojej pozycji zaczął mówić do zwierzęcia:

– Panie! Oto jestem na twoje rozkazy. Rzeknij tylko słowo, a zrobię, co zechcesz.

W celi zapadła ogłuszająca cisza. Tadeusz, choć nie pierwszy raz obcował z krukiem, wciąż nienawykł do rozmów z nim. Trwał w bezruchu spłoszony i zawstydzony, wypełniony po równo szacunkiem i trwogą, ze wzrokiem utkwionym w posadzce. Po kilku sekundach, które dla mnicha zdawały się wiecznością, ptak powoli rozłożył skrzydła na tyle, na ile pozwalała mu ciasnota w klatce, przestąpił kilka razy z nogi na nogę i przemówił:

– Mój unizony sługo! – Jego głos był ochrypły i skrzekliwy. Przypominał brzmieniem skrzywienie starego zawiasu, połączone z rechotem ropuchy. Mimo to jednak słowa, które dobywały się z jego dzioba, były doskonale zrozumiałe. – Jak dobrze widzieć cię na kolanach! Doprawdy, Tadeuszu, jesteś mi najmilszym ze wszystkich poddanym. Twoje sprawozdania są muzyką dla mych uszu, zatem powiedz mi zaraz, z czym do mnie przychodzisz.

– Mistrzu! – spieszył z odpowiedzią zakonnik. – Trzy czwarte pracy już jest za nami. Pozostało nam jedynie odzyskać moc z szaty Zbawiciela i uzbroić się w cierpliwość, aż nadejdzie Sądny Dzień.

– Zatem wszystko już przygotowane. Jestem dumny z ciebie, mój synu. W dniu, w którym odzyskam panowanie i na zawsze zniszczę prawość i moralność, ty jeden zasiądziesz po mojej prawicy, żeby wraz ze mną władać nad światem. Do tego jednak czasu bądź czujny. Doprowadź wszystko do końca i nie zawieź mnie. Powtarzam ci, nie zawieź mnie!

– Tak jest, mój Zbawco. Zrobię, jak każesz. – Tadeusz skłonił się i nie podnosząc wzroku, nakrył klatkę ponownie. Teraz dopiero przysiadł na piętach i odetchnął pełną piersią. Przed nim było ostatnie, najtrudniejsze zadanie i wiedział, że nie może pozwolić sobie na błąd.

– Halo – odezwał się zaspany głos w słuchawce. – Kto mówi?

– Proszę księdza, to ja, Klara – zaczęła nieśmiało Klara. – Przepraszam, ja wiem, że jest bardzo późno, ale...

– Klara? Dobry wieczór, moje dziecko – zaczął nieco zbity z tropu. Po chwili jednak oprzytomniał. – Klara! To ty! Jak dobrze cię słyszeć. Czy

wszystko u ciebie w porządku? Coś cię trapi?

– Nie, nie, proszę księdza. To znaczy...

– Daj spokój z tym księdzem, Klara – znowu przerwał jej rozmówca. – Janusz. Jestem Janusz, pamiętasz? Janusz bez sutanny. – Jego głos był miękki i dźwięczny, a ton zdradzał wzruszenie.

– Tak, wiem... Janusz... przepraszam, ja... – Nie wiedziała od czego zacząć. – Słuchaj, możemy się spotkać? Chciałabym z tobą porozmawiać, o coś cię spytać.

– Co tylko zechcesz, kochana. Co tylko zechcesz. Jestem do twojej dyspozycji. Na każde zawołanie... zawsze... – dodał już przyciszonym głosem. – Klaro? Jesteś tam jeszcze? Klaro?!

– Tak, jestem. Przepraszam. Zadzwoń jeszcze... Zadzwoń... – to mówiąc, przerwała połączenie.

Zanim odważył się zapukać, raz jeszcze pomacał ręką miejsce, w którym schowana była koperta. Sprawdził ponownie, czy nazwisko, które zanotował, jest identyczne z tym wygrawerowanym na tabliczce przykręconej do drzwi. Wszystko się zgadzało, więc wziął głęboki oddech i trzykrotnie zapukał. Odczekał chwilę, uważnie nasłuchując jakiegoś odzewu, ale odpowiedziała mu tylko głucha cisza. Po chwili zapukał ponownie. Tym razem również nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc zdecydowanym ruchem nacisnął na klamkę. Zamek ustąpił, a Malinowski znalazł się w gabinecie doktora Wieczorka. Z przyzwyczajenia wyjrzał jeszcze na korytarz, ale w panującym półmroku nie mógł nikogo zauważyć.

Zakład Kulturoznawstwa znajdował się na ostatnim piętrze Wydziału Filologiczno-Historycznego w Instytucie Filologii Polskiej. Gabinet doktora Wieczorka umiejscowiony był pośrodku długiego szeregu drzwi, po lewej stronie. Na końcu korytarza, szerokością zbliżonego do tramwaju, ledwie dostrzegalne z miejsca, w którym stał Malinowski, było jedno, na wpół ślepe okno, usytuowane na półpiętrze wąskiej klatki schodowej. Kolejne i zarazem ostatnie źródło naturalnego, bladego światła znajdowało się w przeciwległym końcu mierzącego kilkadziesiąt metrów holu.

Jedyną osobą, jaką do tej pory spotkał, był portier na dole, dlatego był pewien, że studenci skończyli już zajęcia na dziś. Wyglądając z progu gabinetu na korytarz, spojrzał na wymalowane orzechową farbą olejną lamperie, które smutno opadały w dół, aż do nieokreślonego w kolorze lastryka. W całym budynku było zimno i duszno. Wokół unosił się zapach stęchlizny i pasty do podłóg. Nie ulegało wątpliwości, że ci, którzy wybrali studiowanie w tych warunkach, musieli to naprawdę kochać. Chęć nauki w tym przybytku musiała wypływać wyłącznie z pobudek hobbystycznych,

zwłaszcza że studenci zdawali sobie przecież sprawę, iż po ostatnim roku zasilą grono bezrobotnych. Malinowski ze wzruszeniem pomyślał o swoim posterunku i przyrzekł sobie w myślach, że już nigdy nie powie o nim złego słowa. Tymczasem cofnął się o krok i rozejrzał po niewielkim pokoiku, w którym się znajdował.

Kwadratowy gabinet zarzucony był książkami. Stały na półkach kilku regałów, parapecie i komodzie. Parę z nich ułożono w okazały stos na biurku i porozkładano po dwie, trzy na podłodze, szafie i stoliku do kawy. W efekcie w pomieszczeniu nie pozostawało wiele miejsca, poza jednym wolnym krzesłem przy biurku i małym pufie tuż przed nim, przeznaczonym zapewne dla ewentualnych gości. Malinowski zapatrzył się na wiszące tu i ówdzie tanie przedruki znanych obrazów. Rozpoznał tylko *Damę z łasiczką* i *Monę Lisę*, ale miał wrażenie, że pozostałe też już gdzieś wcześniej widział. Spojrzał na zegar ścienny i stwierdzając ponad wszelką wątpliwość, że godziny pracy instytutu minęły trzy kwadransy temu, zrezygnowany postanowił przyjść jutro. Kiedy się odwrócił, serce podeszło mu do gardła. Niespodziewanie tuż przed nim wyrósł wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna. Na oko mógł mieć jakieś dwadzieścia siedem, trzydzieści lat. Miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy i przynajmniej dwudniowy zarost na silnej szczęce. Szerokie barki i klatka piersiowa sprawiały wrażenie, jakby całe życie spędził w siłowni, a wojskowa kurtka i ciężkie buty dodawały mu groźnego wyglądu. Spojrzenie miał tępe i puste. Nie wyglądał na życzliwego, wręcz przeciwnie, Malinowski był więcej niż pewien, że przybysz nie ma dobrych zamiarów.

– Dobry, można? – zapytał Malinowskiego tonem niezdradzającym inteligencji. Zanim komisarz zdążył odpowiedzieć, młodzieniec mówił dalej: – Ja po ten wpis, co mnie doktor obiecał, wie doktor, ten z tych... no... no z tych zajęć, co z doktorem mam, wie doktor.

– Nie, to znaczy ja w ogóle... pan mnie z kimś pomylił. Ja nie... – odrętwiały Malinowski starał się wybrnąć jakoś z niezręcznej sytuacji.

– Jak nie?! Co nie?! Na listach żem jest? Jest! No! To to znaczy, żem był i chodził i wpis musi być, tak czy nie?! – dochodził swego chłopak, a jego fizys

stawiała się coraz to bardziej agresywna.

– Dobrze, już piszę. – Komisarz postanowił zakończyć ten bezowocny dialog. – Proszę indeks. Jak nazwisko pana?

–Nieszpora Adam.

– Rok?

– Siedemdziesiąty dziewiąty. – Malinowski o mało nie parsknął śmiechem.

– Pytałem o rok studiów, nie urodzenia pana.

– A, sorry. To znaczy trzeci. Jestem na trzecim roku teraz, zaocznie – uściślił młody mężczyzna.

– Świetnie! – Oficer wyjął z kieszeni długopis i wpisał zaliczenie do indeksu. W rubryce „podpis wykładowcy” wykaligrafował starannie: „Komisarz Jan Malinowski”, zamknął indeks i wręczył go uradowanemu studentowi.

– No, dziękuję. Z pana, doktorze, to jest równy gość. Ja od razu wiedziałem. To ja już polecę, do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział grzecznie Malinowski i zamknął za chłopakiem drzwi. Dopiero teraz, gdy odczekał kilka sekund, wybuchnął szyderczym, nieopanowanym śmiechem.

Na zewnątrz zachodziło już słońce. Pomarańczowe światło kładło się miękko na miejskim krajobrazie. Czerwień i żółcień nieśmiało zaglądały przez szyby jadącego miastem policyjnego radiowozu. W środku, na siedzeniu pasażera siedziała Zuzanna. Niespełna pół godziny temu dostała pilną wiadomość z posterunku, a teraz z każdą minutą coraz bardziej ogarniały ją czarne przeczucia. Po raz pierwszy w swojej karierze nie wiedziała, nie przypuszczała nawet, z czym ma do czynienia. Bała się. Bała się tego, co może ją spotkać. Bała się tego, na co być może się natknęła. Bała się przede wszystkim tego, że nie podoła, że nie uda jej się rozwiązać tej zagadki, zanim zginie ktoś następny. Nie miała pewności, ale coś jej mówiło, że te dwie sprawy, tajemniczego liściku i śmierci jej asystenta, mogą mieć coś

wspólnego. Na domiar złego w mieście było niespokojnie. Niewyjaśnione okoliczności śmierci tamtej dziewczyny i jej nauczyciela podsycaly plotki wśród opinii publicznej. Oczy wszystkich kierowały się w stronę Zuzy. Żądali od niej odpowiedzi, których nie była w stanie udzielić. Znalazła się w potrzasku, z którego nie potrafiła się wydostać. Potrzebowała pomocy.

Komisarz Malinowski z niecierpliwością wyczekiwał przyjazdu pani prokurator. Chodził w tę i z powrotem wzdłuż parkingu, nerwowo przygryzając wargi. To, co przed chwilą zobaczył, zdecydowanie odebrało mu apetyt, nie mówiąc już o dobrym nastroju. Dodatkowo przygnębiało go wspomnienie niedawnej wizyty u Wieczorka. Myślał o tym, jak tuż po zabawnym incydencie z jednym ze studentów klamka gabinetu ponownie się poruszyła i w drzwiach stanął niski i wąty mężczyzna.

Ubrany był w jasną, tweedową marynarkę ze sporymi łatami na łokciach. Miał wysoko podciągnięte, nieco zbyt duże spodnie ściśnięte w połowie torsu mocno wysłużonym, brązowym, skórzanym paskiem. Jego wiek był trudny do określenia, głównie przez włosy, koloru spłowiałego siana. Trudno było zgadnąć, nie przyglądając się z bliska, czy są gęste, czy przerzedzone, lekko siwe, rozjaśniane czy też naturalnie blond. Na twarzy był gładko ogolony i ciut za mocno pachniał tanią wodą kolońską, taką samą, jakiej używali starsi, niezamożni panowie, przyzwyczajeni do peerelowskiej jakości. Na nosie miał duże okulary w cienkich oprawkach, które co chwilę poprawiał nerwowym ruchem, szybko mrugając przy tym oczyma.

– Szalenie panu dziękuję, panie...

– Malinowski, bardzo mi miło. – Komisarz uściśnął wyciągniętą w jego stronę rękę doktora.

– Wieczorek. Jeszcze raz strasznie panu dziękuję.

– Ja przepraszam za to wtargnięcie i w ogóle, ta sytuacja była dość... strasznie mi głupio... – tłumaczył się Malinowski.

– Ależ nie, nie ma o czym mówić, naprawdę. Tak się składa, że byłem tu zaraz obok w toalecie i wyjrzałem, kiedy tylko usłyszałem głosy. Muszę

przyznać, że genialnie pan go rozłożył. Ha! – Wieczorek zatarł radośnie ręce. – Wie pan, ja miewam czasami tego typu sytuacje, jak ta przed chwilą. Tu studiują różni ludzie. Na moje szczęście, tego Nieszpory nie było na moich zajęciach ani razu. Pewnie dlatego wziął pana za mnie. Oni myślą, że ja jestem ślepy i głuchy. Że ja nie widzę, jak dziesięcioosobowa grupa podkłada mi listę obecności z trzydziestoma nazwiskami. A ja, proszę pana, po prostu chcę mieć święty spokój. Po co ja mam się szarpać ze studentami? No niech pan powie? Przecież jeśli nie chcą chodzić, to ja nikogo nie zmuszam, a też i ścigał nie będę, tylko na egzaminie wymagam i już. Przygotowani są, to nie ma problemu, bo widocznie lepiej im idzie nauka w samotności i wykładowca ze swoimi zajęciami jest stratą cennego czasu. Ja to rozumiem, sam swój czas cenię ponad wszystko inne. Ale raz na jakiś czas się trafi kanalia, jak ten Nieszpora, nie przymierzając, no i wtedy jestem po prostu zmuszony, wie pan... no daję wpis i puszczam z Bogiem. Mam nawet wyrzuty sumienia z tego powodu. Bo to moja odpowiedzialność, że wypuszczam niekompetentnego człowieka z dyplomem w świat, a on, nie daj Boże, w politykę idzie albo jako ekspert w telewizji występuje. Ale z drugiej strony, czy ja mam się bandytom podkładać tylko po to, żeby gawieź przed idiotami chronić? Przed wszystkimi i tak nie dam rady, to raz. A dwa, że to nasze społeczeństwo też ma w większości intelekt jak ten Nieszpora. Sami sobie takich przywódców wybierają, to może i dobry uczynek robię, że dzięki mnie mogą myśleć, że ich lider czytany jest i ogólnie światłym człowiekiem... Jak pan sądzi?

– Ja? Ja chyba nie mam zdania – uśmiechnął się pod nosem Malinowski. – Właściwie to ja tu do pana przyszedłem w całkiem innej sprawie. – To mówiąc, odsłonił ręką połą płaszcz, wskazując na lśniącą odznakę policyjną.

– Pan z policji? – zmieszał się Wieczorek. – W takim razie... w czym mogę pomóc?

– Otóż chodzi o to, że prowadzę pewne śledztwo – zaczął komisarz.

– Proszę, proszę, niech pan siada. – Doktor wskazał mu biurko i puf stojący tuż przy nim. Sam zajął miejsce za blatem i szybkim ruchem odsunął

stos książek i dokumentów, robiąc na nim trochę wolnego miejsca. Malinowski usiadł i sięgnął do kieszeni po kopertę z czterowersem.

– Uprzedzam, że to, co panu teraz pokażę, stanowi materiał dowodowy. Nie powinien pan z nikim na ten temat rozmawiać. Zwłaszcza z prasą. To szalenie istotne dla przebiegu śledztwa, zgadza się pan?

– Tak, oczywiście, rozumiem. – Delikatnie wyjął kartkę z koperty i rozłożył ją przed sobą na biurku. Poprawił okulary, skierował światło lampki wprost na papier i spojrzął na wykaligrafowany tekst. Kontemplował go chwilę, zanim sięgnął do szuflady po małą lupę do dokumentów. – Czego pan ode mnie oczekuje?

– Najpierw proszę mówić wszystko, co pan może z tego odczytać.

– Dobrze, zatem... – Przyjrzał się uważniej drobnemu tekstowi na kartce. – To jest klasyczny tetrastych sylabotoniczny, chociaż, mam wrażenie, jakby wyjęty z kontekstu. Rymy krzyżowe, paroksytoniczne, dokładne. Papier czerpany, dość drogi, ale nie widzę żadnych emblematów. Pismo bardzo staranne, artystyczna kaligrafia, bez wątpienia ręczna. Powiedziałbym, że to robota kogoś, kto otrzymał wykształcenie w tym kierunku, ale teraz mnóstwo jest tych kursów wieczorowych i tego typu historii. Może tam należałoby szukać. – Podniósł wzrok na policjanta i ponownie poprawił okulary.

– Nie zrozumieliśmy się. Przepraszam, powinienem głębiej pana wprowadzić. Sądzymy, że to może być coś w rodzaju ostrzeżenia. Taka próba zwrócenia na siebie uwagi. Miałem nadzieję, że zinterpretuje pan dla mnie ten wierszyk i wskaże, gdzie powinienem skierować swoje poszukiwania. Byłby pan w stanie zrobić coś takiego?

– Na pewno nie od razu. I na pewno nie tak zupełnie z powietrza, rozumie pan. Ja nie jestem, niestety, wróżką, tylko skromnym pracownikiem naukowym. Nawet nie astrofizykiem ani matematykiem. To, czym się zajmuję, wymaga poznania szerokiego kontekstu. Mogę oczywiście zgadywać po omacku, o co chodziło autorowi, ale bezpieczniej byłoby, gdybym mógł to minidzieło osadzić w jakiejś rzeczywistości, w jakimś czasie. Pomocne

byłoby, gdybym wiedział, czy jest to fragment, czy całość oraz kto jest autorem. Mam tu na myśli to, czy mam do czynienia z jakimś przekładem czy poezją własną. Na tę chwilę mogę tylko powiedzieć, że nigdy dotąd nie zetknąłem się z tym, co mi tu pan pokazuje. Stylizacja jest nieco archaizująca, być może biblijna, wskazująca na jakieś proroctwo czy wróżbę, zatem możliwe, że mamy do czynienia z jakąś formą groźby. Ale w tym momencie, nie widząc niczego poza tekstem, nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Rozumiem i dziękuję za poświęcony czas. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czego ewentualnie potrzebowałby pan, żeby zorientować się w tym dokładniej.

– Nie wiem, czym państwo dysponujecie. Najlepiej byłoby, gdybym miał trochę czasu sam na sam z tekstem i resztą dokumentacji ze sprawy. Ale zdaję sobie sprawę, że policja nie wtajemnicza w swoje śledztwa nikogo poza absolutnie niezbędnymi ekspertami. W takim wypadku obawiam się, że to wszystko, co mogę dla pana zrobić, komisarzu. – To mówiąc, oddał Malinowskiemu kopertę. – Jeszcze raz dziękuję za pomoc z tym Nieszporą. Jestem panu dozgonnie wdzięczny i jeśli tylko będzie pan miał coś, w czym będę mógł pomóc, jestem do dyspozycji.

– Dziękuję, panie doktorze. Mam wrażenie, że bez pana niczego nie wskóramy, jednak wtajemniczenie pana w śledztwo prokuratury wychodzi poza moje kompetencje. Postaram się jakoś temu zaradzić, a na razie pożegnam się. Do widzenia panu.

– Do widzenia, komisarzu. Gdyby cokolwiek, to... – sięgnął do kieszeni marynarki – tu jest moja wizytówka.

– Dziękuję raz jeszcze. Do widzenia.

Na wspomnienie tamtej rozmowy Malinowski skurczył się w sobie. Wiedział, że sam sobie nie poradzi, że potrzebna mu będzie pomoc Wieczorka, jednak bał się prosić prokurator o status eksperta dla zupełnie obcego dla niej człowieka. Lękał się, że rozgniewa zwierzchniczkę, a przy tym sam wyjdzie na idiotę i nieudacznika. Dla niego to również było pierwsze

spotkanie z Wieczorkiem. Darzył go jednak bezgranicznym zaufaniem z powodu jego wieloletniej, cichej współpracy z policją w mieście. Poprzednik Malinowskiego wielokrotnie zwracał się o pomoc właśnie do Wieczorka i nie bez powodu miał jego nazwisko zanotowane w swoim służbowym notesie. Nie bez powodu też to właśnie to nazwisko podyktował Malinowskiemu, kiedy ten obejmował stanowisko. Komisarz wiedział, że postąpił należycie i odnalazł właściwą osobę. Teraz pozostawało mu tylko wprowadzić Wieczorka w śledztwo. Nie wiedział jeszcze tylko, jak się do tego zabrać.

Trzaśnięcie ciężkimi wrotami odbiło się wielokrotnym echem od marmurów i złocień świątyni. Zuzie zależało, żeby jak najszybciej stamtąd uciec, zapomnieć o tym koszmarze i znaleźć się w jakiejś miłej knajpce. Szybkim krokiem dopadła do grubej, pluszowej kotary osłaniającej wyjście i niczym złodziejka wysliznęła się przez wąską szczelinę na zewnątrz. Dopiero tu, otulona zewsząd wilgotną mgłą, odetchnęła pełną piersią. Zbierało jej się na wymioty. Nie dlatego, że widok był wyjątkowo odrażający, nie było przecież hektolitrow krwi ani wnętrzności rozrzuconych dookoła. Zresztą w jej profesji żadna z tych rzeczy i tak nie powinna zrobić na niej szczególnego wrażenia. Po prostu poczuła, że to wszystko wymyka jej się z rąk. Z nerwów soki żołądkowe podchodziły jej do gardła. Trzęsły jej się ręce, a oddech znacząco spłycił. Potrzebowała przystanku, chwili tylko dla siebie. Wyłączyła telefon i postawiła kołnierz płaszcz, po czym z wolna zaczęła się oddalać w stronę miasta.

Dopiero w Secie poczuła się lepiej. Młodziutka barmanka zgadła z wyrazu jej twarzy, że dziś nie należy zadawać pytań, wystarczy, że zapewni przygnębionej pani prokurator odpowiedniej pojemności szklaneczkę, flaszkę i coś na zagrychę. Zuzi zajęła stolik przy oknie i siadła tyłem do sali. Nie chciała na nikogo patrzeć i nie życzyła sobie, żeby na nią patrzono. Wprawnym ruchem odbiła dno butelki i odkręciła zakrętkę. Nalała sobie pół literatki i bez namysłu przechyliła ją na raz. Od razu powtórzyła czynność, a po chwili zastanowienia, trzecią setkę wlała już do pełna. Kiedy poczuła znajome ciepło na karku, wreszcie się rozluźniła. Zdjęła modny żakiet i podwinęła mankiety koszuli. Wpatrując się w kraciatą ceratę na stoliku, bez pośpiechu zaczęła analizować dzisiejsze wydarzenia.

Pamiętała wyraźnie, że kiedy radiowóz zajechał na parking, ocknęła się z

myślowego letargu i ze zdumieniem zorientowała się, gdzie się znajduje. Nie pytała wcześniej kierowcy dokąd jadą, po prostu dała się podwieźć na to „pilne miejsce przestępstwa”, o którym powiadomiono ją telefonicznie. Mimo wszystko jednak wybór miejsca postoju wydał jej się co najmniej dziwny. Już otworzyła usta, żeby wypytać o wszystko nieco przestraszonego funkcjonariusza, pełniącego chwilowo funkcję jej szofera, kiedy zauważyła, najwyraźniej czekającego na nią, komisarza Malinowskiego.

Lekko się ociągając, wysiadła z samochodu i skierowała w stronę oficera machającego do niej z daleka ręką. Kiedy tylko się z nim zrównała, zaczęła bez ogródek:

– Komisarzu, czy mógłby mi pan natychmiast wyjaśnić, o co tu chodzi? Bardzo proszę. – Zanim zdążył otworzyć usta, swoim zwyczajem zaczęła mówić dalej: – Dostaję jakiś podejrzany komunikat z centrali, po kwadransie podjeżdża po mnie mundurowy w oznakowanym radiowozie i przywozi mnie tutaj. Pan wybaczy, komisarzu, ale wydaje mi się, że to ja jestem prokuratorem i że z nas dwojga to ja powinnam być wtajemniczona w szczegóły przestępstwa, jeśli takim się zajmujemy. A szczególnie w to, gdzie do owego przestępstwa doszło, nie sądzi pan? Zatem proszę, dokąd powinniśmy się udać? Park? Dewocjonalia? Może te budki z pamiątkami? – Wskazała ręką wlot ulicy Barbary z rzędem drewnianych budek, w których w sezonie odbywał się handel drobiazgami. – Nie? Wobec tego, gdzie... – urwała, zdając sobie sprawę z tego, które miejsce pozostało do tej pory niewymienione.

– Tak, pani prokurator – Malinowski skorzystał ze swojej chwili. – Niestety. Do przestępstwa doszło w klasztorze. Dlatego po panią posłałem. Myślę, że powinna pani...

– Oczywiście – przerwała mu już łagodniejszym tonem. – Chodźmy.

W kaplicy było ciemniej i chłodniej niż na zewnątrz. Każdy krok i każde słowo odbijało się od ścian i było doskonale słyszalne. Przygnębiający mrok rozpraszały tylko nieliczne małe lampki i poustawiane przy wejściu przed Cudowny Obraz świece wotywnie. Mimo że nie była specjalnie religijna, Zuza

poczuła się nieswojo, zbliżając się do głównego ołtarza. Nie wiedziała, czy powinna przyklęknąć, a może przeżegnać się. Po chwili uznała, że to byłoby z całą pewnością okropnie nieprofesjonalne, więc zacisnęła tylko wargi i z wysoko podniesioną głową weszła między rozstawione pośrodku jaskrawe oświetlenie techników. Dopiero teraz zauważyła, z czym tak naprawdę ma do czynienia. Cały czas miała nadzieję, że chodzi o jakieś skradzione wotum albo akt wandalizmu, a oto tuż przed nią leżał trup.

Gruba kobieta, ubrana w puchową kurtkę i moherowy beret, leżała wprost na marmurowej posadzce, w pozycji półklęczącej, twarzą do dołu. Obie dłonie, ściśnięte w pięści, miała wyciągnięte przed siebie. W prawej trzymała różaniec, w lewej zaś ledwie widoczny zwitek papieru, najpewniej tekst jakiejś modlitwy.

– Obróćcie ją – poleciła Zuza z przejęciem, a dwóch niższych rangą funkcjonariuszy od razu zbliżyło się do ciała.

– Stać! – wrzasnął Malinowski, a mundurowi natychmiast zamarli w bezruchu. – Rękawiczki, barany – dodał już ciszej, a w kaplicy wciąż brzmiał pogłos jego tubalnego basu. Policjanci posłusznie nałożyli lateksowe rękawiczki i z niemałym trudem i najwyższą ostrożnością położyli zwłoki na plecach.

Oczom wszystkich ukazała się zmęczona twarz i opuchnięte wargi kobiety. Jej oczy były przesadnie szeroko otwarte, jakby ktoś przytrzymał je siłą. Wyglądała na przerażoną, ale w wyrazie twarzy było coś jeszcze, jakby błaganie o pomoc. Wszyscy zgromadzeni patrzyli na nią w milczeniu. Pierwszy odezwał się Malinowski.

– Monitoring sprzed wejścia do kaplicy wskazuje na to, że około dwudziestej wieczorem kaplicę opuścili ostatni wierni. Starsza kobieta i młody mężczyzna, którzy przyszli tu w towarzystwie zmarłej. W tej chwili próbujemy do nich dotrzeć. Ciało odnalazł o świcie funkcjonariusz straży jasnogórskiej. Jego przesłuchanie na posterunku trwa. Wszystko wskazuje na to, że w chwili śmierci była tutaj sama. To znaczy... mam na myśli to, że nie odnaleźliśmy na miejscu żadnych śladów walki. Gdyby nie pewne

okoliczności, brałbym za pewnik, że po prostu dostała zawału serca albo wylewu czy czegoś takiego. Na razie jednak czekamy na opinię biegłych w tej sprawie.

– Powoli. Jakie okoliczności? O czym pan mówi? – chciała wiedzieć Zuza.

– Otóż... pani prokurator... – zaczął niepewnie komisarz. – Przeor klasztoru twierdzi, że z miejsca, w którym teraz stoimy, zniknął dywan.

– Co takiego?

– Długi, ciężki, czerwony dywan, który został rozłożony tutaj kilka dni temu w trosce o wiernych, klęczących bezpośrednio na lodowatej, marmurowej posadzce. Podejrzewamy, jeśli wierzyć duchownemu, że złodziej musiał wydobyć go spod ciała. A więc albo przyszedł tu właśnie po niego i zlekceważył leżącego na środku trupa, albo też, co wydaje się jednak znacznie bardziej prawdopodobne, szabrownik jest powiązany ze śmiercią tej kobiety lub bezpośrednio w to zamieszany i zabrał z sobą dywan, aby pozbyć się śladów. Zresztą nie widzę innego powodu, dla którego miałyby kraść co prawda dość nowy, ale już sfatygowany i w ogóle bezwartościowy chodnik. Nawet jeśli wierzyłyby, że kobierzec sprzed Najświętszej Panienki ma jakieś cudowne moce, to wydaje mi się, że ludzie wierzący nie okradają na ogół własnego Boga. Co pani na to? Pani prokurator? Co pani o tym sądzi?

Tym razem to Zuza patrzyła na niego okrągłymi oczyma i próbowała ogarnąć umysłem lawinę informacji i pytań, którą ją zasypał.

– Nie wiem, nie jestem specjalnie religijna, komisarzu – odparła z roztargnieniem. Swoją odpowiedzią zbiła Malinowskiego nieco z tropu.

– Pytałem o sprawę... Co pani myśli o sprawie, pani prokurator?

– A, tak... przepraszam, zamyśliłam się – odpowiedziała Zuza i przez chwilę z uwagą wpatrywała się w ciało zmarłej. – Zastanawiam się, czy ktoś już sprawdzał tę kartkę, którą ona trzyma w ręku. – Wskazała palcem pomięty zwitek, tkwiący w zastygłej garści denatki. Technicy i funkcjonariusze popatrzyli po sobie i pokiwali przecząco głowami.

– Świetnie, wobec tego może ja powinnam? – Zuza najwyraźniej odzyskała zimną krew. – Poproszę o rękawiczki.

Jeden z mundurowych natychmiast podał jej pudełko lateksowych rękawiczek. Zuza naciągnęła jedną i z niezadowoleniem stwierdziła, że jest ona dużo za duża. Pominęła to jednak milczeniem i nakładając drugą, przykucnęła przy martwym ciele kobiety. Ostrożnie ujęła ją za nadgarstek i podniosła ciężką z powodu stężenia pośmiertnego rękę. Przez chwilę próbowała rozgiąć jej zaciśnięte palce, aż w końcu wydobyła ze sztywnej pięści pognieciony karteluszek.

– Mam! – ucieszyła się i podekscytowana podeszła do jednej z oświetlających miejsce przestępstwa lamp. Przysunęła sobie jedno ze składanych krzesełek, usiadła i delikatnie rozgięła papier. Szybko przeczytała wypisane tam ręcznie słowa i gwałtownie pobladła.

– O Jezu... – wymamrotała, wpatrując się w tekst. – O matko... muszę wyjść, przepraszam, muszę wyjść... – powiedziała, po czym zerwała się z miejsca tak raptownie, że przewróciła krzesło.

– Wszystko w porządku? Pani prokurator, może ja panią odprowadzę?

– Nie! – przerwała Malinowskiemu. – Nic nie jest w porządku! Niech się pan lepiej TYM zajmie – to mówiąc, rzuciła mu papierowy karteluszek. – A mnie proszę już dzisiaj zostawić w spokoju! – Po tych słowach odwróciła się i odeszła.

Przez chwilę słyszeli jeszcze stukot jej obcasów i widzieli szczupłą sylwetkę oddalającą się w stronę drzwi. Kiedy po sanktuarium rozległ się zwielokrotniony trzask zamykanych wrót kaplicy, komisarz Malinowski wydał rozkaz, żeby wszyscy wracali do swoich obowiązków. Sam natomiast ostrożnie podniósł krzeselko i zajął miejsce, na którym przed chwilą jeszcze siedziała Zuza. W skupieniu przyjrzał się nowemu dowodowi w sprawie. Na zmiętej kartce widniało wyraźnie:

Na chwałę Najpotężniejszego!

Odejdźcie, ofiara spełniona

*Znalazłszy się w winie Wiecznego
Skrwawionych tłum owiec tu skona*

Komisarz odłożył papier i przeżegnał się z nabożeństwem. Morderca nie pozostawiał miejsca na najmniejsze wątpliwości. Śmierć tej kobiety nie była nieszczęśliwym wypadkiem, nie była też ostatnią jego zbrodnią. Malinowski wiedział, że trzeba mu cudu, żeby wpaść na właściwy trop tutaj, w miejscu, gdzie codziennie przebywało kilkaset osób, gdzie każdy zostawiał ślady butów i odciski palców. Nie miał niczego, poza tym kawałeczkiem papieru. Spojrzał na niego wzrokiem pełnym rezygnacji i wyszeptał jedyne, co przychodziło mu w tej chwili do głowy: – Boże, miej nas w swojej opiece.

– Janusz, muszę ci o czymś powiedzieć. To bardzo ważne, ja... – przerwała, czując, że to nie jest dobry sposób na rozpoczęcie rozmowy. Odetchnęła głęboko i zaczęła ponownie:– Janusz, kochany! Minęło tyle czasu! – Tym razem wyszło nazbyt entuzjastycznie. – Proszę księdza, mam problem. Potrzebuję księdza rady... twojej rady, Janusz... Nie, to bez sensu! – Zrezygnowana przysiadła na skraju hotelowego łóżka. Przygładziła dłonią nieco zmięty róg wełnianej spódnicy i zapatrzyła się w ścianę. Chyba żadne ćwiczenie nie mogło przygotować jej do tej rozmowy.

– Nie mogę! Widzisz, kochanie, sam widzisz, że nie potrafię! Po prostu się do tego nie nadaję! Nie wiem nawet, jak zacząć! – Usłyszała swój z wolna łamiący się głos i poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona. – A ty? – dodała niemal szeptem. – Nic nie powiesz, maleńki? Niczego mi nie doradzisz? – Pogłaskała z czułością swój pękaty brzuch. – Tak, wiem. To ja tu jestem dorosła. To do mnie należy decyzja. I zrobię to. Zrobię to dla siebie i dla ciebie, i dla Zuzy... – Uśmiechnęła się i otarła chusteczką zwilgotniałe oczy.

Zuza obudziła się tego dnia znacznie później niż zwykle. Mimo zaciągniętych rolet w pokoju panował sinawy półmrok, wskazujący na to, że słońce dawno już wstało. Pani prokurator niechętnie odsunęła kołdrę i usiadła na łóżku. Nie bez zdziwienia stwierdziła, że ma na sobie rajstopy i elegancką, ołówkową spódnicę. Z wysiłkiem usiłowała sobie przypomnieć, jak skończył się wczorajszy wieczór, ale pamiętała tylko czerwoną kratę ceraty, która leżała na jej stoliku w Secie. Głowa bolała ją niemiłosiernie. Panująca w domu cisza rozsadzała jej półprzytomny mózg. Musiała wstać i napić się czegoś. Później zdecyduje, co dalej.

Ostrożnie dźwignęła się na nogi i podeszła do niedbale rzuconego na oparcie fotela płaszcza. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej telefon

komórkowy.

– Wyłączony... cholera jasna, dlaczego ja zawsze wyłączam ten jebany telefon?! – zaklęła zniecierpliwiona, próbując wprowadzić kod pin. Kiedy wyświetlacz rozbłysnął w takt melodii powitalnej, twarz Zuzy skrzywiła się w pełnym bólu grymasie. – Nie tak głośno, kurwa... – Przytknęła dłoń do małego głośniczka i oddaliła od siebie telefon na odległość wyciągniętego ramienia. Oczekała kilka sekund, a kiedy melodia umilkła, ponownie spojrzała na wyświetlacz. – Wprowadź aktualną godzinę i datę... – przeczytała pod nosem komunikat. – No to pięknie, zajebicie po prostu! Nie znam, kurwa, aktualnej godziny i daty! Kurwa! – Wzburzona rzuciła telefonem w skotłowany kłęb pościeli na łóżku. Szybkim krokiem podeszła do okna i podniosła roletę. Blask promieni słonecznych, nieśmiało przedzierający się przez gęste chmury, poraził jej oczy. – Cholera jasna! – zaklęła i mrużąc opuchnięte powieki, na powrót zaciągnęła żaluzję. W tym momencie rozległ się donośny dźwięk dzwonka do drzwi.

Radosna i żwawa melodyjka obwieszczająca nadejście gości zawsze doprowadzała Zużę do szału. Trwała o kilka sekund za długo i na domiar złego powtarzała się trzykrotnie, jeśli guzik dzwonka został naciśnięty więcej niż raz. A w tym mieście niemal wszyscy, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, naciskali dzwonek dwukrotnie, jakby oczekując tego filmowego „ding-dong, ding-dong”, którego przecież nie spotykało się w rzeczywistości. Wszyscy, u których prywatnie czy służbowo bywała Zuza, wyposażali swoje domy w dzwonki brzmiące metalicznie albo te ze skoczną melodyjką. Co szczęśliwsi w ogóle nie posiadali dzwonka lub mieli taki, który od dawna już nie działał. Ale mimo że nikt, kogo Zuza znała, nie miał dzwonka typu „ding-dong”, denerwujący zwyczaj podwójnego dzwonienia mieli chyba wszyscy.

Tym razem dźwięk dzwonka nie tylko ją rozdrażnił. Swoim żwawym brzmieniem wwiercał jej się bezpośrednio do mózgu, miażdżąc te jego niewielkie fragmenty, które do tej pory nie były jeszcze dotknięte uporczywym bólem. W obu skroniach czuła wyraźnie ostrza monstrualnych szpikulców do lodu. Na czoło wystąpił jej zimny pot, a w tyle głowy

doświadcziała takiego bólu, jaki towarzyszy silnemu uderzeniu tępym narzędziem. Pragnąc jedynie położyć kres tym nieskończonym torturom, ruszyła w kierunku drzwi. Potykając się po drodze o meble i części garderoby, rozrzucone niedbale po podłodze, wycieńczona niehumanitarnym cierpieniem, dopadła klamki. Bezmyślnie szarpnęła za nią, nie myśląc o tym, kogo zastanie po drugiej stronie drzwi. Te jednak nie ustąpiły, domagając się wyraźnie uprzedniego zwolnienia zamka, na który były zatrzaśnięte. Zuza otworzyła go bez trudu, przekręcając w prawo małą gałkę umieszczoną na wysokości wzroku. Na szczęście dla niej w tym właśnie momencie uparty dzwonek przestał wygrywać swoją przasną melodyjkę i mogła opanować się na tyle, żeby zauważyć opłakany stan, w jakim się znajdowała. Wycofała się o kilka kroków i złapała frotowy szlafrok, wiszący na krześle opodal. W pośpiechu owinęła się nim i zdążyła jeszcze odsunąć z przejścia kocią kuwetę, zanim ponownie ruszyła ku drzwiom. Za wszelką cenę chciała uniknąć kolejnego odsłuchania kuranta. Tym razem spokojniej nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi.

– Pani prokurator, Bogu dzięki! Nie można się do pani dodzwonić, nie przyszła pani do biura. Przeraziłem się, że może coś się pani stało. Biorąc pod uwagę tę sprawę z liścikiem... Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, ale naprawdę byłem pełen obaw. Była pani taka zdenerwowana wczoraj, tak nagle pani wyszła... Całe szczęście, że wszystko w porządku! Chciałem wysłać tu kogoś z młodych, ale uznałem, że to ja powinienem sprawdzić, czy wszystko z panią dobrze. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe tego nagłego najścia, ale proszę zrozumieć, naprawdę się niepokoiłem...

Zuza patrzyła na Malinowskiego nieprzytomnymi oczyma, nie wiedząc jak powinna się teraz zachować. Przeanalizowała w myślach swoją sytuację i doszła do wniosku, że musiałby być idiotą, żeby nie zorientować się, w czym rzecz. Nawet jeśli do tej pory nie wyczuł od niej woni przetrzawionego alkoholu, z pewnością poczuje ten charakterystyczny odór, kiedy tylko otworzy usta. A musi się przecież odezwać.

– Cholera... – wyrwało jej się zanim wysłuchała go do końca.

– Proszę?

– Nie, nic... – ponownie umilkła, z trudem opanowując podchodzące do gardła wymioty. – Dzień dobry, panie komisarzu – powiedziała niepewnie, nie mając w zanadru niczego bardziej błyskotliwego.

Malinowski nigdy wcześniej nie widział jej zawstydzonej. Dopiero teraz zwrócił uwagę na jej nie typowy strój i zachowanie. Włosy miała w nieładzie, cerę zmiętą i bez wątpienia wczorajszy, porządnie wybrakowany makijaż. Mógłby pomyśleć, że dopadła ją grypa, ale spod domowego szlafroka wystawał jej kołnierzyk eleganckiej bluzki, w której z całą pewnością widział ją wczoraj. Ponadto mógłby przysiąc, że czuje od niej coś, jakby mieszankę alkoholu i wymiocin. Patrzył na nią z niedowierzaniem, z miną tyleż zaskoczoną, co pełną wyrzutu.

– Proszę, niech pan wejdzie – dodała po chwili, kiedy z wyrazu jego twarzy odczytała z całą pewnością, że wie już wszystko. Zresztą teraz i tak było jej już wszystko jedno.

Malinowski opuszczał mieszkanie Zuzy pełen sprzecznych uczuć. Z jednej strony rad był, że udało mu się załatwić ważną dla niego sprawę, jaką było uzyskanie zgody pani prokurator na wtajemniczenie w śledztwo doktora Wieczorka. Z drugiej jednakże nigdy wcześniej nie przypuszczał, że będzie miał wątpliwą przyjemność oglądać swoją zwierzchniczkę w tak opłakanym stanie.

To, co zastał, kiedy wpuściła go do środka, było dla niego więcej niż szokiem. Całe mieszkanie pogrążone było w zaskakującym chaosie. Na wszystkich meblach zalegała gruba warstwa kurzu. Podłoga usiana była różnymi częściami garderoby, z których zdecydowana większość nosiła ślady użycia. Tu i ówdzie wałały się puste butelki po piwie, winie i innych, droższych napitkach, w kuchni zaś piętrzył się stos worków ze śmieciami i opakowań po jedzeniu na wynos. W całym domu śmierdziało strawionym alkoholem i stęchlizną. W oknach pozaciągane były rolety i zasłony, a tapczan z nieświeżą pościelą przypominał bardziej niechlujny barłóg bezdomnego niż łóżko poważnej pani prokurator.

Ten obraz nędzy i rozpaczny sprawił, że jego wyobrażenie na temat Zuzanny Bachledy zmieniło się diametralnie. W mgnieniu oka przestała mu się jawić jako silna i niezłomna kobieta, której należy się lękać. Stracił dla niej nie tylko szacunek, ale i wszelkie wyższe uczucia. W swoich zmiętych łąkach nie wydawała mu się już tak atrakcyjna i pociągająca. Jedyne, co powstrzymało go przed wyrażeniem niewybrednego komentarza na jej temat, to fakt, że wciąż pozostawała jego zwierzchniczką i miała władzę, żeby pozbawić go posady. W tej sytuacji wolał nie ryzykować i udawać, że nie ma sprawy, a przede wszystkim trzymać gębę na kłódkę. Miał absolutną pewność, że i teraz, i jeszcze wielokrotnie w jego karierze ta nieoczekiwana wizyta w

mieszkańcu pani prokurator wyjdzie mu na dobre. A sama Zuza, choć nie powiedziała tego wprost, będzie mu dożgonnie wdzięczna za milczenie i zawiązką zrekompensuje mu dotychczasowe, nie zawsze odpowiednie względem niego, zachowanie.

Uśmiechnął się do tej myśli. Znowu posunął się o krok do przodu. Teraz pozostawało jeszcze tylko rozwiązać tę idiotyczną sprawę, żeby z nieznaczną protekcją prokurator Bachledy uzyskać dodatkową gwiazdkę na pagonach.

– Uda się! – powiedział radośnie, parkując pod komisariatem, i zatarł ręce.
– Teraz na pewno się uda!

Tego dnia Klara nie czuła się dobrze. W ogóle miniony tydzień nie należał do szczególnie udanych. Znowu wstała niewyspana, a na domiar złego miewała coraz to dziwniejsze sny. Brzuch z dnia na dzień wydawał się pęcznić i Klara miała wrażenie, że lada chwila wybuchnie. Nie mogła już nie tylko samodzielnie wiązać butów, ale w ogóle schylać się czy wchodzić po schodach. Jeżdżenie samochodem również nie było łatwym zadaniem, a wysłużone suzuki zdawało się cicho pojękiwać za każdym razem, kiedy jego właścicielka siadała za kierownicą. Mimo to Klara wiedziała, że czas nie gra na jej korzyść i jeśli nie chciała rodzić w Częstochowie, musiała jak najszybciej skończyć swoje artykuły i wracać do siebie. Tym bardziej postanowiła odłożyć cudze problemy na potem i zająć się rzeczami naprawdę istotnymi, jak choćby wykonanie zlecenia, które miało zapewnić jej i dziecku utrzymanie przez najbliższe miesiące.

Wczoraj wieczorem mailowała już do redaktora Sikorskiego, informując go, że artykuł dotyczący budżetu „świętego miasta” jest skończony i gotowy do druku. Czekala wprawdzie na jego odpowiedź w sprawie dodatkowego tekstu, ale była pewna, że tajemnicza śmierć dwójki kochanków w hotelowym pokoju u stóp Jasnej Góry zainteresuje go na tyle, żeby zapłacić jej za opisanie owej afery. Rzecz ja sna, poczciwina Sikorski nie mógł wiedzieć, że Klara nie będzie miała najmniejszych trudności ze zdobyciem najpikantniejszych szczegółów tej sprawy. Nie podejrzewał nawet, że po prostu uda się do

gabinetu prokuratora i przejrzy stosowne teczki z aktami. Co więcej, zapewne nie śniło mu się, że będzie jej wolno własnoręcznie wykonać zdjęcia na miejscu zdarzenia i porozmawiać ze świadkami, do których nie dotarła policja. Świetnie, wspaniale! Niech zatem wyobraża sobie ciężarną kobietę, która w pocie czoła i z narażeniem życia zdobywa dla niego niezbędne informacje, a później zapłaci za gotowy artykuł jak za zboże. A zaraz potem niech podpisuje Klarze podanie o urlop macierzyński, wychowawczy, wypoczynkowy i w ogóle o wszystkie możliwe urlopy świata i niech wreszcie wszyscy dadzą jej święty spokój!

– Spokój. Mój Boże... – rozmarzyła się Klara. – Tego właśnie nam potrzeba, skarbie. Świętego spokoju. Jak już będziesz z mamą, urządzimy sobie wakacje życia, wiesz? Będziemy leżeć w pościeli i przytulać się do siebie... Mamusia będzie się tobą opiekować, a latem pojedziemy w jakieś fajne miejsce, tylko ty i ja, chcesz? I nikt nam nie będzie przeszkadzał... i nikt niczego nie będzie od nas chciał. Będziemy sobie spacerować godzinami po parku i grzać się na kocu, na trawie... a trawa latem tak pięknie pachnie, wiesz? Tak pięknie... – Pogłaskała swój olbrzymi brzuch z błogim wyrazem twarzy, a po chwili podjęła energicznie: – No, ale teraz mama musi się zbierać, bo nam ten temat wystygnie. – Uśmiechnęła się i przystąpiła do porannej toalety.

Nałożyła delikatny makijaż i poprawiła uczesanie. Przyglądając się uważnie swojemu odbiciu w niedużym hotelowym lustrze, obiecała sobie, że załatwi tę sprawę jak najszybciej i przestanie przejmować się problemami innych. W planie miała szybki i niewymagający zbytniego wysiłku zarobek. Zamierzała z całą stanowczością zlekceważyć swoje idiotyczne przecucia i pozostać w dobrym nastroju, aż do niedługiego – miała nadzieję – rozwiązania. Ostatecznie babcia nie mogła mieć zawsze i we wszystkim racji, a jej ostatnie złe myśli mogły być równie dobrze efektem zwykłego przemęczenia i rozstroju hormonalnego. No bo czy emocjonalne rozchwianie nie jest w jej wypadku dalece bardziej prawdopodobne niż nagłe objawienie nadprzyrodzonych zdolności?

Poprawiła kołnierzyk i wrzuciła telefon do torebki. Zamykając drzwi do pokoju, zaśmiała się z samej siebie.

– Przemęczenie, po prostu! Jasne, że tak! – Schyliła się z trudem, żeby poprawić rajstopy, po czym dodała z kpiącym uśmiechem: – Czarownica... też coś!

Zuza siedziała za biurkiem swojego gabinetu i bezmyślnie przekładała stosy dokumentów. Kolejny raz walczyła z porannym bólem głowy, spowodowanym wczorajszym pijaństwem, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że teraz już musi mieć się na baczności. Po ostatnim incydencie musiała zrobić wszystko, żeby odzyskać utracony szacunek w oczach komisarza Malinowskiego. Najpierw jednak, na wszelki wypadek, planowała po prostu schodzić mu z drogi. Niech ochłonie, a ona w tym czasie powolutku dojdzie do siebie.

Z zamyślenia wyrwało ją donośne chrząknięcie. Podniosła głowę i spojrzała w kierunku, skąd dochodził dźwięk. W drzwiach stała Klara.

– Witam szanowną koleżankę! – przywitała się radośnie. – Czy można?

– Klara! Jasne, wchodź. Słuchaj, przepraszam, zaniedbałam cię ostatnio, ale wiesz, mam tyle na głowie. Poczekaj tylko, aż wszystko ci opowiem. Napijesz się czegoś? – spytała i nie czekając na odpowiedź, nalała jej szklanek mineralnej. – A może chcesz gdzieś wyskoczyć, co? Na kawkę, na drinka? Jak się czujesz w ogóle, hm? Wszystko z wami dobrze? Jejku, Klarka, ty zaraz wybuchniesz przecież! – Zaśmiała się dźwięcznie. – No super wyglądasz z tym brzuchem, słowo daję! Kiedy masz termin, co? Jakoś na dniach chyba, nie? Kurczę, no nigdy nie mogę spamiętać... ale jak już Junior będzie z nami, to obiecuję być najlepszą cicią na świecie! A datę urodzin to sobie chyba wydziaram, wiesz? No, żeby nie zapomnieć! – Znów zaśmiała się i ciągnęła: – Ale Klara, co ty tak nic nie mówisz? Załatwiłaś te swoje artykuły w ogóle? Mam nadzieję, że oczarowałaś tego swojego, pożałuj Boże, Sikorskiego i że da ci już spokój przed porodem, co? Od kiedy ty w ogóle zamierzasz iść na zwolnienie? No bo wiesz, ja nie chcę być złym prorokiem, ale lepiej, żebyś mi

tu nie urodziła. To znaczy, nie zrozum mnie źle, chcesz, to rodź, gdzie tam sobie chcesz, ale trochę głupio chyba tak wracać z dzieckiem do hotelu, nie? Swoją drogą ciekawe, czy tak można w ogóle, co uważasz? Zameldować noworodka w hotelu? Jak myślisz?

Klara, przyzwyczajona do nieustannego trajkotu przyjaciółki, przysiadła na krześle przeznaczonym dla interesantów i cierpliwie czekała. Zanim Zuza zrobiła sobie przerwę na oddech, zdążyła już wypić prawie całą szklanekę wody mineralnej i policzyć, że zadano jej kilkanaście pytań bez cienia szansy na udzielenie odpowiedzi. Perspektywa spędzenia tu całego przedpołudnia w oczekiwaniu na swoją kolej, żeby wtrącić choćby słówko, wydała jej się komiczna. Wyobraziła sobie siebie, zarastającą powoli mchem i spowitą pajęczyną, a tuż obok Zuzę, która nie przestaje mówić. Ta wizualizacja sprawiła, że zupełnie tego nie kontrolując, Klara o mało się nie udławiła, wybuchając nagłym, histerycznym śmiechem.

– Klarka! Jezus Maria, wszystko z tobą w porządku? Z czego tak rżysz, głupia?! Udusisz się przecież, Klara!

– Nie, nie, przepraszam cię, Zuziu, po prostu przypomniał mi się jeden dowcip, wiesz? Bardzo dobry... – Klara próbowała powstrzymać się od śmiechu. – O! Już jestem spokojna, widzisz? – Zrobiła poważną minę, a dłonie złożyła w charakterystyczny dla buddystów gest wspomagający medytację. Wytrzymała w tej pozycji kilka sekund, po czym obie z Zuzą wybuchnęły gromkim śmiechem.

– Dobra, starczy tego dobrego – powiedziała Klara i otarła chusteczką załzawione ze śmiechu oczy. – Jesteśmy obie dorosłe i na poważnych stanowiskach. Powinniśmy chociaż stwarzać pozory, że jesteśmy normalne. – Znowu zachichotała.

– No, niech ci będzie – zgodziła się Zuza. – W takim razie, z czym pani do mnie przychodzi, pani redaktor? – Powstrzymywany śmiech drgał w kącikach jej ust, jednak udało jej się zachować powagę.

– Nic wielkiego. Skończyłam już ten artykuł o prezydenckich

machlojkach. Uważam, że wyszedł nieźle, podrzucę ci w wolnej chwili. Myślę, że ci się spodoba. – Dopija resztkę wody i odstawia szklanę. – Ale ja nie o tym. Wspominałaś, że mogę sobie skrobnąć jeszcze jeden ekstra. Wiesz, ten o podwójnej śmierci hotelowej. Napisałam już o tym Sikorskiemu i on jest w zasadzie zainteresowany, a mnie by się przydało dodatkowych parę stów. I tak sobie pomyślałam, czy nie udostępniłabyś mi kilku raportów może, co? Żebym się zanadto nie przemęczyła przy tym śledztwie dziennikarskim. – Puściła do Zuzy perskie oko i mówiła dalej: – Machnę to szybciotko, skoczę do Mercure, popstrykam kilka zdjęć i będę mogła w spokoju oddalić się w swoją stronę, co? Proszę... – Złożyła ręce jak do modlitwy i z błagalnym wyrazem twarzy zamarła, czekając na odpowiedź.

– No nie wiem, nie wiem... – droczyła się Zuza. – A co ja będę z tego miała? Hm?

– Wszystko, wszystko, co zechcesz. Mogę na przykład postawić ci kawę.

– Kawę mówisz? A kiedy?

– Choćby zaraz, stoi? – Wstała i podała przyjaciółce rękę na znak dobitego targu.

– Dobra, to chodźmy, bo nam wystygnie ta kawa – zdecydowała Zuza z uśmiechem, po czym szerokim gestem wskazała Klarze drzwi. – Proszę, pani przodem.

Klara zdjęła z wieszaka płaszcz i razem wyszły na korytarz. Zanim dotarły do wyjścia, w całej prokuraturze raz po raz rozbrzmiewały ich dźwięczne, stłumione śmiechy.

Po kawie i szarlotce w Belgu poszły jeszcze na pierogi do Sety. Rozmawiało im się nad wyraz miło, jednak Klara zmuszona była się pożegnać. Bardzo jej zależało, żeby jeszcze tego popołudnia przejrzeć chociaż część udostępnionego przez Zuzę materiału, ale jej priorytetem była wizyta w hotelu Mercure.

Skierowała swoje ociężałe kroki w stronę Alej i zabawnie kołysząc się na boki, podążyła deptakiem w górę. Powoli mijała dziesiątki opustoszałych kawiarni i restauracji. Mimo niezłej jak na tę porę roku pogody ulica była niemalże pusta. Tu i ówdzie można było zauważyć pojedyncze szare i do bólu zwykle twarze ludzi o nieokreślonym wieku i statusie materialnym. Nawet młodzież wysypująca się małymi grupami z liceum Sien kiewicza wyglądała na niezmiernie zmęczoną życiem. Młodzi ludzie w pośpiechu schodzili innym przechodniom z drogi i znikali w ciemnych bramach kamienic.

Klara przysiadła na moment na ławce i rozejrzała się wokół. Odkąd chadzała tędy na spacerach w szkole średniej, niewiele się tu zmieniło. Ponury noblista wciąż siedział na cokole umieszczonym pośrodku niedużego trawnika. Obdarzony przez jakiegoś artystę z bożej łaski czymś między karłowatością a wodogłowieciem, z trudem dźwigał swoją przerośniętą czaszkę ponad opasłym tomiskiem spoczywającym na jego kolanach. Wyglądał na zażenowanego, patrolując tędy na samym końcu świata. On, obywatel Europy, mógłby mieć swój pomnik w jakimś miłym miejscu w Londynie czy Paryżu. Ostatecznie Kraków i Warszawa też nie byłyby złe. Ale tu, w wiecznym cieniu klasztoru, gdzie od lat czekano, aż w końcu zamknie księgę¹, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko cierpliwie znosić gołębie gówna, spadające śmierzdzącym gradem na jego barki, i odwracać wzrok od molocha trzymającego władzę nad umysłowością swych poddanych. Nie zazdrościła

mu. Biedny Sienkiewicz, w przeciwieństwie do niej nie miał szansy, żeby się stąd wyrwać.

W hotelu Mercure od razu skierowała swoje kroki do recepcji. Już z daleka poznała portiera, którego widziała tu ostatnim razem. Mimo że z pozoru człowiek ten nie wyróżniał się niczym charakterystycznym, Klara od razu zwróciła uwagę na jego oczy. Były małe i szalenie ruchliwe, co niesamowicie kontrastowało z twarzą tak pozbawioną emocji, że prawie martwą. Jednak szczególnie zapadający w pamięć był ich kolor – nienaturalnie błękitny, jak lazur basenów w folderach biur turystycznych. To właśnie te oczy przykuły ostatnio uwagę Klary na tyle, że dziś, kiedy tylko je zobaczyła, natychmiast upewniła się, że ma do czynienia z tym samym człowiekiem co poprzednim razem. Tym odważniej podeszła do niego i zaczęła rozmowę:

– Dzień dobry, czy mogłabym zająć panu chwilę?

Portier spojrział na nią podejrzliwie i zmarszczył niewysokie czoło, jednak po chwili jego oblicze się rozjaśniło.

– Dzień dobry, my się znamy, prawda? Przepraszam, mam pamięć do twarzy, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach się spotkaliśmy.

– Ach, przepraszam, nie przedstawiłam się. Nazywam się Klara Wasowska. Jestem dziennikarką, piszę dla „Na Tropie”. Zapewne pamięta mnie pan, bo byłam tu jakiś czas temu w towarzystwie oficera policji i prokurator Zuzanny Bachledy. Tuż po tej sprawie...

– A tak! Teraz kojarzę – przerwał jej portier. – Czym mogę pani służyć?

– Wie pan, piszę właśnie artykuł o tym, co się tutaj stało. Gdyby mógł mi pan udostępnić pokój, w którym miało miejsce zdarzenie. Sześćset piętnaście, prawda? Ja wiem, że śledztwo jest jeszcze w toku, ale chcę tylko zrobić kilka zdjęć – to mówiąc, wskazała swój aparat. – Oczywiście, jeśli to nie byłby kłopot dla pana.

– Niestety, nie wolno mi. Dopóki policja nie rozpieczętuje tego pokoju, nie mogę nikogo tam wpuszczać. Wyobraża sobie pani, że musieliśmy

zamknąć całe piętro? Z uwagi na renomę hotelu, oczywiście. Nie wszyscy goście zdają sobie sprawę z tego, co się tu stało, i dopóki te pismaki się nie dowiedzą... o, pardon...

– W porządku, rozumiem, o czym pan mówi – powiedziała Klara z łagodnym uśmiechem. – Sama niejednokrotnie złoścę się na dziennikarzy. Tak dużo jest teraz amatorów, hien, które piszą byle co i byle jak, żeby tylko sklecić trzy zdania, wrzucić duże zdjęcie i nazwać to artykułem. Jak te portale plotkarskie, wszystko po jednych pieniądzach...

– Tak, tak, dokładnie tak, jak pani redaktor mówi – ożywił się portier. – Tu było już kilku takich, ale przepędziłem. Wszystkich przepędziłem, jak leci!

– Podejrzywałam, że tabloidy będą tu węszyć, tym bardziej cieszę się, że pani prokurator dała mi wyłączność. – Sięgnęła do dużej torby, którą miała ze sobą i wyciągnęła z niej dokument, złożony na czworo. – Proszę, tu jest moje upoważnienie – przesunęła dokument w jego stronę – a tutaj legitymacja dziennikarska, proszę – to mówiąc odchyliła połą płaszcz, pokazując portierowi, przypięty do klapy żakietu, identyfikator ze zdjęciem.

– Nie, nie trzeba, ja panią pamiętam, pani jest charakterystyczna. – Spojrzał wymownie na jej okrągły brzuch i uśmiechnął się szeroko. – Poza tym ja słyszałem wtedy, jak pani prokurator wydawała dyspozycję policji, że tylko panią można do tej sprawy dopuszczać. Niech mnie pani źle nie zrozumie. Ja, broń Boże, nie podsłuchuję, tylko taki mam charakter pracy, że zwracam uwagę na wszystko i na wszystkich u mnie w hotelu. Może na to nie wyglądam, ale proszę mi wierzyć, ja więcej widzę, niż się niektórym wydaje. A czego tu się człowiek nasłucha, naogląda?! Czasem aż wstyd, takie rzeczy sobie goście opowiadają przy mnie! Bo wie pani, ludziom to się wydaje, że portier to jak mebel jakiś, że nie widzi, nie słyszy i w ogóle, że nie ma czucia. Niektórzy to nawet nie patrzą na mnie, tylko podchodzą tu do lady i rzucają „Klucz proszę” i tyle. A ja sobie tak kolekcjonuję twarze i historie życia w pamięci, no bo też i co innego mam do roboty? – Zawiesił głos i zmieszany podjął: – Ale ja się rozgaduję, a pani przecież nie na pogaduszki tu do mnie przyszła, tylko z interesem. Przepraszam bardzo.

– Nic nie szkodzi, przyjemnie się rozmawia – powiedziała Klara pogodnie. – Może mógłby mi pan towarzyszyć w drodze do tego pokoju? Które to było piętro?

– Szóste, ale nie mogę. Bardzo mi przykro, ale nie wolno mi opuścić mojego posterunku – to mówiąc, poklepał pieśczośliwie długą ladę, za którą stał. – Ale jeśli tylko ma pani życzenie, to ja zaraz nastawię wodę i zaparzę dla pani kawę. Chłodno dzisiaj, to się pani rozgrzeje przed wyjściem. To jak?

– Chętnie, bardzo panu dziękuję. To ja skoczę szybko zrobić, co do mnie należy, i zaraz tu do pana wracam.

Skierowała się w stronę windy, kiedy usłyszała za plecami:

– Pani redaktor!

– Tak?

– Klucz, zapomniała pani klucza.

– Ach tak, gapa ze mnie. – Cofnęła się o kilka kroków i wzięła z kontuaru klucz na drewnianym breloku w kształcie gruszki. Zacisnęła go w dłoni i powtórzyła na głos numer pokoju: – Sześćset piętnaście, dziękuję panu. Zaraz wracam. – Odwróciła się i zniknęła w stylowej windzie.

Drzwi do pokoju numer sześćset piętnaście zamknięte były na klucz i od futryny do futryny zaklejone białą-niebieską taśmą z napisem POLICJA. Klara ostrożnie umieściła klucz w zamku i nacisnęła mosiężną klamkę. Popchnęła lekko drzwi, a te otworzyły się do wewnątrz na oścież. W środku panował umiarkowany bałagan. Łóżko było zasłane, choć bordowa kapa wyglądała na lekko zmiętą. Podłoga usiana była drobnymi kawałkami tłuczonego szkła, a pośrodku pokoju zaznaczono białą taśmą dwa kształty, leżących blisko siebie ciał. Klara pamiętała to wnętrze bardzo dokładnie. Kiedy była tu ostatnio, pomieszczenie roiło się od policji, techników i sanitariuszy. Tym razem było tu zupełnie pusto, cicho i spokojnie. Wydobyła z torby sporej wielkości aparat fotograficzny i poświęciła chwilę na ustawienie wszystkich parametrów. Ostrożnie wychyliła się przez policyjne pieczęcie i błysnęła kilka razy fleszem, po czym schowała aparat i ruszyła z powrotem,

dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Na dole, zaledwie kilka metrów od portierskiej lady, na niewielkim stoliczku czekała na nią gorąca i aromatyczna kawa. Zadowolona rozsiadła się na głębokiej kanapie i rozejrzała się za swoim towarzyszem. Jakby na zawołanie ukazał się w drzwiach zapewne jakiegoś pomieszczenia socjalnego, niosąc mały talerzyk z herbatnikami.

– O! Już pani jest! To całe szczęście, obawiałem się, że kawa pani wystygnie – powiedział na jej widok i ostrożnie postawił ciasteczka na blacie stolika. Sam zajął miejsce na fotelu tuż obok i podał Klarze cukiernicę.

– Dziękuję, nie słodzę. – Powstrzymała go gestem dłoni i podniosła do ust filiżankę. – Mmm... bardzo smaczna, dziękuję panu.

– Och, nie ma za co, naprawdę. To ja pani dziękuję za przemiłe towarzystwo. Jak poszła praca? Ma pani to, po co przyszła?

– Tak, zrobiłam kilka zdjęć. Chce pan zerknąć? – zaproponowała uprzejmie i ponownie sięgnęła do torby.

– Naprawdę mógłbym? – spytał, wyciągając rękę po futerał z aparatem. – Powiem szczerze, że po cichu liczyłem, że mi to pani proponuje. Od czasu tej całej sprawy nie śmiałem zajrzeć do tego pokoju. Ostatni raz byłem tam w przeddzień całego zajścia, żeby obejrzeć efekt remontu, jaki tam przeprowadzono. Przepraszam... Mogłaby pani? – Zawstydzony oddał Klarze aparat, wyraźnie nie radząc sobie z obsługą urządzenia.

Klara uśmiechnęła się łagodnie i bez słowa nacisnęła kilka przycisków, po czym przechyliła wyświetlacz w stronę swojego rozmówcy.

– O, dziękuję serdecznie, wie pani, nie radzę sobie z techniką. W moim wieku to cud, że potrafię obsłużyć kalkulator! – Zaśmiał się serdecznie i spojrzął w mały ekranik. – Jest pani pewna, że to zdjęcia z sześćset piętnastki?

Klara popatrzyła na niego z uwagą, zastanawiając się, czy na karcie pamięci są zdjęcia jakichś innych pomieszczeń.

– Tak, raczej tak... to znaczy... jestem przekonana. A, za pamięci, proszę. – Położyła na stoliku klucz i zwróciła się do portiera: – Dlaczego pan pyta?

Mężczyzna podniósł głowę znad wyświetlacza i zwrócił na nią swoje błękitne oczy. Jego wzrok wyrażał jakąś dziwną mieszankę zdziwienia i strachu. Podniósł się z zajmowanego wcześniej fotela i zajął miejsce tuż obok Klary, po czym włożył jej w ręce aparat.

– Proszę, niech pani spojrzy.

– Przepraszam, ale na co mam patrzeć? Pan wybaczy, nie bardzo rozumiem.

– Wykładzina! Proszę spojrzeć na wykładzinę! – Portier był coraz bardziej podniecony.

– Co z nią? – zdziwiła się Klara.

– Jest jasna! – Zrobił pauzę, jakby czekając na reakcję rozmówczynie, jednak Klara wbiła tylko w niego swoje zdziwione spojrzenie. – To jest stara, beżowa wykładzina, widzi pani? To niemożliwe... przecież tam był remont!

– Czy może pan mówić jaśniej? Ja nadal nie wiem...

– Boże... – przerwał jej. – Przecież ja muszę zgłosić kradzież! – wykrzyknął, zrywając się z miejsca, po czym zwrócił się do Klary: – Tam był remont. Wymieniono wykładzinę. Jestem pewien, bo sam z ciekawości poszedłem obejrzeć pokój, kiedy skończyli. To było w przeddzień tej całej sprawy. Ja pamiętam na pewno, bo nawet uprzedzałem tego pana Leszka, że był remont i że mu się spodoba. Bo on zawsze brał ten pokój i nikt przed nim się tam nie meldował. Znaczy, po tym remoncie. – Zrobił przerwę na łyk chłodnej już kawy i ciągnął dalej: – On tu często bywał, ten pan Leszek. Ostatnio z tą dziewczyną, ale wcześniej to też z innymi. Wszystkie młode, ładne, ale on też niczego sobie gość. Bogaty chyba, bo zawsze napiwek mi zostawiał. Ale ja nie o tym... – Odetchnął głęboko, próbując opanować wzburzenie. – Jak te taśmy białe tu są... o, tu. Widzi pani? – Wskazał palcem miejsce na zdjęciu.

– Tak...?

– No. To znaczy, że oni tu leżeli z tą dziewczyną, nie? Znaczy... no, że tak ich znaleźli, prawda?

– No, chyba tak... Na pewno, sama przecież widziałam, jak tak leżeli – przypomniała sobie Klara.

– Właśnie! Czyli znaczy, że ktoś wcześniej zdjął tę nową wykładzinę! A ja nic nie wiedziałem! A to już tyle czasu od kradzieży! – W głosie mężczyzny słychać było rezygnację. – Ale jak? Kto? Przecież ja sam...

– Chwileczkę! – przerwała mu Klara. – Jak na podstawie zdjęcia może pan w ogóle stwierdzić, że to nie jest ta nowa wykładzina? No i jakim cudem ktoś, jeśli oczywiście pan się nie myli, miałby podmienić nową wykładzinę na starą? Przecież to wymaga czasu chyba...

– Nie, nie myślę się na pewno! Tu nie ma mowy o pomyłce! Tamta, ta nowa, była koloru czerwonego wina! – niemal wykrzyknął portier. – Boże... – zasepił się. – Przepraszę panią, muszę zadzwonić.

– Oczywiście – odpowiedziała Klara, starając się nie okazywać ulgi. – Ja też już pójdę. I tak zajęłam panu dość czasu. Do widzenia. – Podniosła się i podała mu rękę na pożegnanie. – I jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

Wychodząc z hotelu, obejrzała się jeszcze przez ramię i z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Dziwak – skwitowała i oddaliła się w stronę centrum.

¹ Z pomnikiem związana jest legenda miejska, mówiąca o tym, że Sienkiewicz zamknie księgę, jeśli któraś z dziewcząt ukończy szkołę, zachowawszy dziewictwo [przyp. C. M.].

Krzysztof Wieczorek siedział przy biurku w swoim gabinecie i pogrążał się w lekturze. Nie zauważył nawet, kiedy błękitna szarówka na zewnątrz przeobraziła się w popołudniowy zmrok, charakterystyczny dla pierwszych tygodni grudnia. Wprawdzie nie było jeszcze szesnastej, ale zachodzące słońce niemalże zupełnie nie przezierало przez gęste jak budyń, ciemne chmury. Mimo że patrząc prosto w niebo, mogło się wydawać, iż jest widno jak w dzień, to w pomieszczeniach już kilka kwadransów temu pozapalano wszystkie światła.

Biurko, przy którym siedział, ustawione było tak, że okno miał dokładnie za plecami i te resztki dziennego światła, które mogłyby jeszcze zaszczyścić go swoją obecnością, bezlitośnie rozbijały się o oparcie jego krzesła i tył watowanej marynarki. Próbując wczytać się dokładnie w zacierający się w ciemnościach tekst, pochylał się coraz niżej nad książką, aż druczane oprawki okularów zjechały mu na sam czubek wąskiego nosa. Poprawił je nerwowym ruchem, podciągając palcem wskazującym lewej dłoni podwójny mostek łączący oba szkła. Uśmiechnął się nikle na wspomnienie jednego ze swoich studentów, który zauważył kiedyś podczas zajęć, że tylko seryjni mordercy noszą okulary z podwójnym mostkiem. On swoje wybrał jeszcze na studiach razem ze swoją, przyszłą wtedy, żoną. A że nie był człowiekiem lubiącym jakiegokolwiek zmiany, zwłaszcza we własnym wizerunku, do dziś przy każdej wymianie szkieł wybierał ten sam model oprawek. Uważał, że są wyjątkowo stylowe, tradycyjne, uniwersalne w wymowie, ale nienarzucające się, i przede wszystkim, że dodają mu intelektu, podkreślając bystrość i przenikliwość spojrzenia.

Ta myśl, jakoby w czymkolwiek mógł przypominać pełnych tłumionej agresji i rozchwianych emocjonalnie przestępców, oderwała jego uwagę od

lektury. Zdziwiony panującymi wokół ciemnościami, odsunął mankiet koszuli i zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta po południu. Jego dyżur, który z braku zainteresowania wśród studentów zwykł był spędzać samotnie, czytając lub sprawdzając kolokwia, właśnie dobiegał końca. Dźwignął się z krzesła i nie zapalając światła, postawił na biurku swoją skórzaną teczkę na dokumenty. Otworzył ją wprawnym ruchem i włożył do środka czytany przed chwilą wolumin, długopis i kilka luźnych, gęsto zadrukowanych stron maszynopisu. Zamknął aktówkę z cichym kliknięciem blaszanego zatrzasku i zdjął z wieszaka flauszowy płaszcz. Już miał wychodzić, kiedy drzwi niespodziewanie się otworzyły, a w progu stanął komisarz Malinowski.

– Dobry wieczór, czy można? – przywitał się.

– Ach, to pan! Tak, proszę, niech pan wejdzie. Wprawdzie miałem właśnie wychodzić, ale mogę poświęcić panu chwilę. W czym mogę służyć?

– Ja przepraszam, że tak bez zapowiedzi – zaczął Malinowski – ale sprawa wydała mi się na tyle istotna, że postanowiłem niezwłocznie przyjechać do pana.

– W takim razie słucham. – Zciekawiony Wieczorek przysiadł z powrotem na krześle przy biurku i wskazał Malinowskiemu puf naprzeciwko.

Komisarz podszedł do biurka krokiem zdradzającym podniecenie. Oparł obie dłonie na blacie i zakomunikował radośnie:

– Udało się!

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem...

– Uzyskałem zgodę od prokurator Bachledy, żeby wprowadzić pana w nasze śledztwo. Tak że, jeśli tylko wyraziłby pan życzenie, to, że tak powiem, witamy na pokładzie! – niemal wykrzyknął Malinowski i odrobinę zbyt poufale klepnął Wieczorka w ramię.

– Sam nie wiem... – zastanawiał się doktor. – Wie pan, to jednak duża odpowiedzialność, nie jestem pewien, czy dałbym radę.

Malinowskiemu wyraźnie zrzędła mina. Widać było, że odmowa ze strony Wieczorka była ostatnim, czego się spodziewał. Wiedział, że sam sobie nie

poradzi z poezją mordercy. Był bliski rozpacz. Niemal widział, jak awans przechodzi mu koło nosa.

– Panie doktorze, niechże mi pan nie odmawia! Błagam pana! Bez pańskiej pomocy leżę! Po prostu leżę! Rozumie pan?! – Nie dawał za wygraną. – Proszę pana!

– Dobrze już, dobrze – odparł Wieczorek z uśmiechem, odsłaniającym drobne jak u dziecka zęby. – Tylko pana kokietowałem, komisarzu. Proszę mi wierzyć, że współpraca z policją zawsze jest dla mnie sprawą priorytetową. Poza tym drzemie we mnie chyba jakiś niespełniony detektyw. Ktoś w rodzaju doktora Watsona, wie pan? – Zaśmiał się przyjaźnie. – A może w poprzednim życiu byłem psem tropiącym? Trudno powiedzieć. Dość, że pomogę panu z chęcią. – Postawił sobie na kolanach aktówkę i otwierając ją, ciągnął: – Poczyłem już zresztą pewne przygotowania.

– Naprawdę? – Malinowski nie krył ekscytacji. Ulga i radość unosiły go kilka centymetrów nad ziemią. Wizja przełomu w karierze wróciła i zbliżała się do niego wielkimi krokami. – Proszę mówić dalej. Wszelkie informacje, choćby pozornie nieistotne skojarzenia, mogą okazać się niezwykle cenne w śledztwie.

– Niestety, muszę pana zmartwić, nie udało mi się wyciągnąć niczego rozsądnego z tej rymowanki. Potrzebuję pełniejszego obrazu. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to przypuszczenie, że musi to być jakaś wskazówka, ale jaka? Czego? Dla kogo? Na te pytania nie potrafię na razie odpowiedzieć... – zawiesił głos, wyciągając swoją teczkę z notatkami. – Chyba że pan ma dla mnie coś, co nam obu pomoże jakoś rozjaśnić tę historię?

– W rzeczy samej! – Malinowski aż zatarł ręce. – Mam tu z sobą następny wierszyk. – Wyjął z marynarki plastikowy woreczek ze zmiętym karteluszkim w środku i położył go przed Wieczorkiem. – Tym razem znaleźliśmy go w dużo mniej przyjaznych okolicznościach niż poprzednio. Proszę zerknąć.

Kiedy Wieczorek uważnie oglądał kolejny dowód w sprawie, komisarz

zaczął wprowadzać go w szczegóły:

– Poprzedni fragment został dostarczony bezpośrednio do mieszkania pani prokurator Zuzanny Bachledy, która w tej chwili sprawuje pieczę nad całym śledztwem. Ogląda Pan dowód w kolejnej sprawie, która, jak podejrzewamy, musi być powiązana z czymś większym. Z czymś, czego jeszcze nie odkryliśmy. Z czymś, co prawdopodobnie mamy tuż pod nosem, rozumie pan? To tutaj – wskazał palcem na kartkę w rękach Wieczorka – znaleźliśmy w zaciśniętej dłoni martwej kobiety. Co dziwniejsze, jej zwłoki leżały pośrodku kaplicy Cudownego Obrazu, a przyczyna śmierci wciąż nie została ustalona. Najbardziej prawdopodobne jest, że zmarła wskutek zatrzymania akcji serca lub czegoś w tym rodzaju, nie wiem dokładnie, nie jestem ekspertem. Jednak w świetle pozostałych dowodów nie ulega wątpliwości, że jej śmierć nie była naturalna, że ktoś jej w tym umieraniu pomógł.

– Pozostałych dowodów? Co ma pan na myśli? – chciał wiedzieć Wieczorek.

– Obszerniejsze informacje dostarczę panu jutro, z samego rana. Mam pozwolenie na udostępnienie panu kopii wszystkich akt śledztwa prowadzonych aktualnie pod bezpośrednim nadzorem pani prokurator. Nie jest tego dużo. Właściwie poza tym morderstwem raczej nic istotnego, ale na wszelki wypadek przywiozę panu wszystko. W tej chwili ważne jest to, choć może się to panu wydać dziwne, że ktoś ukradł z klasztoru chodnik.

– Chodnik? – zdziwił się Wieczorek, a jego twarz wyrażała niedowierzanie i kpinę.

– Tak, konkretnie dywan. Taki długi, wie pan, jaki rozkłada się pośrodku kościołów. – Wykonał rękoma pio nowy gest, jakby chciał nakreślić w powietrzu wnętrze jakiejś świątyni z rozłożonym na całej długości kobiercem. – Ustaliliśmy, że złodziej musiał być powiązany z morderstwem, czy to w roli świadka, czy sprawcy. Naszym priorytetem w tej chwili jest znalezienie i przesłuchanie tej osoby oraz ustalenie, co tam się właściwie wydarzyło. – Popatrzył wymownie na doktora, po czym dodał: – No i te nieszczęsne wierszyki.

Wieczorek siedział przy swoim biurku i wpatrywał się w przepisany na osobną kartkę tekst obu czterowersów. Kiedy wysłuchał do końca sprawozdania komisarza Malinowskiego, postukał palcem w zapisaną stronę i zwrócił się do swojego rozmówcy:

– Proszę się nie martwić. Zrobię, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Zwłaszcza teraz, kiedy sprawa okazała się naprawdę poważna. Nie jestem specem od kryminologii ani kryptologii, ale wydaje mi się, że potrafię interpretować literaturę. Oczywiście istnieje pewien margines błędu związany z prawidłowym odczytaniem kontekstu, ale wydaje mi się, że ten kontekst bez problemu powinniśmy znaleźć we wspomnianych przez pana aktach. Postaram się przysiąc nad tym później, jednak teraz, niech pan spojrzy tutaj – to mówiąc, wskazał na konkretne miejsce w tekście. – Mamy tutaj goły tekst, bez kontekstu. Proszę czytać.

Malinowski spojrział na doktora niepewnie i poczuł się odrobinę jak wyrwany do odpowiedzi. Nie chcąc jednak urazić swojego pomocnika, zebrał się w sobie i powoli, głośno i wyraźnie odczytał cały rękopis:

Nieprawy, Rozwiązła, Niegodzien

Znaczeni przysłowia liczbami

Wyroku na całym narodzie

Nieszczerość dopełni kroplami

Na chwałę Najpotężniejszego!

Odejdźcie, ofiara spełniona

Znalazłszy się w winie Wiecznego

Skrwawionych tłum owiec tu skona

– Czy te słowa spisane razem coś panu mówią? Z czymś się kojarzą? – spytał go Wieczorek.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo – przyznał się Malinowski. – Proszę zrozumieć, gdybym czuł się na siłach, żeby odszyfrować ten zapis samodzielnie, nie zwracałbym się o pomoc do pana...

– Rozumiem, oczywiście. Wobec tego proszę posłuchać moich, surowych na razie i zupełnie luźnych skojarzeń. – Wieczorek odchrząknął, poprawił okulary i przyjął ton wykładowcy: – Miejsce odnalezienia zwłok tej kobiety nasuwa mi przypuszczenie, że moja pierwsza myśl, dotycząca stylizacji biblijnej tego tekstu, może być trafna. Tym bardziej w zestawieniu ze środkami stylistycznymi z drugiej jego części. Musi pan przyznać, że określenia typu „Najpotężniejszy” i „Wieczny”, a także „tłum owiec” oraz „ofiara spełniona” w sposób bezpośredni powiązane są z tradycją chrześcijańską. – Nie czekając na odpowiedź komisarza, ciągnął: – Trzymając się tej myśli, z pierwszej strofy z łat wością możemy wyczytać nawiązanie do Księgi Przysłów lub Księgi Liczb ze Starego Testamentu. Pozostaje jedynie znaleźć odpowiednie wersy, które zapewne zawierają odpowiedzi na nasze pytania o to: kto, dlaczego i po co. Niestety, to nie będzie już takie proste bez innych wskazówek, które, mam nadzieję, wyłonią się, kiedy skonfrontujemy nasze przypuszczenia z kontekstem, czyli z policyjnymi aktami.

Coraz bardziej podniecony własnym wywodem Wieczorek mówił dalej, prawie bez przerw na zaczerpnięcie oddechu:

– Idąc dalej, użycie zwrotu „ofiara spełniona” każe mi przypuszczać, że mamy do czynienia z zakończeniem jakiegoś etapu. Biorąc pod uwagę wcześniejszą strofę, rozpoczętą wyliczeniem „Nieprawy”, „Rozwiązła”, „Niegodzien”, domyślam się, że pańska denatka z kaplicy może być czwartą i ostatnią z cyklu ofiarą naszego autora. Być może policja nie zwróciła uwagi na poprzednie zgony albo dokonały się one na przestrzeni dłuższego czasu i stały się tym samym niemożliwe do powiązania z sobą. A może poprzednie śmierci dokonały się w innym miejscu? Tego nie wiemy, ale należy jak najszybciej rozwikłać tę zagadkę. Tożsamość tych ludzi, którzy zresztą zyskali w tekście całkiem konkretne przydomki, może pomóc nam w uporaniu się z resztą tej sprawy. Moim zdaniem, nazewnictwo z wiersza również nie pozostaje bez znaczenia i radziłbym rozejrzeć się wśród starych, dziwnych lub nierozwiązanych policyjnych spraw za kimś, kto mógłby za życia pasować do tych określeń. Ale to już pozostawiam panu, komisarzu. – Uśmiechnął się do

Malinowskiego, aby po krótkiej chwili spuścić oczy z powrotem na tekst i dodać ze zmartwionym wyrazem twarzy: – Jednak najbardziej zatrważające jest, co zapewne sam pan już zauważył, że ten człowiek wyraźnie zapowiada, że to jeszcze nie koniec jego dzieła. „Tłum owiec” można interpretować jako wiernych albo po prostu niewinnych ludzi. Odniesienie nie jest tutaj do końca jasne ze względu na mnogość odczytań symbolu owcy czy baranka w dogmatach religijnych i tradycji społeczno-kulturowej. Jednak pewne jest, że w zamyśle autora mają zginąć kolejni ludzie... – Zawiesił na moment głos i podjął ze współczuciem: – Bardzo mi przykro, komisarzu. Nic więcej nie jestem w stanie teraz powiedzieć.

Malinowski siedział na niskim pufie z tępych wyrazem twarzy. W trakcie wywodu doktora Wieczorka stopniowo kurczył się w sobie, aż osiągnął rozmiary zbliżone do krasnala ogrodowego. Był pod ogromnym wrażeniem intelektu i umiejętności tego człowieka, którego poprosił o pomoc. Zdał sobie sprawę z tego, jakim idiotą był, lekceważąc dotąd pracowników naukowych. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że przy ogromnej większości tych, których do tej pory miał za nieszkodliwych i śmiesznych jajogłowych, sam intelektem przypomina średnio rozwiniętego szympansa. Z niemałym wysiłkiem zamknął rozdziawione dotąd usta i wydusił z siebie niemrawe podziękowanie:

– Nic nie szkodzi, panie doktorze. Sam nigdy bym do tego nie doszedł. Serdecznie dziękuję, bardzo mi pan pomógł.

– Cała przyjemność po mojej stronie, komisarzu. – Wieczorek zerknął na zegarek. – Ale teraz jestem zmuszony pana pożegnać. Żona na pewno się o mnie niepokoi, już dawno powinienem być w domu – to mówiąc, powoli wyszedł zza biurka i zabierając z blatu klucze, uprzejmie wskazał Malinowskiemu drzwi. – Może jutro, kiedy zapoznam się z pańską dokumentacją, powiem panu coś więcej. Poza tym wie pan, noc zwykle rozjaśnia zagadnienia, przynosi odpowiedzi...

– Oczywiście, oczywiście – poderwał się komisarz. – Zabrałem panu już wystarczająco dużo czasu, do widzenia.

Obaj wyszli z gabinetu i Malinowski od razu skierował się na schody.

Doktor Wieczorek pozostał w tyle, zamykając drzwi gabinetu.

– Czekam na pana jutro, komisarzu! – krzyknął za odchodzącym Malinowskim. – Dziesiąta przed południem będzie odpowiednia?

– Tak, będę na pewno. Jeszcze raz dziękuję! – odpowiedział w biegu komisarz i purpurowy ze wstydu czym prędzej zszedł doktorowi z oczu. Wychodząc z budynku, postanowił sobie uzupełnić luki w literaturze klasycznej. Lektury szkolne, Biblia, może trochę poezji. Czekąco go mnóstwo pracy.

– Jak tylko zamknę to śledztwo – powtarzał do siebie, zapalając papierosa.
– Jak tylko zamknę śledztwo.

– Zuza! Tutaj! – Klara pomachała przyjaciółce, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Czekala na nią już kwadrans, siedząc przy stoliku w samym rogu swojej ulubionej herbaciarni. Przytulne wnętrze Cafe Belg zawsze wprawiało ją w dobry nastrój, a niepowtarzalny klimat, z którego znany był lokal, był jej teraz, jak jeszcze nigdy, szczególnie bliski. Tutaj, nad filiżanką znakomitej herbaty, odnajdowała spokój i koila zszargane ostatnio nerwy. Potrzebowała tego ładunku pozytywnych emocji, żeby wytrzymać w Częstochowie jeszcze kilka, ostatnich już, dni. Według jej obliczeń do terminu zostało jej niecałe dwa tygodnie, ale położnik uprzedzał, że pierworódki zwykle dłużej czekają na upragnione rozwiązanie. Niemniej jednak zależało jej, żeby zakończyć wszystkie sprawy najdalej za tydzień od dziś i czekać na Juniora w domu, z dala od frustracji tego miasta.

– Zuza! – Jeszcze raz uniosła rękę i tym razem przytrzymała ją w górze, aż rozbiegany wzrok pani prokurator zlokalizował miejsce, skąd była nawoływana.

– Ach, tutaj jesteś! Cześć, kochana! – przywitała się Zuzanna, zbliżając się do stolika. Schyliła się i nadstawiła Klarze upudrowany policzek, przytrzymując się jej ramienia. Nieco niezdarnie odsunęła sobie krzesło i bezwładnie opadła na siedzisko. – Strasznie tu duszno, nie uważasz? – spytała sięgając po menu. – W ogóle koszmarnie się dziś czuję, Klara, koszmarnie... – Westchnęła i przewróciła nerwowo kilka stron karty. – Co pijesz? Bo ja to chyba piwko jakieś... z sokiem może...?

Klara ze zdziwieniem obserwowała nieskoordynowane ruchy koleżanki. Dłonie wyraźnie jej się trzęsły, a spod makijażu przeziarała niezdrowa bladość skóry. Oczy miała nieobecne i jakby zamglone, okolone ciemnym cieniem, świadczącym o zmęczeniu. Zapach jej perfum, słodki i ciężki, nie do końca

skutecznie ukrywał cierpki odór kogoś, kto pije już od kilku dni.

– Zuzieńko... – przemówiła do niej łagodnie. – Może wodę jednak, co? Albo herbatę?

– Wodę, wodę – odparła z kwaśną miną Zuza. – Czy ja ci wyglądam na zwierzę, Klara? – Spojrzała na oniemiałą przyjaciółkę karcącym wzrokiem i zaśmiała się nerwowo. Zaczepiła przechodzącą akurat kelnerkę i złożyła zamówienie: – Dla mnie piwo. Zimne. Z sokiem. A dla koleżanki wodę. I jakieś paluszki, gdyby pani mogła. – Puściła do dziewczyny oko i wcisnęła jej w rękę banknot. – A reszta będzie na potem, dobrze? – Odprowadziła zdziwioną kelnerkę wzrokiem i odwróciła się do Klary. – No, to co tam, Klarka? Oprócz wprawiania się w niańczeniu, oczywiście – zaczęła, nie patrząc na rozmówczynię. – Miałaś coś pilnego podobno, więc oto jestem. – Rozciągnęła wargi w uśmiechu, który z założenia przynajmniej miał być przejawem przyjacielskiego nastawienia.

Klara w milczeniu przyglądała się przyjaciółce. Pierw szy raz w życiu zobaczyła ją w zupełnie innym niż do tej pory świetle. Nie uważała jej już wcale za piękną ani pociągającą. Wręcz przeciwnie, budziła w niej raczej odrazę, wstręt pomieszany ze współczuciem – uczucia, jakimi zwykle darzy się bezdomne psy i przewracających się na ulicy pijaków. Patrząc na Zuzę, która właśnie zabierała się za swoją szklanę, w jednej chwili straciła ochotę na prywatną rozmowę. Niemniej jednak skoro już się spotkały, należało czymś się zająć, choćby przez kolejne pół godziny. Złapała w dłonie imbryczek z resztką aromatycznej herbaty i ostrożnie nalewając bursztynową ciecz do filiżanki, zwróciła się do Zuzy:

– U mnie nic nowego. Brzuch rośnie, jak widzisz. – Uśmiechnęła się i wygładziła materiał tuniki. – A co u ciebie? Jak w pracy? Coś nowego w sprawie tego asystenta?

W Zuzę jakby piorun strzelił. Pobladła jeszcze bardziej i niemal można było zobaczyć, jak włosy jeżą jej się na karku. Powoli odstawiła szklanę i przechyliła się nad stołem tak, żeby być możliwie najbliżej Klary. Dyskretnie rozejrzała się na boki, aby upewnić się, że nikt nie słucha, o czym rozmawiają,

i dała Klarze znak ręką, żeby też odrobinę się zbliżyła. Kiedy ta spełniła jej milczącą prośbę, przesunęła na bok ozdobny świecznik, stojący pośrodku stolika, i zaczęła szeptem:

– Klarka... ja wiem, co ty myślisz. Że ja znowu piję, że robię z siebie lumpa, że mi nie wypada. Ale Klara, uwierz mi, ja nie potrafię inaczej... To jest dla mnie za trudne, zrozum... ja nie mam nikogo. Jestem z tym wszystkim sama... Ja sobie nie umiem inaczej poradzić, Klara... – przerywała zdania, bo głos jej się łamał. Wyglądała na przerażoną i zagubioną. Złapała wilgotnymi dłońmi ciepłą rękę Klary, szukając pomocy i wsparcia. – Ja nie wiem, Klara... Pogubiłam się, ale mnie się wydaje... ja mam wrażenie, że... to wszystko jakoś godzi we mnie... Najpierw Karol, a teraz te wierszyki... A ja nawet nie wiem, w którą stronę skierować poszukiwania... Nie wiem, co robić, Klara! – Ścisnęła dłoń przyjaciółki z taką siłą, że pobielwały jej knykcie.

Klara syknęła z bólu i uwolniła rękę z uścisku. Słuchała Zuzy w skupieniu, nie wiedząc, o czym ani dlaczego mówi. Odgarnęła włosy z czoła i postarała się skoncentrować całą swoją uwagę na chaotycznym bełkocie przyjaciółki. Z jej wywodu zrozumiała, że chodzi o śledztwo i że Zuza czuje się w jakiś sposób zagrożona. Nie miała natomiast pojęcia, o jakich wierszykach i trupach jest mowa i wreszcie, co ona – Klara – mogłaby w tej sprawie zrobić.

– Powoli, Zuza, powoli. Postaraj się skoncentrować i uspokój się. – Klara nakryła roztrzęsione dłonie przyjaciółki własnymi i popatrzyła jej głęboko w oczy. – I odstaw to piwsko, śmierdzisz jak kloszard. – Skrzywiła się i przeniosła do połowy już opróżnioną szklankę na pusty stół za swoimi plecami.

Zuza była bliska płaczu. Oddychała nierówno i drżała na całym ciele. Patrzyła na Klarę ufnie, choć widać było, że dawno straciła już nadzieję.

– No, napij się, masz. – Klara podsunęła jej swoją filiżankę. – Lepiej? Na pewno lepiej. Oddychaj głęboko i uspokój się, no. – Poglądziła kaszmirowy sweter Zuzy i skinęła na kelnerkę. Kiedy dziewczyna zbliżyła się do ich stolika, zamówiła dwie szarlotki i jeszcze jeden dzbanek herbaty. Siedziały chwilę w milczeniu, w oczekiwaniu na swoje zamówienie, a kiedy kelnerka

postawiła przed nimi ciasto i filiżanki, Klara zwróciła się do spokojniejszej już przyjaciółki: – Opowiedz mi, Zuza. Od początku. Ja ci pomogę, kochana, tylko musisz mi opowiedzieć, dobrze?

Zuza skinęła w milczeniu głową i zaczęła swoją opowieść. Była rozemocjonowana i wysławiała się nieskładnie. Część tego, co mówiła, była już Klarze znana, jednak mimo to cierpliwie i uważnie słuchała.

– Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy pojechaliśmy razem na miejsce tamtej zbrodni, w Mercure, pamiętasz? Ja wtedy się tak okropnie wściekłam na Malinowskiego, bo byłam przekonana, że on coś pomieszał. Rozumiesz? To mi się wydawało nieprawdopodobne! No bo przyjeżdżam i widzę, że młoda dziewczyna i facet w średnim wieku leżą koło siebie na podłodze, nago. Pamiętasz, jak się śmiałyśmy potem, że to pewnie inspirowane *Romeem i Julią* było, prawda? No, to wychodzi na to, że nie było! I Malinowski mi wtedy powiedział, że oni się wykrwawili... Ja go objechałam, no bo jak się mogli wykrwawić, skoro tam nie było ani jednej kropelki krwi?! No jak? – Na jej twarzy malowała się bezradność i rozpacz.

Klara przytrzymała jej dłoń uspokajającym gestem i pozwoliła mówić dalej.

– Ale wykrwawili się, Klara. Z całą pewnością! Potwierdziło mi to trzech patologów! Z ich ciał w niewyjaśnionych okolicznościach wyparowała cała krew. Mówię: wyparowała, bo nie mieli przecież żadnych większych ran, pamiętasz, prawda? Tam było kilka zadrapań, owszem, jakieś otarcia może, ale żadnych obrażeń, przez które można się wykrwawić! No i ta krew... to znaczy... ten brak krwi... – przerwała i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili podniosła oczy na Klarę i mówiła dalej: – Potem Karol. Ten stażysta. Ja to potraktowałam trochę emocjonalnie, rozumiesz, osobiście, bo mnie się ten chłopak naprawdę podobał. Ja ci o nim chyba nawet wspominałam, zanim to wszystko się stało, pamiętasz? Dostałam wtedy cynk od Malinowskiego, że jakaś dziwna sprawa, że jakiś świadek, że konsultacja. Nie bardzo mi się chciało, bo dzień był jakiś taki senny, ale pojechałam. I zupełnie przypadkiem się zorientowałam, że następnym trupem jest ten Karol właśnie. Mało tego, że

to gej był i że jego chłopak to jest właśnie ten świadek. Tylko on, Klarka, ten Bartosz, ten świadek, on nic nie widział. Jego tam w ogóle nie było. Mówił tylko, że wcześniej kogoś tam widział. Mnicha. No i ja się postanowiłam zaangażować w sprawę, bo czułam, że tak trzeba, a tu mi znowu lekarz sądowy wyjeżdża, że Karol zmarł z wycieńczenia! Zresztą, Klara, ty przecież wiesz to wszystko, bo ja byłam wtedy u ciebie w hotelu.

Klara kiwnęła głową, dając do zrozumienia, że owszem, pamięta.

– No, to się nie będę powtarzać – ciągnęła Zuza – dość, że później już nie wracałyśmy do tego, a potem było już tylko coraz gorzej. – Zawiesiła dramatycznie głos i westchnęła ciężko. – Jak u ciebie byłam wtedy w hotelu, to były tylko trzy trupy, których śmierć można było uznać za dziwną. Ale gdy wieczorem wracałam do siebie, znalazłam w drzwiach wiadomość. Na kopercie moje nazwisko, „do wyłącznej wiadomości” chyba nawet. W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś dowcip, wiesz? W ogóle tego nie wzięłam na poważnie. Dopiero później dotarło do mnie, co to było, Klara. Ten człowiek, morderca, jakiś psychopata jebany, był pod moimi drzwiami! Rozumiesz? Ja na niego niemalże wpadłam! Słyszałam, jak zbiegał po schodach! Do teraz mam ciarki na plecach, jak sobie o tym pomyślę... On mi tam, na tej karteczce, wypisał jakiś wierszyk. Nie żaden cytat, tylko własną jakąś poronioną twórczość. Ja ci nie powiem tego dokładnie, bo nie pamiętam, ale to było kompletnie posrane, Klara! O jakimś wyroku, o jakiejś nieszczerości, nadal nie mogę tego pojąć. – Targana emocjami Zuza, mówiła coraz szybciej i głośniej. Goście herbaciarni co rusz spoglądali w ich kierunku, słysząc strzępy tej dziwnej rozmowy. Spostrzegłszy to, Zuza ponownie zniżyła głos i pochyliła się nad stołem, chcąc, żeby to, o czym mówią, pozostało tylko i wyłącznie między nimi.

– I co? I co? Mów dalej – zniecierpliwiona Klara chciała jak najszybciej dowiedzieć się o przebiegu całej historii, której najnowsze szczegóły poznawała dopiero teraz.

– Ja już wtedy, już po tej wiadomości w drzwiach, miałam takie uczucie, jakby ktoś mnie obserwował. Nie wiem, Klara... nie mogę wiedzieć na

pewno, że to wszystko jest skierowane konkretnie przeciwko mnie. Ale coś mi mówi, jakaś intuicja, że to jest śmierdząca sprawa. Bardziej niż do tej pory myślałam... – Odgarnęła włosy z czoła i kontynuowała niemal szeptem: – Zleciłam Malinowskiemu, żeby osobiście się tym zajął. Chciałam być informowana na bieżąco. Wtedy jeszcze nie łączyliśmy tych spraw, ale później...

– Co?! Co było później, Zuza, na miłość boską!

– Później dostałam wezwanie. Pilna sprawa, gdzieś na mieście. Głowę miałam zawaloną tym wszystkim, nawet nie spytałam mundurowego, dokąd mnie wiezie. Nagle patrzę, samochód zajechał na parking, a tam Malinowski. Wsiadam, rozglądam się i gdzie stoję? Pod samą Jasną Górą! Miałam jeszcze nadzieję, że to przypadek, ale nie! No i następny trup leżał przed samym Najświętszym Obrazem, wyobrażasz sobie?! Klara, ja dużo rzeczy już w życiu widziałam, ale rozumiesz chyba, że każdy ma jakiś próg wytrzymałości. Już samo miejsce zbrodni mnie ruszyło. Ta kobieta, typowa pątniczka, wiesz? Z gatunku tych, co tylko msza, różaniec, roraty i serial na dobranoc. Lekka nadwaga, płaszcz, beret, tanie kozaki. I ona, wyobraź sobie, leży tam, przed Czarną Madonną, w takiej modlitewnej pozycji, cała sztywna. Już miałam dość, ale patrzę, a ona ściska coś w ręce. Podchodzę, wydaję i co? Karteczka! Taki sam wierszyk, jak ten mój! To znaczy... no nie taki sam. Ale pisany tą samą ręką, Klara! Jakiś pieprzony psychol, który morduje ludzi, napisał do mnie wiersz! Włożył w moje drzwi!

– Spokojnie, Zuza... – Klara bardzo chciała poznać resztę opowieści, a widziała, że jej znajoma prokurator jest na skraju załamania nerwowego. – Co było dalej?

– Już niewiele... Wybiegłam stamtąd i poczułam, że muszę się napić, bo oszaleję... Poszłam do Sety, a dalej nie pamiętam... To tak w skrócie... – Drżącymi rękami rozlała resztę herbaty do filiżanek. – To było już parę dni temu, Klara. Był u mnie Malinowski, widział mnie w najgorszym z możliwych stanów. Dałam mu zgodę na zaangażowanie jednego doktora z Akademii Długosza. Podobno to ktoś zaufany, ale jeszcze nic nam nie

powiedział. W międzyczasie przyszedł raport patologa. Ta kobieta się zapłakała na śmierć...

– Jak to?! Co ty mówisz?

– No właśnie... patolog twierdzi, że bezpośrednią przyczyną zgonu było zatrzymanie akcji serca na skutek nadmiernych emocji. Dodatkowo zbadano jej oczy i stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że tuż przed śmiercią płakała przez dobre kilka godzin. Podobno miała niewiarygodnie opuchnięte gruczoły łzowe, w ogóle oczy... a ślad od łez był nie tylko na jej twarzy, ale także całym ubraniu... jakby wyplakała wiadro łez!

– Boże... myślisz, że on ci zagraża? Ten człowiek? Macie w ogóle jakiś trop?

– Nie wiem, Klara... Nie chcę nawet myśleć o tym... Ten wierszyk... to brzmiało jak zapowiedź czegoś większego, czegoś ostatecznego. Może ten doktor coś nam z tego wyciągnie, wiesz, ja nie jestem ekspertem, ale nie wyglądało mi to na cytat z elementarza. Ale wiesz? Najdziwniejsze wydaje mi się, że on zabrał stamtąd dywan.

– Dywan?

– Taki długi, czerwony, jaki zwykle rozkłada się w kościołach. Wiemy na pewno, że w noc zabójstwa zginął z kaplicy taki właśnie dywan. Poza tym świadków nie ma. I tylko moja intuicja mówi mi, że należy łączyć te trzy sprawy. Wykrwawienie, wycieńczenie i tę kobietę. To nie może być przypadek, że w tak krótkim czasie mam trzy niewyjaśnione zgony. To znaczy... no, mamy przyczyny śmierci, ale...

– Czeka, Zuza! – Klara przerwała jej gwałtownie. – Dywan! Czerwony dywan!

– Co z nim?

– Czerwony dywan skradziono z hotelu!

– Klara, na rany Chrystusa, o czym ty gadasz?!

– Jak byłam ostatnio w Mercure robić zdjęcia do swojego artykułu, portier powiedział, że z tego pokoju, w którym oni byli, skradziono dywan! On tego

wcześniej nie zauważył, bo tam nie wchodził, a ja mu pokazałam zdjęcia. Miał to zgłosić. Zuza! To nie może być przypadek! Masz swoje powiązanie, Zuza!

– Jezus Maria... Klarka... poświęcisz mi popołudnie? Proszę cię. Nie mogę z tym zostać sama. Przejrzemy akta, poczytamy protokoły, może coś ci się rzuci w oczy, co? Klara, obiecuję, że już nie spojrzę na alkohol, będę grzeczna. I jak chcesz, to cię odwiozę do tej twojej Łodzi, co? Nie odmawiaj mi, kochana...

– Dobrze. Dobrze, pomogę ci. Ale pod jednym warunkiem.

– Wszystko, co tylko chcesz. – W oczach Zuzy pojawiła się iskierka nadziei.

– Weźmiemy na wynos szarlotkę.

Ołtarz Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny znajdował się w głównej nawie klasztoru jasnogórskiego. Stanowił on monumentalną budowlę zachwycającą bogactwem złocen i ornamentów oraz obfitością zastosowanej symboliki. Wpisujący się w nurt sztuki barokowej ołtarz był patetyczny, dynamiczny i w pewien sposób efekciarski, a wszystko po to, żeby w oglądającym wzbudzić zainteresowanie, żeby go poruszyć i zmusić do refleksji. Na trzyczęściową kompozycję ołtarza składała się sarkofagowa mensa, czyli blat ołtarza z tabernakulum w formie namiotu, część środkowa z sześcioma kolumnami, symbolizującymi niedoskonały porządek ziemski, oraz szczytująca ponad pozostałymi gloria z Trójcą Świętą w scenie koronacji Najświętszej Panienki. Każdy najdrobniejszy szczegół tego dzieła sztuki miał swoje znaczenie dla wymowy całości. Istotni byli święci Piotr i Paweł ze swoimi atrybutami: kluczami i mieczem, pilnujący bożego porządku w niebie. Nie bez znaczenia pozostawały figury czterech ewangelistów, którzy to, umieszczeni między trzema parami kolumn, swoim słowem bożym mają wprowadzać boży ład na tym niedoskonałym świecie. Między nimi, pośrodku, potężny wir, podkreślony złoceniami i oświetleniem, unosił figurę Najświętszej Matki z ziemi, wprost do nieba. To dynamiczne przedstawienie było według Kościoła bezpośrednią konsekwencją przywileju niepokalanego poczęcia oraz roli, jaką matka wypełniła w życiu i śmierci Jezusa. Najistotniejsza jednak, choć na to nie wyglądała, była najniższa, ołtarzowa strefa. Po pierwsze, ołtarz był symbolem stołu, na którym Chrystus w wieczór Ostatniej Wieczerzy ustanowił Ofiarę Eucharystii, zapowiadając swoje męczeństwo i śmierć. Po drugie, ołtarz był też symbolem samego krzyża, na którym Chrystus został ofiarowany we własnej postaci. I w końcu, tabernakulum z dwoma aniołami w adoracyjnej pozycji był odniesieniem wprost do biblijnej Arki Przymierza. Te trzy symbole, z których jeden

wzmacniał kolejny, a drugi podkreślał znaczenie następnego, wzięte razem wskazywały wyraźnie na istotę tego przedstawienia. U podstaw Kościoła leży męka i śmierć Syna Bożego, a jego ofiarę kapłani i wierni rozpamiętują wciąż od nowa podczas kolejnych celebracji sakramentu Eucharystii.

Za tym ołtarzem, w ciemnej i ciasnej wnęce, między ogromną bryłą konstrukcji a marmurową ścianą kaplicy, w swoim zwyczajnym, białym habicie klęczał brat Tadeusz. Dla wiernych, których kilkoro modliło się jeszcze w bazylice, pozostawał całkowicie niewidoczny, ukryty za monstrualnej wielkości rzeźbami zdobięcymi ołtarz. Jednak gdyby ktoś mógł go w tej chwili zobaczyć, z pewnością dostrzegłby, że jego oblicze jest w dziwny sposób odmienione. Na jego twarzy nie było widać cienia zwykłej zaciętości. Spojrzenie miał łagodne, a czoło skupione. Na usta wpełzał mu uśmiech, jakim obdarza się niemowlęta – dobrotliwy i pełen spokoju. Klęczał na obu kolanach, z rękoma złożonymi do modlitwy, jak dziecko przed pierwszą komunią. Jednak jego wzrok utkwiony był w posadzce. Po skończonym pacierzu ucałował zimny marmur przed sobą i podniósł z ziemi jakiś niewielki przedmiot. Następnie przystawił do tylnej ściany ołtarza wysłużoną, drewnianą drabinę i zwinnie wspiął się na sam jej szczyt. Znajdował się teraz na wysokości, umieszczonej po frontowej stronie, glorii. Po omacku odnalazł właściwe miejsce w ścianie i delikatnie wypchnął na zewnątrz fragment złożonej rzeźby w samym środku szerokiej na kilka metrów tylnej ściany ołtarza. Sięgnął do swojej nieodłącznej skórzanej torby, którą miał na ramieniu, i wyjął z niej podniesiony wcześniej z posadzki przedmiot. W niemal całkowitej ciemności wepchnął go w powstały w ścianie otwór, przeżegnał się i wyszeptał z dumą w głosie:

– To już ostatni, Panie. Ja, twój uniżony sługa, jestem na twoje wezwanie i wszystko, co każeś, niech się tak stanie.

Klara i Zuzanna, pochylały się właśnie nad stosami akt i raportów, kiedy do biura prokurator Bachledy wpadł Malinowski.

– Pani prokurator, dzień dobry! – zaczął wyraźnie podniecony komisarz. – Już jestem, przepraszam, że tyle mi to zajęło, ale wracam właśnie z instytutu.

Klara popatrzyła na Zużę pytającym wzrokiem i nieznacznie zmarszczyła brwi. Zuzanna natomiast wskazała Malinowskiemu krzesło i zaczęła rzeczowo:

– I czego się pan dowiedział, komisarzu? Proszę, niech pan mówi wszystko, co pan wie.

– A... – zająknął się Malinowski, wskazując spojrzeniem siedzącą niedaleko Klarę.

– Proszę mówić, redaktor Wasowska jest już z grubsza wprowadzona w sprawę. I mam do niej całkowite zaufanie.

– Dobrze – uspokoił się Malinowski – w takim razie pozwolę sobie zacząć od początku. – Poprawił się na krześle, odchrząknął i zaczął referować to, czego udało mu się dowiedzieć: – Doktor Wieczorek jest przekonany, że osoba, z którą mamy do czynienia, ma jakiś związek z Kościołem katolickim, a przynajmniej z tradycją chrześcijańską. Nie możemy być pewni, czy chodzi o księdza, zakonnika czy tylko kogoś głęboko wierzącego, dlatego też czeka nas niełatwe zadanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że w Częstochowie nie brakuje przecież fanatyków. W każdym razie nasz poeta-morderca ma prawdopodobnie jakąś misję do spełnienia. I ta misja przypuszczalnie wymaga zabójstwa kolejnych osób. Nie jestem przekonany, ale wydaje mi się, co zresztą doktor Wieczorek potwierdza, że zabójca w jakiś sposób „oczyszcza” tych ludzi, a już z całą pewnością oczyszcza z nich samo miasto. Tak więc, jak pani prokurator widzi, trafił nam się, cholera, jakiś katolicki Batman, psia jego mać! – wykrzyknął Malinowski i natychmiast uświadomił sobie niestosowność swoich słów. – Proszę mi wybaczyć wzburzenie, ale po prostu krew się we mnie gotuje – dodał spokojniej.

– Nic nie szkodzi, panie komisarzu, to zrozumiałe – odparła Zuza. – Proszę, niech pan mówi dalej.

– Doktor Wieczorek jest również przekonany, że kolejnych wskazówek powinniśmy szukać w Księdze Przysłów.

– W Biblii?! – wyrwało się Klarze.

– Tak, wyczytał to z tego wiersza. – Malinowski przybrał minę wyrażającą najwyższy zachwyty i szacunek dla genialnego odkrywcy. – Proszę na mnie nie patrzeć, ja sam bym tego nie wymyślił. Zresztą tutaj jest wszystko to, co mi powiedział. Proszę. – Podał Zuzie cienki skoroszyt. – Problem jednak w tym, że nie wiemy, gdzie konkretnie szukać, bo nigdzie, jak dotąd, nie znaleźliśmy stosownych wytycznych dotyczących wersów, które nas interesują. Być może dopiero się pojawią albo też jest coś, co do tej pory przeoczyliśmy.

– Co jeszcze? – chciała wiedzieć Zuza.

– Właściwie to już wszystko. Doktor Wieczorek jest ze mną w stałym kontakcie. Próbuje jeszcze ustalić, o które osoby chodzi konkretnie.

– To znaczy?

– Ja nie potrafię tak dokładnie powtórzyć, ale z grubsza chodzi o to, że w tym wierszu ofiary są konkretnie nazwane. Mają przydomki, rozumie pani, pani prokurator? I doktor Wieczorek jest przekonany, że to, jak on nazywa tych ludzi, nie jest bez znaczenia. Być może pełen obraz wszystkich zabójstw i tożsamość „wybrańców” pomogą nam zbliżyć się do sprawcy. Póki co jednak musimy skupić się na tym, co już mamy. A mamy tę kobietę z kaplicy. Jeśli połączyć dwa fragmenty, które zabójca zostawił, to ona jest ostatnią z pojedynczych ofiar. A to z kolei każe nam przypuszczać, że morderca uważa ją za nieszczerą. W takim wypadku te krople z wiersza to mogą być jej łzy. Patolog wyraźnie powiedział, że ona musiała długo i intensywnie płakać. Zdaje się, że to jest w raporcie.

– Jeśli ona się zapłakała, no bo w ten sposób chyba należy o tym mówić, to jak to może być morderstwo?! – głośno zastanawiała się Zuza. – To znaczy, jak można zmusić kogoś, by płakał tak bardzo, żeby od tego umarł?! I co z dywanami?!

– Dywanami? – zdziwił się Malinowski. – To ich było więcej?

– Ach, prawda, nie rozmawialiśmy jeszcze. Przy pomocy redaktor Wasowskiej ustaliłam, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż morderstwo tej kobiety może być powiązane ze śmiercią tamtej pary w Mercure. Na

pewno pan pamięta, komisarzu.

– Oczywiście, tamta dziewczyna uczyła się z moją córką. Osobiście informowałem jej rodziców o zajściu. Biedni ludzie...

– No właśnie. Klara, to znaczy redaktor Wasowska, przypadkiem odkryła, że tam również z miejsca zdarzenia zniknął dywan. Konkretnie wykładzina w kolorze dojrzałego wina. Nikt wcześniej tego nie zgłosił, bo zapieczętowaliśmy pokój i obsługa nie była w stanie stwierdzić zguby. Posłałam już kogoś na miejsce, żeby przesłuchali tego portiera, ale jestem prawie pewna, że niczego więcej się od niego nie dowiemy.

– Jeśli to prawda, co pani przypuszcza, to mamy chyba kolejne dwie ofiary. Jak tam było? – Malinowski otworzył skoroszyt i w skupieniu przerzucił kilka kartek. – Mam! – wykrzyknął i postukał palcem w miejsce, gdzie zapisane były oba fragmenty wiersza. – „Nieprawy, Rozwiązła, Niegodzien, Znaczeni przysłowia liczbami” – odczytał na głos i zwrócił się do Zuzanny: – To musi być to! Nieprawy i Rozwiązła! Kto pasuje do tych ksywek bardziej niż małaletnia puszczalska i jej zboczony profesorek?! – ekscytował się Malinowski.

– Boże, to jest ponad moje siły! A co z Niegodnym? Ma pan jakiś pomysł? Przecież ja prowadziłam w życiu tonę śledztw! Nigdy nie znajdziemy po omacku tego, o co nam chodzi. Poza tym nie mamy przecież nic, na czym można by się oprzeć. Nigdzie więcej już nie skradziono dywanu!

– Zuza! – nieśmiało zawołała Klara.

– Musimy na nowo rozgrzebać wszystkie moje sprawy. Odszukać świadków, wypytać o wszystko, co pamiętają, przejrzeć zdjęcia z miejsc zbrodni i dziwnych wypadków, zwrócić szczególną uwagę na te w pomieszczeniach i szukać dywanów, chodników, wykładzin!

– Zuza!

– Mamy niewiele, ale zawsze to więcej niż nic. – Zuza nie zwracała uwagi na zaczepki przyjaciółki. – Niech pan przegrupuje ludzi, komisarzu, i proszę się tym zająć od razu. Ja sama też pošlę kogoś do archiwów i przysiędę nad

tym osobiście. Nie wymknijcie się nam! Dorwiemy go, na pewno! I proszę mnie informować, gdyby pojawiło się coś nowego. Każdy pomysł i poszlaka, rozumiemy się? Zwłaszcza jeśli ten pana doktorek ustali coś jeszcze. Genialny jest, naprawdę godny podziwu. Mam nadzieję, że będziemy mogli jakoś mu się odwdziaczyć, ale to wszystko potem. Teraz musimy...

– Zuza! – przerwała jej gwałtownie Klara. Oczy zebranych natychmiast skierowały się na nią.

– Klara, na miłość boską, nie możesz chwilę poczekać?!

– To ty poczekaj chwilę, bo jak na razie ekscytujesz się byle czym! – Klara była wyraźnie zniecierpliwiona i poirytowana. – To ty mnie prosiłaś o pomoc, więc przestań mnie w końcu traktować jak intruza! Zdaje się, że mam tu coś, co oboje przeoczyliście, ale skoro aż tak ci przeszkadzam, to z przyjemnością zachowam to dla siebie.

– Klara, daj spokój... – Zuza próbowała ją udobruchać. – Mów, co tam znalazłaś, no?

Klara dała koleżance znak ręką, żeby się zbliżyła. Rozłożyła na blacie niskiego stoliczka kilka zdjęć i luźne kartki wyjęte z policyjnych raportów, po czym zwróciła się do Malinowskiego:

– Pan też, komisarzu, bardzo proszę.

Kiedy Malinowski podszedł kilka kroków, wszyscy troje z zaciekawieniem pochyliли się nad stolikiem, a Klara powiedziała bez ogródek:

– Karol. To Karol jest brakującym ogniwem. Wszystko pasuje.

– Co? Karol? Jak to? Co pasuje? Jakże wszystko?

– Na pewno, trzeba jeszcze sprawdzić, co z tym dywanem czy wykładziną, ale wszystko inne się zgadza.

– Pani wybaczy, pani redaktor, ale ja nic nie rozumiem. Czy można jaśniej? – spytał Malinowski.

– Jasne, oczywiście. Posłuchajcie: Nieprawy, Rozwiązała, Niegodzien, dobrze pamiętam? – zaczęła Klara i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: – Dwoje pierwszych już mamy, zostaje Niegodzien. Karol to był dobry chłopak,

prawda? Nikomu nie wadził, nie kradł, nie kłamał, był uprzejmy, pomocny i tak dalej, zgadza się? – Zuza przytaknęła. – Ale ten poeta, nasz morderca z bożej łaski, jest zagorzałym katolikiem, tak?

– Na to wskazują pozostawione przez niego notatki – odpowiedział komisarz.

– Przyjmijmy, że dobrze to interpretujemy i że zabójca jest fanatykiem religijnym. Czy Karol miał, waszym zdaniem, jakąś cechę, której nie pochwaląby ortodoksyjni katoliki? – Klara starała się naprowadzić pozostałych na swój tok myślenia. – Coś, co czyniłoby z niego osobę niegodną? Śmiecia, którego w imię boże należy usunąć z tego świata? Kogoś, kto bezcześnie nieskazitelne oblicze świętego miasta? Kogoś, kto nie zasługuje na nic, poza strąceniem do piekielnych czeluści?

– Boże... myślisz, że...?

– Pedał! – przerwał Zuzie komisarz. – Kopara był przecież pedałem! – Malinowski zamilkł pod karcącym spojrzeniem obu kobiet. – Gejem, pardon – poprawił się i spuścił wzrok, nie mówiąc już nic więcej.

– Właśnie, był gejem – podjęła Klara. – I to mogło sprowokować mordercę do nazwania go Niegodnym i sprowadzenia na niego bożej kary, czyż nie?

– Dobrze, Klara, ale czy to nadal nie jest za mało? Nie mamy innych dowodów na to, że śmierć Karola jest z tym wszystkim związana...

– Jezu, Zuza! Czy ty w ogóle zerkasz czasem w swoje akta? Przecież wasz jedyny świadek w tej sprawie wyraźnie mówił o tajemniczym mnichu, który odprawiał jakieś uroki nad wykładziną w siłowni. Może pan to znaleźć, komisarzu? – Podała Malinowskiemu stosowny raport, a ten odszukał właściwy fragment zeznań świadka i odczytał go na głos: „Mnich ukląkł na oba kolana, opierając dłonie na wykładzinie. Przez chwilę pozostawał w tej pozycji... Sięgnął do dużej, skórzanej torby, którą miał ze sobą. To, co z niej wyjął, przypominało kawałek purpurowego materiału. Rozłożył go z namaszczeniem na podłodze przed sobą, po czym pochylił się i rytmicznie

kołysząc ciałem w przód i w tył, zaczął powtarzać jakieś zaklęcia".

– Ale Klara – przerwała komisarzowi Zuzanna – to dalej nie jest dowód. Nikogo nie złapaliśmy za rękę, a ten mnich najzwyczajniej w świecie zapadł się pod ziemię!

– Czekaj, mam tutaj coś jeszcze, popatrz. – Klara wskazała na rozłożone na stoliku zdjęcia. Wzięła do ręki niedużą lupę do czytania i podała ją Zuzie. – Tutaj, zobacz. – Postukała palcem w odpowiednie miejsce na zdjęciu. Zuza spojrzała na wskazany punkt, potem na kolejny i jeszcze jeden, które na różnych zdjęciach pokazywała jej Klara.

– Co to znaczy? – spytała.

– Naprawdę nic ci to nie mówi? Kompletnie nic? – zdziwiła się ciężarna dziennikarka.

– Klara, mówże wreszcie, bądź człowiekiem! – niecierpliwiła się Zuza, podając Malinowskiemu fotografie i szkło powiększające.

– Numer pokoju, Zuzieńko. Sześćset piętnaście to numer pokoju hotelowego, w którym znaleziono Dacewiczównę z kochankiem!

– Jezus Maria... – prawie bezgłośnie wyszeptał Malinowski, a Klara kontynuowała swój wykład:

– I tutaj też mamy tę liczbę, widzisz? Tu, tutaj i tu. – Jeszcze raz pokazała palcem konkretne punkty na zdjęciach. – Czy nikomu wcześniej nie wydało się dziwne, że przyrządy na rowerku, na którym zmarł z wycieńczenia młody i wysportowany chłopak, wskazują zaledwie 6,15 kilometra? Że spalił przy tym dokładnie sześćdziesiąt jeden i pół kalorii, a do tego, że zmarł z tętnem 61,5?! – Nie otrzymała odpowiedzi, więc mówiła dalej: – Jestem prawie pewna, że mamy swoją wskazówkę. Księga Przysłów, rozdział szósty, werset piętnasty. Teraz potrzebna nam tylko Biblia, konkretnie Stary Testament.

Zuza i Malinowski byli zaskoczeni i z niedowierzaniem kiwali głowami. Pani prokurator jako pierwsza otrząsnęła się z odrętwienia i podeszła do telefonu leżącego na biurku. Nacisnęła odpowiedni klawisz i zaordynowała zdecydowanym tonem:

– Pani Zosiu! Proszę mi dostarczyć Biblię, dobrze? Jak najszybciej! – Nieco przestraszona i całkowicie zbита z tropu, ciężko opadła na krzesło, odetchnęła głęboko i przetarła twarz dłońmi.

Malinowski splótł dłonie za plecami i zaczął krążyć po pokoju, od okna do drzwi i z powrotem. Nie mógł uwierzyć, że w jedno popołudnie tak bardzo zbliżyli się do rozwiązania tej sprawy. Teraz dopiero dotarło do niego to, nad czym sam wcześniej się zastanawiał. Już pierwszego dnia śledztwa, kiedy pojawił się ten Bukowski. Oglądał przecież te zdjęcia wielokrotnie i w myślach śmiał się z kiepskiej kondycji denata. Już wtedy powinien był zacząć coś podejrzewać, tymczasem skupił się na rzeczach mniej istotnych, zupełnie ignorując to, czym powinien był zająć się od razu. Był zawiedziony, że umknęła mu tak kluczowa wskazówka, i zastanawiał się czy gdyby nie przeoczył tych cholernych liczników, mogliby już ująć sprawcę. Ponad wszystko jednak był ciekaw, co też znajdą w Starym Testamencie. Jaką wiadomość mógł dla nich zostawić morderca? I jak długo zajmie im odszyfrowanie kolejnej, ukrytej w biblijnym tekście informacji?

Rozmyślenia przerwała mu sekretarka, która właśnie weszła do gabinetu i nie kryjąc zdziwienia, wręczyła pani prokurator opasłe tomisko, oprawne w skórę i ze złoceniami na grzbiecie.

– Biblia, tak jak pani sobie życzyła. Moja, prywatna, więc...

– Oczywiście, pani Zosiu, obiecuję, że zwrócę pani w nienaruszonym stanie – zapewniła ją Zuza i uprzejmym gestem wskazała jej drzwi. Kiedy zostali tylko we troje, Klara dźwignęła się z miejsca i powoli zbliżyła się do biurka.

– Czy mogę? – spytała.

– Oczywiście, proszę – z zapalem zgodziła się Zuza.

Klara podniosła okładkę i odnalazła w spisie treści odpowiednią księgę. Następnie przerzuciła kilka kartek i wyszukała właściwy ustęp. Uśmiechnęła się z satysfakcją, po czym wzięła tom do ręki, odchrząknęła i odczytała wolno, głośno i wyraźnie: „Dlatego nagle zagłada nań przyjdzie: w mgnieniu oka

zniszczony – i nieodwracalnie". Co powiecie na to? – zwróciła się do Zuzy i Malinowskiego. – Co to, waszym zdaniem, może znaczyć?

– Nie wiem, Klarka, nie wiem – odparła po chwili Zuzanna. – Ale jedno jest pewne: ten facet to jakiś popieprzony padalec, a my go złapiemy, osądzimy i wsadzimy jego katolicką dupę za kratki na dożywocie! Mam rację? – Malinowski i Klara zgodnie przytaknęli. – No, to do roboty! Znajdźmy go, zanim spełni to, co zapowiedział. Komisarzu, spiszcie to, co tu mamy, i pokażcie to Wieczorkowi. A ty, Klarka... – Zastanowiła się przez chwilę, po czym jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Ty, kochana, usiądź na razie, nałożę ci ciasta.

Ciężkie drzwi celi zamknęły się z głośnym trzaskiem, który jeszcze przez kilka sekund odbijał się echem w klasztorze. Wewnątrz było cicho i ciemno. Tadeusz odczekał dłuższą chwilę, zanim jego oczy przyzwyczyły się do panującego wokół mroku, po czym ostrożnym krokiem ruszył w kierunku cokołu z klatką. W miarę jak zbliżał się do celu, spod płótna coraz wyraźniej dobiegał go łopot skrzydeł. To kruk wyczuwał jego obecność i dawał znać o swojej rosnącej ekscytacji. Tadeusz szarpnął materiał, jednocześnie upadając na kolana w poddańczym geście, a półmrok w jednej chwili przybrał purpurowy odcień.

– Nareszcie jesteś, mój sługo. Czekałem na ciebie – zaskrzeczał ptak, rozkładając swoje ogromne skrzydła na całą szerokość. – Drzę z niecierpliwości, jakie też wieści przynosisz dziś dla mnie. Czy zakończyłeś już dzieło? Czy jedyne, co nam pozostało, to czekać?

– Tak, mój mistrzu. – W głosie Tadeusza pobrzmiwała nuta większej niż zazwyczaj odwagi i pewności siebie. Wiedział, że zasłużył sobie na pochwałę z ust swojego pana. Dlatego ośmielał się przychodzić do niego z tą nietypową przecież sprawą. Bez wyraźnych zasług dla całego aktu odnowienia nie pozwoliłby sobie na tego rodzaju swobodę w działaniu. On miał słuchać i wykonywać rozkazy Najwyższego, a nie przychodzić do niego z prośbami o zaspokojenie własnych pragnień. – Wszystko już przygotowane. Zadbalem o wszystko i niczym już nie potrzebujemy się martwić.

– A obietnica? Czy dałeś im obietnicę, mój synu?

– Tak, panie. Wszystko jest dokładnie tak, jak przykazałeś. Dzień, w którym obejmiesz panowanie, jest już prawdziwie bliski. Nic nie jest w stanie zagrozić twojej mocy i odebrać ci władzy, mistrzu.

– Ha, ha! Dobrze... – zaśmiał się skrzekliwie kruk, a złota iskierka w jego

prawym oku radośnie podskoczyła w górę i w dół. – Ciesz się takim obrotem spraw. Duszę się już w tym wątlwym ciałku. Potrzebuję czegoś wygodniejszego. Rad jestem, żeś mi wierny, Tadeuszu. Doprawdy nie znam na tym świecie sługi bardziej oddanego niż ty. Zaprawdę powiadam ci, w dniu, w którym ponownie się narodzę i obejmę we władanie oba światy, uczynię cię potężnym i nieustraszonym władcą, który tylko przede mną będzie musiał ustąpić. Będziesz jednym skinieniem spełniał wszystkie swoje zachcianki. Będziesz pławił się w bogactwach i przebywał z najpiękniejszymi kobietami. Będziesz mógł robić, co tylko zechcesz, a ja będę się nieskończenie radował, widząc, że jesteś zaspokojony.

– Dziękuję ci, Najwyższy. Doprawdy nie zasługuję na słowa, którymi mnie obdarzasz. Nie czuję się godzien nawet przebywać z tobą w jednym pomieszczeniu, nawet...

– Rozwiązać rzemyk u moich sandałów, co? – upiornie zaśmiało się ptaszysko. – Daruj, Tadeuszu, ale skromność jest cnotą, która wybitnie nie przypada mi do gustu. Zwłaszcza fałszywa...

Zapadła chwila milczenia, po czym Tadeusz podjął:

– Wybacz mi tę zniewagę, mistrzu. – Zakonnik odważył się podnieść głowę i spojrzeć wprost w ślepie diabelskiego stworzenia. – Czy w swojej nieskończoności mógłbyś okazać mi tę łaskę i wlać w moje uszy miód historii, która nas doprowadziła do tego punktu ostatecznego zwycięstwa nad niewiernymi? Przebac, jeśli proszę o zbyt wiele, ale pragnienie poznania Największej Prawdy z ust samego Niezwycięzonego od dawna już pali moje trzewia. Ukaż mnie, Panie, jeśli moja prośba wydaje ci się zbyt śmiałą – miał wypowiedzieć obmyślaną już od dawna formułę, ale gdy tylko zdążył ją pomyśleć, kruk niespodziewanie wyprzedził jego słowa:

– Imponujesz mi swoją odwagą i uporem, chłopcze – zaczął z wolna ptak, a w jego głosie dało się usłyszeć dumę. – Powinieneś się mnie lękać, ale też pokładać we mnie ufność i wszelkie nadzieje. – Wyskubał ogromnym dziobem kilka czarnych strzępów spod lewego skrzydła, jakby potrzebował chwili na zastanowienie, potęgując tym samym atmosferę napięcia, po czym

mówił dalej: – Dobrze więc, spełnię twoją prośbę, choć nie zwykłem przystawać na pomysły śmiertelnych. Dla ciebie jednak gotów jestem zrobić wyjątek, bowiem jak dotąd nie zawiodłeś moich oczekiwań. Chcę, żebyś wiedział, że stanowisz dla mnie więcej niż proch, jakim są pozostali z twojego wątłego gatunku. Na tobie zbuduję swój kościół, Tadeuszu. Swoją świątynię Ostatecznej Prawdy. Najpierw jednak – potarł potężnymi szponami o pręty mosiężnej klatki – przygotuj dla mnie miejsce, bym mógł z niego snuć swoją opowieść.

Tadeusz podniósł się bez słowa i sięgnął do skórzanej sakwy, z którą się nie rozstawał. Wyjął ze środka niewielkie zawiniątko i z namaszczeniem podniósł do ust, aby złożyć na nim pełen czci pocałunek. Następnie delikatnie wyjął ze środka ciemnoczerwony strzęp materiału i ułożył go wprost na posadzce u stóp kamiennego cokołu. Odsunął się kilka kroków, przysiadł na piętach i rozpoczął swój rytuał:

– Przyjdź królestwo twoje... Przyjdź królestwo twoje... Przyjdź królestwo twoje... – powtarzał swoją mantrę najpierw cicho, potem coraz głośniej. Jednocześnie rytmicznie kołysał się w przód i w tył, wykonując nad tkaniną okrężne ruchy obiema dłońmi, od środka na zewnątrz i z dołu ku górze, niczym dyrygent zwiększający dynamikę swojej orkiestry.

Materiał niewzruszony leżał przed Tadeuszem, a kruk obserwował całą scenę zza krat klatki. W pewnym momencie całe pomieszczenie wypełniło się krwistym, oślepiającym blaskiem. To, co jeszcze przed chwilą było tylko poszarpanym strzępem czerwonego jedwabiu, naraz rozpełzło się po celi, przybierając postać pajęczej sieci. Jedwabna siatka pokryła całą podłogę i rozprzestrzeniając się z zawrotną szybkością, zaczęła zajmować ściany i sufit. Z sufitu coraz gęściej spadały luźne, miękkie nitki, sięgając końcami podłogi. Nieregularna bryła śliskiego włókna w kilka sekund zajęła całe pomieszczenie, tworząc ścianę tak gęstą, że nie sposób było dostrzec w niej cokolwiek więcej niż głęboką czerwień błyszczącej gmatwaniny strzępów, nitek i jedwabnego puchu. W siatce kordonków i muliny, wypełniających celę Tadeusza, jedynie trzy miejsca pozostały w swoim dawnym kształcie.

Kłęcząca nieruchomo sylwetka mnicha, mosiężna klatka, ustawiona na gęsto oplecionym cokole, i ogromna ferula, zawieszona na jednej ze ścian.

Zakonnik powoli podniósł się z kolan i delikatnie rozgarniając przed sobą wszechobecną przędzę, dotarł do klatki swojego pana. Otworzył ją jednym ruchem, wypuszczając lśniącego ptaka na zewnątrz. Kiedy kruk znalazł się w powietrzu, kłęby jedwabiu ustąpiły mu z drogi, tworząc wąski tunel, prowadzący wprost na ramiona monstrualnego krzyża. Ptak w mgnieniu oka pokonał krótki dystans dzielący go od feruli i rozsiadł się wygodnie na jej szczycie, tuż ponad głową umęczonego Mesjasza. Tadeusz podążył jego śladem, odsuwając na boki jedwab czepiający się jego habitu. Znalazłszy się niecały metr od swego mistrza, mógł go już dość wyraźnie zobaczyć. Usiadł wśród miękkiego puchu, którego gruba warstwa zalegała na podłodze, i zadarł głowę do góry.

– Bądź wola twoja! – zawołał w kierunku ptaka. – Jak w zaświatach, tak i na Ziemi!

W odpowiedzi kruk zatrzepotał pysznymi skrzydłami, a iskierka na dnie jego oka błysnęła złotym refleksem.

Tadeusz powrócił do mantrycznego mruczenia i kołysania się, żeby na powrót wprowadzić się w trans i otworzyć umysł na słowa władcy.

– Zatem, mój synu, czy nadal chcesz poznać naszą historię? Jedyłą prawdę o twoim świecie? Jedylny prawdziwy dogmat o swojej wierze? – usłyszał jeszcze, przekraczając granicę świadomości.

– Bądź wola twoja! Bądź wola twoja! Bądź wola twoja! – nie przestawał powtarzać zaklęcia, zanurzając się z wolna w ciepło purpurowego światła, które wypełniało jego umysł i ciało.

– Dobrze, powiem ci, co chcesz wiedzieć. Nadstaw uszu, żeby żadne z moich słów nie zdołało umknąć twojej uwadze. Nie każdy może dostąpić zaszczytu, jaki ciebie spotyka. Nie każdy godzien jest, aby obcować ze mną i słuchać mego głosu. Wybrałem ciebie jako najdroższego i najwierniejszego z mych uczniów i tobie tylko powierzam naszą prawdę w całości. Miej tego

świadomość, wsłuchując się w moje słowa. Jesteś wybrańcem, Tadeuszu. Jesteś wybrańcem...

Wieczorem po powrocie do hotelu Klara wzięła odprężającą kąpiel, jednak ponure myśli nie opuściły jej ani na moment. Na domiar złego ogarnęła ją, znana jej dobrze i konieczna w zawodzie, który wykonywała, potrzeba rozwiązania zagadki. Zabawa w detektywa zawsze należała do jej ulubionych, a ten temat, z racji powiązania z Zuzą, rodziną Częstochową i Kościołem był dla niej szczególnie atrakcyjny. Tym bardziej że mogła swoją niezaspokojoną ciekawość tłumaczyć chęcią zarobienia kolejnej kwoty „ekstra”. Na przeciwnej szali należało jednak postawić obszerne brzuszysko, które towarzyszyło jej w śledztwie i które lada dzień mogło wyrzucić z siebie wątłe i słabe ciało jej upragnionego synka. Chciała dla niego spokoju już od pierwszych chwil życia. Pragnęła uchronić siebie i jego przed smutną aurą miasta, w którym teraz przebywała. Wolałaby, żeby urodził się w Łodzi, bezpiecznej, wesołej i tolerancyjnej, gdzie miała przytulne mieszkanie, ciasne, ale własne, z przygotowanym już łóżeczkiem dla nowego lokatora. Z drugiej strony może mogłaby poświęcić Zuzie i rozwikłaniu jej zagadki kolejne dwa lub trzy dni, zdobywając przy tym ogromną satysfakcję i okrągłą sumkę za pionierski artykuł o częstochowskiej aferze. Zapewniłoby to jej całkowitą stabilizację finansową na najbliższych kilka miesięcy. Nie musiałaby się martwić o to, czy wystarczy jej do pierwszego, czy przyznają jej becikowe i czy Junior urodzi się w rozmiarze odpowiednim do ubrań, które kupiła, czy też cała wyprawka pójdzie na zmarnowanie. Tak, czynnik finansowy był szalenie istotny. Była samotną matką i musiała zadbać o siebie i dziecko najlepiej jak umiała.

Pełna mieszanych uczuć, z trudem wyszła z wanny i obejrzała się dokładnie w dużym ściennym lustrze. Z nieskrywanym niezadowoleniem stwierdziła, że na koniec nabawiła się jednak rozstępów na brzuchu. Bała się sięgnąć po centymetr krawiecki, wiedząc, że obwód w miejscu, które kiedyś było jej talią, dawno już przekroczył magiczną granicę metra. Stopy i dłonie

miała spuchnięte i obolałe. Jej palce przypominały małe serdelki, a pod brodą wyraźnie odznaczała się dodatkowa oponka. Cieszyła się, że jest zima. Dodatkowa gymnastyka, związana z depilacją nóg, naprawdę nie była jej potrzebna. Na szczęście nikt poza nią samą nie oglądał jej nago, mogła więc nosić spodnie i udawać, że ten problem po prostu nie istnieje. Położnym nie będzie przecież musiała tłumaczyć, że pewne czynności kosmetyczno-higieniczne w trzecim trymestrze ciąży są zwyczajnie niemożliwe do samodzielnego wykonania.

Przeglądała się w lustrze przodem, później bokiem i znowu przodem, aż stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że brzuch ma jeszcze całkiem wysoko. Była strasznie zmęczona, ale poza tym czuła się wcale nieźle i wiedziała, że jeśli teraz zdecyduje się na powrót do Łodzi, niewątpliwie umrze z ciekawości. Westchnęła głęboko i powzięła decyzję:

– Zostajemy.

Swoje śledztwo postanowiła zacząć tam, gdzie podpowiadało jej przeczucie. Musiała zebrać jak najwięcej informacji dotyczących głównego podejrzanego. Wiedziała, że kluczem do poznania tożsamości sprawcy jest wczucie się w jego myślenie, poznanie jego założeń i celów, stworzenie portretu psychologicznego. O mnichu wiedziała jak dotąd niewiele, ale to, co było niepodważalne, co stanowiło podstawę dalszych poszukiwań, ponownie nasunęło jej myśl o ekspercie, który jako jedyny mógłby pomóc. Swoim pomysłem miała się podzielić z Zuzą, kiedy umówiły się w południe w herbaciarni, ale sprawy potoczyły się tak, że nie miała najpierw ochoty, a potem już okazji, żeby spytać ją o zdanie. Jednocześnie zyskała kolejny powód, żeby zwrócić się do człowieka, który, jak nikt inny, zna się na praktykach kościelnych, magii i zjawiskach nadprzyrodzonych, przepowiedniach, kabałach i mitach. Od momentu gdy postanowiła poświęcić się dla sprawy, nie miały znaczenia pobudki, którymi się kierowała do tej pory w kontaktach z tym mężczyzną. Unikała go nie z powodu niechęci, ale z przyczyn osobistych, którymi jak dotąd dzieliła się tylko ze swoim

nienarodzonym dzieckiem i Zużą. Teraz jednak nadszedł moment, w którym musiała złamać swoje żelazne postanowienie i stanąć twarzą w twarz ze swoimi lękami dotyczącymi tego spotkania.

Przysiadła na brzegu łóżka i wzięła do ręki telefon. Wybrała odpowiedni numer, odchrząknęła i nerwowo skubiąc skórę kciuka lewej dłoni, czekała na połączenie. Raz już ćwiczyła wstęp do tej rozmowy, siedząc dokładnie w tym samym miejscu. Wtedy się poddała, stchórzyła. Teraz pewnie stałoby się tak samo, gdyby nie to, że nagle w słuchawce odezwał się miękki, męski głos:

– Witaj, Klaro, kochanie. Czekałem na twój telefon. – Zaskoczona Klara zaniemówiła na chwilę. Nie spodziewała się personalnego zwrotu do siebie. Liczyła na suche „halo” w słuchawce, po którym prawdopodobnie przerwałaby połączenie. Teraz jednak nie mogła już się wycofać, Janusz wiedział, kto dzwoni, i zapewne oddzwoniłby, zanim zdążyłaby wymyślić dla siebie stosowną wymówkę.

„Cholera – zakłęła w myślach. – Pewnie po ostatnim razie zapisał sobie mój numer. No tak! Cholerna idiotka! Idiotka!”

– Klaro! Jesteś tam? Klaro! – docierało do niej wołanie z słuchawki. W żołądku czuła jakieś szalone stado motyli, zaschło jej w gardle i spociła się jak mysz.

– Auć! – wyrwało jej się, gdy niespodziewanie Junior kopnął ją pod zebro. – „Ten to ma wyczucie, skubany...” – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie, bo dotarło do niej, że jej pierworodny właśnie dał jej kopa na rozpęd. Pogładziła pobłażliwie swój ogromny brzuch i w końcu zaczęła rozmowę: – Halo! Janusz?

– A kogo się spodziewałaś? – W jego głosie słychać było nonszalanckie rozbawienie. – Co słychać, Klaro? Wszystko u ciebie w porządku? Brzmisz jakoś dziwnie.

– W porządku, dziękuję – odparła Klara, starając się opanować drżenie głosu. – Słuchaj, Janusz... czy moglibyśmy się spotkać? Wiem, dawno się nie odzywałam, ale wiesz... mam taką sprawę... Chodzi o to, że... to znaczy...

nie wiem, czy masz czas i w ogóle... Nie chciałabym ci przeszkadzać... Jeśli masz inne plany, to ja...

– Przeszkadzać? Klaro, ty nigdy mi nie przeszkadzasz, przecież wiesz... – Jego głos wzbudzał w niej emocje, jakie zwykle towarzyszą ludziom przed pierwszym pocałunkiem albo ważnym egzaminem. Czuła łaskotanie na karku i ciarki na całym ciele. Spociły jej się dłonie, a serce waliło jak młotem.

– Wobec tego, kiedy ci pasuje? Gdzie? Kawiarnia jakaś? Czy spacer wolisz?

– Daj spokój, Klaro. Nie będziemy rozmawiać w kawiarni, mówiłaś przecież, że masz jakąś sprawę. Może przyjdiesz do mnie, co? Będziemy mieć spokój, tyle się nie widzieliśmy... – zawiesił na chwilę głos. – Tęskniłem za tobą, Klaro...

– Ja za tobą też... – powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić i natychmiast pożałowała, że nie może cofnąć swoich słów.

– Kiedy przyjdiesz?

– Jutro... będę jutro, dobrze? Koło południa. Ale teraz muszę kończyć, przepraszam cię.

– Nie ma sprawy. To do jutra, Klaro.

– Do jutra – ucięła szorstko i szybkim ruchem wcisnęła przycisk z czerwoną słuchawką. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się tępo w ścianę przed sobą i czekała, aż wyrówna jej się oddech. Kiedy nieco ochłonęła, rzuciła okiem na lewą dłoń, ściskającą ciepły jeszcze telefon. Skórkę wokół kciuka miała rozdrapaną do krwi.

Klara szła na spotkanie jak na ścięcie. Powolutku, krok za krokiem powłóczyła nogami, nie zważając na ostry wiatr i deszcz ze śniegiem, który wymiółł zmęczonych przechodniów ze śliskich chodników i ulic. Nieliczni, którzy wyszli dziś ze swoich ciepłych domów, teraz pospiesznie zmierzali w stronę sklepów i osłoniętych bram. Jej jednej się nie spieszyło. Nie odczuwała nawet specjalnie dyskomfortu związanego z przemoczonymi butami i płaszczem. Zgrabiła z zimna ręce chowała głęboko w kieszeniach i ze spuszczoną głową, niespiesznie zmierzała w kierunku mieszkania Janusza. Do pokonania miała jeszcze całą pierwszą Aleję, przy której końcu, po prawej stronie placu Daszyńskiego, tuż przy miejskich latrynach, na poddaszu starej kamienicy mieściła się jego wynajmowana kawalerka.

Bywała tam już wcześniej. Z perspektywy czasu myślała nawet, że zdecydowanie zbyt dobrze znała to miejsce. Nie mogła powiedzieć, że żałuje czegokolwiek z tego, co się zdarzyło. Jednak pewien niesmak pozostał w niej głęboko. Decyzja, którą podjęła wiosną, kosztowała ją wiele wysiłku, zwłaszcza że jej konsekwencje będzie prawdopodobnie odczuwać przez całe swoje życie. Mimo to trwała w swoim postanowieniu przez długie miesiące, aż do dzisiaj, kiedy będzie musiała wyjawić trudną prawdę. Długo zajęło jej otrząśnięcie się z przykrego wrażenia, że dla niej życie już się skończyło. Dużo czasu musiało minąć, zanim w końcu nabrała chęci do życia dla siebie i dziecka. Teraz gdy już wydawało jej się, że ma to wszystko za sobą, kiedy zaczęła myśleć o tym jak o złym śnie, zmuszona była ponownie stanąć oko w oko ze swoimi najgorszymi koszmarami. I to wszystko w imię czego? Prawdy i sprawiedliwości? Nie, nie wierzyła w tego rodzaju bohaterstwo, zwłaszcza własne. Życie nauczyło ją, że ludzie żyją wyłącznie dla siebie i że nie istnieje coś takiego jak bezinteresowna pomoc. Nawet jeśli uważała się za dobrego człowieka, to w głębi duszy wiedziała, że sprawa Zuzy to tylko pretekst, by

przekroczyć wyznaczoną wcześniej granicę. Oficjalnie tłumaczyła się ekonomią i duszą odkrywcy. Prawda była jednak taka, że nie potrzebowała dodatkowych pieniędzy aż tak bardzo, a instynkt samozachowawczy powinien przeważać nad chęcią rozwikłania zagadki. Ostatecznie mogła przecież pomagać Zuzie w inny sposób. Znaleźć innego eksperta, przegrzebać internet, załatwić to telefonicznie nie z domu, z Łodzi. Nie musiała wcale być tutaj, dzisiaj, na miejscu ani rozmawiać z człowiekiem, z którym przysięgła sobie już nigdy więcej nie rozmawiać, a jednak szła na to spotkanie, które powinna była zaaranżować na neutralnym gruncie. Szła do jego mieszkania, gdzie będą zupełnie sami. Podświadomie i po części świadomie pchała się z powrotem wprost w jego silne ramiona. Chciała tego spotkania, chciała wyznać mu prawdę, chciała paść w jego objęcia i zostać w nich już na zawsze. Chciała tego wszystkiego, ale na wszelki wypadek udawała przed sobą, że to nie jej pragnienia i nie jej sny. Powłócząc skostniałymi z zimna nogami, wolno posuwała się do przodu, uparcie trzymając się myśli, że robi to wszystko wbrew sobie.

Częstochowska policja została oficjalnie postawiona w stan najwyższej gotowości. Wszyscy funkcjonariusze, oprócz swoich zwykłych zadań, zajmowali się teraz poszukiwaniami zakapturzonego mnicha – wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w średnim wieku. To był priorytet. Niestety jedyny świadek w tej sprawie, mimo szczerzej chęci udzielenia jak najdokładniejszych informacji, nie był w stanie podać funkcjonariuszom więcej szczegółów, dlatego zadanie nie należało do najłatwiejszych. Przesłuchiwano księży i zakonników, a także kleryków, diakonów i prezbiterów. Lista była długa, ponieważ w mieście znajdowało się blisko sześćdziesiąt parafii, w tym trzy klasztory oraz Wyższe Seminarium Duchowne, co jak nietrudno się domyślić, dawało pokaźną liczbę domniemych sprawców. Jednym słowem, wszyscy funkcjonariusze mundurowi w mieście mieli pełne ręce roboty.

Rankiem tego dnia jeden z nich, ten sam, który wcześniej jako pierwszy

przesłuchiwał świadka Bukowskiego, wpadł bez pukania do gabinetu komisarza Malinowskiego.

– Panie komisarzu! Panie komisarzu! – wyartykułował, z trudem łapiąc powietrze.

– Ki diabeł? – zde gustowany Malinowski podniósł się zza biurka. – Kto ci dał prawo wchodzić tu jak do siebie, co?! Wypierdalaj stąd, ale już! I módl się, żebym zapomniał o tym, że w ogóle tu byłeś! No?! Na co czekasz?! Won mi stąd!

– Ale... panie komisarzu...

– Nie słyszałeś?! Wypierdalaj!!!

– Tak jest. – Posterunkowy trzasnął obcasami i odmeldował się, po czym zniknął za drzwiami.

Poczerwieniały ze złości Malinowski przysiadł na swoim wcześniejszym miejscu i poluzował krawat. Odetchnął głęboko, próbując uspokoić zszargane nerwy.

– Że też trafiła mi się taka banda imbecyli... – wyraził półgłosem swoje niezadowolenie. – Dobrze wiedzą, że nie mam teraz czasu na pierdoły i myślą, że mogą sobie pozwolić na rozprężenie. O, nie, nie... Nie ze mną takie numery. Dyscyplina w szeregach to podstawa. I ja im o tej dyscyplinie przypomnę. Przypomnę im! Będą chodzić jak w zegareczku, banda skretyniałych matkojebców! A za wszystko podziękują koledze... tylko jak on się nazywa? – zastanowił się przez chwilę, ale szybko uznał, że nazwisko niefrasobliwego młodzika nie jest tym, co jest mu w tej chwili najbardziej potrzebne do szczęścia. Zanim jednak zdążył z powrotem pochylić się nad przerwana przed chwilą pracą, usłyszał natarczywe pukanie do drzwi.

– Co znów, do kurwy? – zapytał pod nosem, a głośniejszym głosem dodał: – Proszę!

Drzwi otworzyły się powoli, a w progu stanął ten sam co wcześniej funkcjonariusz. Na jego widok w Malinowskim zawrzało.

– Ty się doigrasz, bezmózgu! Czego chcesz?!

Chłopak głośno przełknął ślinę, przyjął postawę zasadniczą, zasalutował i

zaczął meldować odrobinę zbyt donośnie:

– Panie komisarzu! Nie chciałbym przeszkadzać, ale melduję, że właśnie znaleziono kolejny dowód w sprawie mnicha zabójcy!

– Co?! Co ty mówisz? – zwrócił się do niego Malinowski. – Spocznij! Mówże po ludzku!

Funkcjonariusz szybkim krokiem zbliżył się do biurka Malinowskiego i położył przed nim foliowy woreczek strunowy.

– To – skinął głową w kierunku pakuneczku – znaleźliśmy przed chwilą wetknięte w drzwi komisariatu, panie komisarzu.

– Jak to? Co to znaczy „wetknięte w drzwi komisariatu”? Żartujecie sobie, posterunkowy?! – Mali nowski znowu zaróżowił się ze złości. – Co to jest? Kto to znalazł? – wyrzucał z siebie, nie czekając na odpowiedź. – Odpowiadaj, kiedy cię pytam!

– Melduję posłusznie, że ja, panie komisarzu. Ja i Kowalski. Posterunkowy Kowalski.

– Spocznij! – Komisarz ponowił wcześniejszy rozkaz, bo zestresowany chłopak znów stał przed nim na baczność. – Oglądaliście to? Pokazywaliście komuś? – Złość komisarza powoli ustępowała miejsca fachowemu zaciekawieniu.

– Tak... Nie! To znaczy... – Posterunkowy zrobił krótką pauzę, żeby zebrać myśli. – Tak, oglądaliśmy, i nie, nie pokazywaliśmy nikomu. Od razu przyleciałem do pana, panie komisarzu. Myśli pan... czy to jest wierszyk tego mordercy?

– Tak... tak... Nie! Nie wiem! Cholera... – tym razem Malinowski nie mógł wyrazić się precyzyjnie, raz za razem wczytując się w treść zapisaną na podobnym jak poprzednio karteluszk. – Dobra, spadaj, młody! – Raptownie podniósł głowę i wydał polecenie posterunkowemu: – Wypytaj, kto i co widział, przejrzyjcie monitoring i raportuj, wszystko raportuj, rozumiesz?! Tylko żeby mi nikt nie przeszkadzał, jasne?! Nie ma mnie dla nikogo!

– Tak jest, panie komisarzu. – Młodziak trzasnął obcasami i ulotnił się w

mgnieniu oka.

Malinowski z powrotem usiadł za biurkiem i ukrył twarz w dłoniach. Przez kilka minut trwał w tej pozycji, próbując odzyskać zachwianą przed chwilą równowagę. Przed nim, tuż pod jego nosem, leżał kolejny element trudnej układanki, a on, komisarz Malinowski, oficer częstochowskiej policji, nie miał pojęcia, co też miałyby z nim zrobić. Odchylił się na krześle i splótł dłonie na karku. Nabrał w płuca spory haust powietrza, po czym wypuścił go przez usta, wydając przy tym z siebie zabawny, donośny świst. Przetarł dłońmi twarz, jakby chciał się ocucić, i wziął do ręki leżącą przed nim kartkę. Podobnie jak dwie poprzednie pokryta była równym, starannym, ręcznym pismem kogoś, kto znał się na kaligrafii. Tym razem jednak tekst był znacznie dłuższy i sprawiał wrażenie, jakby zawierał w sobie nie tylko ostrzeżenie czy groźbę, ale też jakiś rodzaj wyjścia z tej patowej sytuacji, którą przewidywał dla miasta mnich. Nie wiadomo było zresztą, kto właściwie jest obiektem tej makabrycznej przepowiedni. Morderca nie określił, czy zamierza ukarać konkretne osoby, czy też jego gniew spadnie na całą ludność Częstochowy. Doktorowi Wieczorkowi nie udało się wyczytać z poprzednich wiadomości, o który kult czy sektę chodzi, zatem wciąż nie można było określić puli „niewiernych”, którym groziła zagłada. Natomiast pewne było, że ofiar może być dużo więcej. I należało zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby ująć tego szaleńca, zanim dokona tego, co zapowiedział.

Malinowski wpatrywał się w zapisane na kartce słowa i czuł, że z każdą minutą jest coraz dalszy od zrozumienia ich treści. W końcu odłożył ją na powrót do foliowego woreczka i schował w szufladzie biurka. Palcem wskazującym i kciukiem potarł wewnętrzne kąciki zmęczonych czytaniem oczu, a kiedy pozbył się delikatnej mgły i odzyskał możliwość normalnego widzenia, sięgnął po słuchawkę telefonu, stojącego na rogu sekretarzyka. Oparł ją w zagłębieniu szyi, po czym wystukał z pamięci numer prokurator Bachledy.

– Pani prokurator? Mówi Malinowski. Myślę, że mam tu coś, co powinna pani zobaczyć. Tak, jak najszybciej. Czekam.

Janusz właśnie wyjmował z kredensu filiżanki, kiedy w jego niedużym mieszkaniu rozległ się dzwonek do drzwi. Za oknem szalała wichura, a w kawalerce panowała absolutna cisza zakłócana jedynie rytmicznymi uderzeniami deszczu o szybę i przeciągłym wyciem wiatru w kominie. Ostry dźwięk dzwonka zaskoczył go i wystraszył tak, że o mały włos nie wypuścił z rąk kruchej porcelany, którą przygotowywał na przybycie swojego gościa. Nerwowym ruchem przyglądał jasne włosy i ruszył w kierunku drzwi. Wprawdzie spodziewał się tej wizyty, jednak teraz, kiedy wiedział, że zaledwie sekundy dzieli go od wyczekiwanego spotkania, serce zabiło mu mocniej. Przekręcił zamek i szarpnął za klamkę. Przed nim stała Klara. Była przemoczona do suchej nitki, zziębnięta i drżąca na całym ciele. Jej orzechowe, kręcone włosy pozlepiane były w długie, potargane strąki, a to, co kiedyś zapewne było makijażem, spływało teraz szarymi smugami po obu stronach jej bladej twarzy. Jednak żadna z tych rzeczy nie rzuciła mu się w oczy tak, jak ten jeden szczegół, którego się nie spodziewał, a który zaskoczył go tak bardzo, że na chwilę stracił zdolność mówienia. Klara była w ciąży!

– Nie zaprosisz mnie do środka? – spytała go nieśmiało, a w jej dużych, zielonych oczach odbił się cień strachu.

– Tak, proszę, chodź, Klaro... Strasznie zmokłaś, siadaj, przyniosę ci ręcznik. – Janusz odsunął się, robiąc jej przejście, a kiedy weszła, odebrał od niej przemoczony płaszcz i wskazał kanapę. – Zrobię ci herbaty, co? Z syropem, żebyś się nie przeziębiła – zwrócił się do niej, podając czysty ręcznik. Wciąż nie wiedział, jak zacząć tę właściwą część rozmowy. Fakt, że Klara nosi pod sercem dziecko, tak dalece wytrącił go z równowagi, że nie odważył się wspomnieć o tym, pogratulować ani nawet spuścić wzroku na jej ogromny brzuch.

– Poproszę, dzięki – odparła Klara, a z tonu jej głosu z łatwością odczytał, że jest nie mniej od niego zdenerwowana. Przez chwilę siedziała w ciszy, skubiąc skórki wokół kciuka i obserwując, jak on krząta się przy herbacie. Kiedy postawił przed nią filiżankę, popatrzyła na niego z ufnością i odważyła się odezwać:

– Janusz...

– Klaro... – powiedział jednocześnie i oboje unieśli kąciki ust w rozluźniającym uśmiechu. – Ty pierwsza, jesteś moim gościem.

– Janusz... ja... mam ci tyle do powiedzenia, ale naprawdę nie wiem, jak mogłabym zacząć. To wszystko... ja... po tym, kiedy ostatni raz się widzieliśmy... – Mówienie przychodziło jej z trudem. – Ja nie chciałam, żebyś wiedział. Myślałam, że uda nam się zapomnieć, że zmienisz swoją decyzję. Rozumiesz? Ja nie chciałam stawać na twojej drodze, być przeszkodą. Myślałam, że zniknę, że... – głos jej się załamał i ukryła twarz w dłoniach. – Przepraszam... – załkała.

– Klaro... Nie musisz mnie przepraszać, kochanie. Przecież byliśmy tacy szczęśliwi. Ja nie rozumiałem, co się stało... nadal nie do końca rozumiem. Dlatego tak się ucieszyłem, kiedy zadzwoniłaś. Myślałem... byłem pewien, że to moja wina, Klaro... – Usiadł obok niej i objął jej drżące ciało ramieniem.

– Janusz... – Podniosła na niego swoje błyszczące, oliwkowe oczy. – Ja...

– Csiii... już dobrze... – Zbliżył się do niej, chcąc zamknąć jej usta pocałunkiem, kiedy w jej torbie zadźwięczał sygnał telefonu.

– Przepraszam – odsunęła się, ocierając oczy końcem rękawa – muszę odebrać. To może być coś ważnego. – Spojrzała na niego przepraszającym wzrokiem i odebrała połączenie: – Tak?

– Klara? – usłyszała w słuchawce. – To ja, słuchaj...

– Zuza?!

– Tak, Zuza, przecież mówię... Posłuchaj, mamy następny fragment, rozumiesz? Następną wiadomość od tego mordercy! Słyszysz mnie?

– Tak, jestem... – Klara nie mogła się skupić na rozmowie.

– Miałaś być dzisiaj u tego swojego eksperta, tak?

– Tak, tak...

– No, to ja ci to może przewidyuję, co? Może jak będziesz miała pełniejszy obraz...? Klara! Jesteś tam w ogóle?

– Jestem, jestem. Dobrze, poczekaj, znajdę coś do pisania.

Słyszając jej słowa, Janusz poszperał w szufladzie biurka i położył przed nią kartkę i długopis.

– No, już mam. Dawaj.

Przez dłuższą chwilę Klara notowała to, co dyktowała jej Zuza, a kiedy skończyła, pożegnała się krótko i odłożyła telefon z powrotem do torebki.

– Janusz – zwróciła się do zbitego z tropu gospodarza domu. – Wygląda na to, że musimy odłożyć nasze sprawy na później. Przyszłam tutaj również zawodowo, a ty jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

– Ja? – zdziwił się, biorąc do ręki zapisaną drobnym pismem kartkę, którą podawała mu Klara.

– Po prostu przeczytaj. – Wskazała mu tekst, a on odczytał całość na głos:

Dzień, w którym koniec nadziei

Prawdziwie bliskim się jawi

Ten, który idzie, zwycięży

Tego, co umarł, splugawi

Ci, którzy wierzą, powstaną,

A wy, niewierni, pomrzecie

To jedno, co pomóc wam może

To ledwo zrodzone dziecię

Inaczej, powiadam wam, grzeszni

Proroctwo się spełni do końca

Na ziemię wieczny mrok zstąpi

Pan mój pozbawi was słońca.

Kiedy skończył, popatrzył na Klarę dużymi, przestraszonymi oczyma, po czym przeczytał wiersz jeszcze raz, a potem kolejny.

– Boże... Klaro! Skąd to masz?! – spytał w równym stopniu zdumiony, co przerażony.

– No właśnie... – Pokiwała ze smutkiem głową. – Teraz rozumiesz,

dlaczego musimy wszystko inne odłożyć na później. Pozwól, że ci opowiem... od początku, dobrze? – Położyła rękę na jego dłoni i pogładziła delikatnie miękką skórę. – Obiecuję, że będzie jeszcze czas na to, czego nie udało nam się dokończyć – uśmiechnęła się do niego promiennie, a kiedy odwzajemnił jej uśmiech, zaczęła przybliżać mu sprawę, z którą przyszła.

Janusz chodził po pokoju w tę i z powrotem, ze skrzyżowanymi z przodu rękami. Brwi miał ściągnięte od natłoku myśli, twarz napiętą, a wzrok skupiony i nieobecny. W mieszkaniu panowała absolutna cisza. Tylko okrągły zegar ścienny niewzruszenie odmierzał głośnym tykaniem kolejne sekundy, dodatkowo zagęszczając atmosferę. Klara nienawidziła tykających zegarów. Zawsze gdy tylko choć chwilę skupiła się na rytmicznym cyk-cyk, cyk-cyk, bezwiednie zaczynała powtarzać w myślach: „Już niedługo, już niedługo...”. I tak w nieskończoność. Uporczywe odmierzanie upływających chwil wydawało jej się karą dla tych, którzy je marnują. A przecież każdy z nas marnuje w swoim życiu niezliczoną ilość czasu. Sekundy, minuty, godziny, dni i lata przelewają nam się przez palce, mimo że żyjemy w ciągłym biegu. Bo jeśli tylko odwrócić się na moment i spojrzeć na ten czas, który już przeżyliśmy, to zawsze ma się wrażenie, że było go za mało, że za szybko przeminął, że nie wykorzystaliśmy go pełni. Każde kolejne tyknięcie przybliżało Klarę do śmierci. Do dnia, w którym wszystko się skończy i nie będzie niczego. Do chwili, której od dziecka bała się najmocniej. Dlatego od niepamiętnych czasów unikała zegarów tarczowych. Wolała otaczać się niemymi, elektrycznymi urządzeniami, które zamiast z każdą sekundą bezlitośnie wydawać wyrok, migały tylko przyjaźnie i ledwo dostrzegalnie małymi punkcikami.

Klara dotychczas nie widziała Janusza w takim stanie. Owszem, znała jego skupione oblicze z czasów, kiedy spędzali z sobą każdą chwilę. Pamiętała dobrze jego natchnioną twarz, kiedy przygotowywał kazanie, albo pełen zadumy profil, kiedy pochylał się przed wizerunkiem Chrystusa w wieczornej modlitwie. Jednak emocje, które targaly nim w tej chwili, były dla niej zupełnie obce. Wydawał jej się wzburzony i rozjuszony, jakby wiadomość o fanatycznym mordercy w ich rodzinnym mieście rozjątrzyła w nim jakąś starą

ranę. Nie wiedziała, nad czym tak rozmyśla, ale siedziała na swoim miejscu w milczeniu, dając mu czas na potrzebny namysł. Mimowolnie zastanawiała się, czy ich prywatne sprawy poruszą go w równym stopniu co przyniesione przez nią treści listów zabójcy i zdjęcia z miejsc zbrodni. Nie wiedziała, czego zdążył się już domyślić ani jak może zareagować na kolejną dziś rewelację. Bała się, że nie starczy jej odwagi, żeby zupełnie wprost powiedzieć mu o tym, o czym miał się nie dowiedzieć nigdy. Obawiała się jego reakcji i coraz bliższa była podjęcia decyzji o tym, żeby zostawić ten temat nietknięty i opuścić mieszkanie Janusza na zawsze, kiedy tylko dowie się wszystkiego, co może pomóc Zuzie w sprawie.

Dopiła resztę herbaty i powiodła wzrokiem po mieszkaniu. Umeblowane było skromnie. W pokoju, w którym się znajdowali, była kanapa, biurko i maleńki stolik do kawy. W rogu, po lewej stronie, mieścił się mikroskopijny aneks kuchenny, obejmujący zaledwie kuchenkę gazową i zlew. Nad aneksem wisiały dwie szafki na naczynia, a całość odgradzono nieco wyższym niż blat barkiem. Wszystko to było w jednolitym, ciemnobrązowym kolorze, tworzącym wraz z ciepłym odcieniem żółto-brzoskwiniowych ścian przytulny klimat miejsca, w którym chciało się być w zimny i mokry dzień, taki jak dziś. W pamięci odtworzyła obraz tego miejsca w czasie letnich upałów, kiedy blask słoneczny wpadał przez uchylone okno i wypełniał pokój ciepłymi żółcieniami. Masywna kamienica utrzymywała wewnątrz przyjemny chłód, ale wystarczyło wystawić z łóżka stopę wprost na jasną plamę słonecznych promieni, żeby rozkoszne ciepło rozlało się po całym ciele. Tak, było to bardzo przyjemne wnętrze, z którym wiązały się wyłącznie przyjemne skojarzenia. Mimo że nie była tu ponad pół roku, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętała. Meble stały na swoim dawnym miejscu, a na obiciu kanapy widoczny był wyraźny ślad po wylanej kiedyś niechcący lampce czerwonego wina. Jediną różnicę stanowił, zakłócający spokój i równowagę tego miejsca, pakiet negatywnych emocji, który zaserwowała gospodarzowi, oraz stos fotografii z miejsc przestępstw piętrzący się na biurku.

Już miała pozbierać swoje rzeczy i przeprosić za zawracanie głowy, kiedy Janusz niespodziewanie przystanął i wolno obrócił się w jej kierunku. Twarz miał bladą i zmęczoną, a oczy smutne i przepełnione bólem. Splótł dłonie na brzuchu i raz po raz naciskał opuszkami palców na kosteczki tak silnie, że uciśnięte miejsca na moment pozostawały białe. Oddech miał przyspieszony, a podbródek drżący, jakby powstrzymywał wybuch gniewu lub płaczu.

– Klaro... kochanie... ja...

– Janusz, daj spokój, zapomnijmy w ogóle o tym, że ci to pokazałam – przerwała mu Klara, widząc stan, w jakim się znajdował. – Zostawię cię teraz, dobrze? I tak muszę już lecieć. Niepotrzebnie przyszłam do ciebie z tą sprawą. Powinnam była przewidzieć... Nie chciałam cię zdenerwować, przepraszam – to mówiąc, odwróciła się od niego, żeby pozbierać z biurka rzeczy, które z sobą przyniosła.

– Nie, Klaro! – Przytrzymał jej dłonie i przysunął się tak blisko, że mogła wyraźnie poczuć zapach jego skóry. – Zostaw, usiądź – dodał już łagodniej i skinieniem głowy wskazał jej miejsce na kanapie. Sam przysunął sobie krzesło stojące przy biurku i usiadł, nie wypuszczając z uścisku jej dłoni. Pochylił się w jej stronę, tak że łokciami opierał się teraz o swoje kolana, a twarz miał na wysokości jej twarzy. Odetchnął głęboko, przymykając oczy. Klara знаła to westchnięcie. Zawsze robił tak, kiedy miał wygłosić kazanie, przekazać komuś coś ważnego lub złożyć obietnicę. Zbierał w ten sposób myśli, oczyszczał umysł ze wszystkiego, co uważał za zbędne i nabierał energii, żeby nadać swoim słowom należytą wagę. W sytuacji, w jakiej oboje się znajdowali, nie liczyła raczej na wyznania z jego strony, wobec czego spodziewała się, że poprosi ją o trzymanie się od tego z daleka. Powie, że to sprawa policji, że nie powinna się mieszać. Pewnie martwi się o nią. Możliwe, że spyta o dziecko...

„Cholera, trzeba było siedzieć w domu...”, pomyślała, układając sobie w głowie kilka możliwych odpowiedzi na pytania, które spodziewała się zaraz usłyszeć.

– Klaro – Janusz ponownie zwrócił się do niej, a w jego głosie słychać

było gorycz i troskę – miałem nadzieję, że ta rozmowa nigdy nie będzie musiała się odbyć.

Klara milczała, wpatrując się w jego pełne obawy oczy.

– Ja... trudno mi o tym mówić, ale sądzę, że powinnaś wiedzieć. – Nadal zamykał jej dłonie w swoich, jednak nie spoglądał już na nią tak jak wcześniej. Spuścił nieco wzrok w okolice jej obojczyka, ale była pewna, że wcale na nią nie patrzy. Myślami był daleko stąd. Być może coś sobie przypominał albo przywoływał w wyobraźni jakieś obrazy, ale na pewno jego oczy widziały teraz coś zupełnie innego niż brzeg jej kołnierzyka.

– Pamiętasz – zaczął znowu po chwili – kiedy byłem księdzem, tuż po święceniach, Bóg i Kościół to było dla mnie wszystko na świecie. Nic innego nie potrzebowałem, tylko tyle i aż tyle wystarczało mi do szczęścia. Codziennie budziłem się z pieśnią na ustach i zasypiałem, dziękując Bogu za to, że w swojej łasce dał mi przeżyć kolejny, wspaniały dzień. Pamiętasz?

– Tak, wtedy się poznaliśmy.

– Tak... Byłem młody, pełen zapału... pełen energii, żeby służyć Bogu i ludziom. I kiedy Bóg postawił cię na mojej drodze, myślałem, że to jest dla mnie próba. Że moim zadaniem jest zawrócić cię na właściwą drogę, ponownie włączyć do wspólnoty Kościoła, jak zbłąkaną owieczkę, którą dobry pasterz powinien odszukać i z powrotem przyprowadzić do stada. – Przerwał na chwilę i spojrzał jej głęboko w oczy. – Utonąłem w tobie, Klaro... Kochałem cię od pierwszego wejrzenia. Byłaś spełnieniem moich snów! Żadna inna kobieta nigdy wcześniej ani później nie wywarła na mnie tak piorunującego wrażenia. Byłaś piękna, dobra, wrażliwa, mądra, miałaś w sobie tyle ciekawości świata, tyle zrozumienia dla ludzi... byłaś dla mnie kanwą, na której Bóg powinien tworzyć swoje dzieci. Idealna w każdym calu... nieskazitelna... – Zawiesił na chwilę głos i końcówkami palców dotknął jej policzka, a ona w milczeniu przytuliła twarz do jego dłoni i przymknęła oczy. – I dalej jesteś taka... – dodał niemal szeptem. – Ale wtedy – zmienił ton na bardziej rzeczowy i wrócił do przerwanej wątku – wtedy całą tę miłość przekułem na umacnianie wiary. Na służbę Bogu i wierność

Kościółowi. Rozmawialiśmy... całymi godzinami, całymi dniami. Z rękoma w kieszeniach, z sobą, ale obok siebie. O życiu, o szczęściu, o Bogu, o miłości... to była dla mnie tortura, Klaro. Każdego dnia wmawiałem sobie, że dam radę oprzeć się pokusie jeszcze jeden dzień. Ale jednocześnie z każdym twoim słowem, z każdym uśmiechem coraz silniej docierało do mnie, że my dwoje powinniśmy być razem. Byłem zagubiony i rozdarty. Kochałem ciebie, ale kochałem też Pana. Ślubowałem wierność Chrystusowi i Kościołowi katolickiemu. Nie wiedziałem, co robić. Nie byłem zdolny do sprzeniewierzenia się tym wartościom, które przez tyle lat były mi wpajane. Modlitwa nie przynosiła odpowiedzi, na które czekałem. Potrzebowałem rady... rady kogoś mądrzejszego ode mnie, kto będzie mógł mnie zrozumieć, kto mnie poprowadzi. Ale przede wszystkim musiałem cię od siebie odsunąć, odzyskać spokój i wolną głowę. To wtedy powiedziałem ci, żebyś więcej nie przychodziła, że zadzwonię, kiedy będę gotów.

Klara powstrzymała łzy wzruszenia i tylko uściskiem dłoni dała Januszowi znać, że doskonale pamięta to, o czym mówi. Tamten czas dla niej również nie był łatwy. Młoda studentka, całe życie skrywająca się w cieniu piękniejszej przyjaciółki, wychowywana w tradycyjnym i konserwatywnym domu, w którym tuż po maturze zaczęto wytykać jej staropanieństwo, nagle spotkała jego. Wysokiego i przystojnego mężczyznę, który jako pierwszy w ogóle zwrócił na nią uwagę. Widział w niej kogoś więcej niż rówieśnicy na studiach. Słuchał jej, chciał z nią rozmawiać. Chciał z nią po prostu być.

Trafili na siebie przypadkiem. Zaciągnięta niemal siłą przez jedną z koleżanek na rekolekcje do Duszpasterstwa Akademickiego, w trakcie dyskusji nieprzychylnie wyraziła się na temat dostojników kościelnych. Na głos, wszem i wobec powiedziała, że jej zdaniem Kościół powinien mniej brać, a więcej dawać, bo w obliczu biedy swoich wyznawców grzechem jest pławienie się w bogactwach i ciągle wyciąganie ręki do wiernych. Zebrani studenci wpadli oczywiście w święte oburzenie i jeszcze chwila, a doszłoby do linczu. Na szczęście Janusz, który był duszpasterzem tej grupy, uchronił ją przed samosądem. Tego dnia po raz pierwszy odprowadził ją do domu. Długo

rozmawiali, a on najpierw wysłuchał, co ma do powiedzenia, a potem wyczerpująco odpowiadał na jej pytania i zręcznie odbijał piłeczkę, kiedy go atakowała. Imponował jej. Był inteligentny i błyskotliwy, ze świeżym spojrzeniem na wiele spraw. W niczym nie przypominał jej księży, których znała. Prawdziwie wierzył w to, co mówi. Miał dar zarażania swoimi przekonaniem. Z jego słów biła mądrość i dobroć, o które tak trudno było w kazaniach częstochowskich klechów. Od tamtej pory stali się nierozłączni, aż do dnia, w którym poprosił ją, by na jakiś czas zniknęła z jego życia. To był dla niej cios. Nigdy nie łudziła się, że mogliby stanowić parę. Wiedziała, kim jest, jaką drogę wybrał, i nie chciała być dla niego przeszkodą. Liczyła jedynie, że będą mogli kontynuować swoją przyjaźń. Myślała, że ma w końcu kogoś, przy kim czuje się bezpiecznie i komu może zaufać. Tymczasem jej szczęście prysło jak bańka mydlana. W jednej chwili przestała szybować w powietrzu i znalazła się z powrotem na twardej ziemi. Sama.

– Najpierw poszedłem do swojego proboszcza – mówił dalej Janusz. – Ksiądz Kazimierz nigdy nie należał do ludzi łatwych ani szczególnie wrażliwych na ludzkie bolączki, jednak takiej reakcji się po nim nie spodziewałem. Zrugął mnie, przeklinał, na czym świat stoi, zagroził mi wiecznym potępieniem i kazał mi natychmiast zejść mu z oczu. Sięgnąłem wyżej i wyżej, ale wszędzie zbywano mnie w podobny sposób. W końcu, po wielu tygodniach starań, wyprosiłem audiencję u biskupa. Ten przyjął mnie życzliwie i kazał dokładnie opowiedzieć, z czym do niego przychodzę. Kiedy skończyłem mówić, patrzył na mnie przez długą chwilę szeroko otwartymi oczyma, po czym dostał ataku śmiechu! Byłem zaskoczony! Mało, byłem zszokowany jego zachowaniem! Nie wiedziałem, czy kpi ze mnie, czy z powagi mojego problemu i dlaczego właściwie zachowuje się w ten sposób. Chciałem bez słowa opuścić jego gabinet i już kierowałem się do drzwi, kiedy nagle zamilkł, a potem zwrócił się do mnie i kazał mi usiąść. Posłusznie usłuchałem i czekałem ciekaw, co też będzie dalej. Jaką naukę ma dla mnie, jakiej rady udzieli rozdartemu namiętnością młodzikowi. „Synu... – zaczął, jakby wygłaszał kazanie. – Twoimi zmysłami rządzi teraz kobieta. Zawładnęła

każdą twoją myślą, każdym działaniem. Czy tak?" Przytaknąłem skinieniem głowy i czekałem na to, co ma mi do powiedzenia. „To twoja towarzyszka, przyjaciółka, kusicielka, która bezwiednie nawet rozpala twoje trzewia. A ty chcesz zachować czystość, bo tego cię nauczono, bo tak ślubowałeś... i dobrze! Cenimy w swoich szeregach ludzi wiernych ideom, bo to czyni ich zarazem wiernymi sługami naszego jedyne Pana. Ale doprawdy trudno mi uwierzyć, że młody, zdrowy chłopak, jak ty, miałby nigdy w życiu nie zaznać rozkoszy płynącej z obcowania z kobietą. Zapewniam cię, że takie zbłąkane owieczki jak ta, z którą masz do czynienia, mogą pokazać ci rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło! Pamiętaj, że kobieta została przez Boga stworzona, aby umilać życie mężczyźnie, aby być mu towarzyszką... a że jesteś księdzem... cóż... związek dwojga ludzi jest zawsze miły Najwyższemu, moje dziecko". Jego słowa uderzyły mnie tak mocno, że przez chwilę wybałuszałem tylko na niego oczy, oniemiały z wrażenia. W końcu jednak odzyskałem mowę i wyartykułowałem niezdarnie: „Jak to? Co Jego Ekscelencja mówi?". A on tylko zaśmiał się szyderczo i wypalił nagle: „A tak to! Powagą swojego majestatu nakazuję ci: idź i wydupcz ją tak, żeby zapomniała, jak się nazywa! Poużywaj z nią, jeśli taka twoja wola! Rźnij, ile wlezie! Na Boga, możesz z nią nawet zamieszkać, napłodzić jej bękartów lub, jeśli wolisz, oddać do burdelu! Tę i tyle innych, ile tylko dusza zapragnie! Ja na pewno nie będę twoim sędzią ani katem! Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Zachichotał nerwowo, po czym dodał: – Nie waż się tylko mówić komukolwiek, że taka rada wyszła z moich ust! Jeśli mnie zdradzisz, nie będziesz miał życia ani na tym, ani na tamtym świecie, rozumiemy się? – Spojrzał na mnie tak, że zaparło mi dech, i wiedziałem, że mówi całkowicie poważnie. – A! I najważniejsze, dyskrecja! Nie ufaj nikomu i nie daj się przyłapać. Pamiętaj, że jesteś sługą Kościoła i nie wolno ci jawnie obcować z kobietami. Musisz być wzorem dla swoich parafian. – Uśmiechnął się z satysfakcją i poklepał mnie po plecach. – No, idź już, mój chłopcze. Idź i czynź wedle mojej rady i swojego sumienia, tylko pamiętaj – przyłożył palec do ust – milczenie jest złotem". Wyszedłem stamtąd tak szybko, że po drodze

kilkakrotnie potykałem się o własną sutannę – mówił dalej Janusz. – Na ulicy niemal wpadłem pod samochód. Nie myślałem trzeźwo. Miałem nadzieję, że to wszystko tylko mi się śni! Byłem zdruzgotany! Cały mój świat legł w gruzach! Człowiek, którego miałem za duchowego przewodnika, za najuczciwszego z uczciwych, który stał na czele Kościoła, którego pierścień z namaszczaniem całowałem, uważając go za bezpośredniego następcę apostołów Chrystusa, wprost nakazał mi złamać zasady, jakimi żyłem! Powiedział, abym sprzeniewierzył się Bogu i Kościołowi, żebym nie oglądał się na nakaz celibatu! Co więcej, zasugerował, że nie będę w takim działaniu odosobniony! Nie wiedziałem już, w co wierzyć ani komu ufać! Godzinami błąkałem się po ulicach, nie mogąc otrząsnąć się ze wzburzenia. Stopniowo mój gniew topniał, a w jego miejscu pojawiła się pustka i bezbrzeżny smutek. W końcu usiadłem na jakiejś ławce w parku jasnogórskim i przesiedziałem tam aż do nocy. Nie myślałem o niczym. Pozwoliłem sobie na całkowicie bezmyślne gapienie się w przestrzeń przede mną, na jakiś reset mózgu. Musiałem być wtedy na skraju snu i jawy, bo nie zauważyłem nawet, kiedy zrobiło się zupełnie ciemno. Dopiero wieczorny chłód wyrwał mnie z letargu. Odrętwiały podniosłem się i ruszyłem przed siebie, nie zastanawiając się dokąd. O świcie stanąłem przed drzwiami swojego mieszkania. Mocna kawa przywróciła mi zdolność jasnego myślenia. Z premedytacją opuściłem poranne nabożeństwo i cały boży dzień spędziłem przed monitorem komputera. Szukałem odpowiedzi, chociaż nie do końca potrafiłem sprecyzować pytania. Mailowałem do różnych duchownych i świeckich osób, przeglądałem strony internetowe, fora dla zakonników i księży, ale też takie, które traktowały o apostazji. Wszędzie szukałem jednego: potwierdzenia, że biskup się mylił, że jest odosobniony w swoich sądach. Dowodów na to, że tylko on jeden jest zdeprawowany i zły do szpiku kości. Jednak, ku mojemu zdumieniu, w sieci po równo było dowodów na prawość i na niegodziwość duchownych, na ich wspaniałomyślność i cnotliwość oraz na to, że grzeszyli na potęgę i dopuszczali się strasznych czynów. Wtedy właśnie odnalazłem człowieka, który wyjawiał mi prawdę – zawiesił głos i ukrył twarz w dłoniach.

– Janusz, jeśli nie chcesz, to... – Klara dotknęła łagodnie jego ramienia. Wiedziała, że nie jest mu lekko. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Był roztrzęsiony i dziwnie odmieniony, jakby sprawa, o której mówił, odbierała mu sens życia.

– Nie! – przerwał jej gwałtownie. – Powinnaś wiedzieć, musisz wiedzieć! Daj mi tylko chwilę, żebym mógł się z tym zmierzyć.

Klara posłusznie umilkła i pełna niepokoju oczekiwała na dalszą część historii.

– Właściwie to on mnie odnalazł – podjął Janusz po chwili. – To był starszy mężczyzna, były duchowny. Odszedł od Kościoła, będąc niewiele starszy niż ja w tej chwili. I zrzucił sutannę z tych samych co ja pobudek. – Janusz wstał i zaczął chodzić po pokoju, wpatrując się w przestrzeń, ale nie przerywając opowieści. – Natknął się na moje pytania w kilku miejscach w sieci i dodał dwa do dwóch. Od razu napisał do mnie, proponując spotkanie. Zgodziłem się natychmiast i jeszcze tego samego popołudnia pojechałem do niego, do jakiegoś małego miasteczka pod Krakowem. Wyglądał na pogodnego starszego pana, z gatunku tych, którzy wychodzą w południe, żeby karmić gołębie w parku. Tylko te jego oczy... Klaro, gdybyś je zobaczyła... Miał oczy człowieka, który żyje z jakimś ogromnym brzemieniem, którego przygniata jakiś potężny ciężar, coś, co wysysa z niego życie. Pomyślałem wtedy, że nawet jeśli nie powie mi prawdy, to na pewno głęboko wierzy, że to, o czym będzie mówił, jest prawdą. Zaprosił mnie do mieszkania i poczęstował herbatą. Przedstawił się tylko imieniem: Tobiasz. Poprosił, żebym raz jeszcze powtórzył mu historię, którą pobieżnie opisałem mu w mailu. A potem westchnął ciężko, spojrział na mnie tak, że lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach, i zapytał, czy jestem pewien, że chcę poznać prawdę, bo ta prawda wszystko we mnie odmieni. I ja przytaknąłem, Klaro. Chciałem wiedzieć, a i tak przecież byłem już odmieniony! Zaparzył nową herbatę i zaczął mówić. Z początku nie docierały do mnie jego słowa, później gniewały, a w końcu po prostu je zaakceptowałem. Wiedziałem, że mówi prawdę, to wszystko układało się w całość. Pokazywał mi dowody, zdjęcia, dokumenty.

Siedzieliśmy przy herbacie do świtu i na zmianę gorzko płakaliśmy nad sobą i nad światem. On miał rację – westchnął Janusz – ta noc złamała mi życie, ale wolałem, i wolę nadal, cierpką prawdę niż najśłodsze kłamstwa.

– Nie było dla mnie zaskoczeniem – mówił dalej Janusz – kiedy Tobiasz powiedział mi, że Kościół rzymski uprawia białą magię. Wprawdzie nigdy wcześniej nie mówiono mi o tym zupełnie wprost, ale jeszcze w seminarium zauważyłem w naszych naukach pewne analogie do magicznych praktyk. Nie wydawało mi się to zresztą niczym złym, ponieważ naturą białej magii jest stosowanie praktyk okultystycznych, ale wyłącznie dla dobra i korzyści ludzkości. Wiadome mi było również, jak pewnie każdemu katolickiemu dziecku, że od zarania dziejów Bóg i Szatan walczą ze sobą o dusze, serca i umysły ludzkie. Wiedziałem też oczywiście, że całe zastępy demonów przez tysiąclecia próbowały przejmować kontrolę nad różnymi władcami ziemskimi oraz nad Kościołem katolickim. Jednak mimo to głęboko wierzyłem, że miłosierny Pan z uporem zwycięża wszelkie zło i czuwa nad swoimi dziećmi. Tym bardziej więc to, co usłyszałem wtedy od Tobiasza, wydało mi się z początku poważną nadinterpretacją.

„Janusz, na miłość boską! Jeśli chcesz tu ze mną doczekać porodu, to jesteś naprawdę na najlepszej drodze” – pomyślała poirytowana Klara, jednak nie dała poznać po sobie zniecierpliwienia i tylko zacisnęła usta, czekając, aż Janusz przejdzie do sedna, które z każdym jego słowem wydawało jej się coraz bardziej odległe.

– Mówił o tym – ciągnął Janusz – że Szatan już długie stulecia niepostrzeżenie przeciągał Kościół rzymski na stronę czarnej, demonicznej magii, przygotowując w ten sposób grunt dla Antychrysta, który wkrótce nadejdzie i obejmie władanie na ziemi!

– Co?! – wyrwało się Klarze, ale natychmiast przykryła usta dłonią.

– Tak, dla mnie to też było niepojęte, jednak nauczono mnie, że nie należy lekceważyć dowodów na istnienie Zła równie silnego, jak boża miłość i dobro.

Poza tym Tobiasz przedstawił mi dowody na poparcie swojej tezy. – Janusz westchnął głęboko i zwrócił się do Klary:– Jesteś gotowa, kochanie? Na pewno chcesz poznać prawdę, która na zawsze odmieni ciebie i twoje życie? Wszystko, w co wierzysz? Wszystko, czego cię nauczono?

– Rany Julek, Janusz – nie wytrzymała w końcu Klara – wyduś to z siebie! Jasne, że chcę wiedzieć! Przecież po to tu przyszłam, czyż nie?

– Dobrze – odpowiedział Janusz po krótkiej pauzie. – Usiądź wygodnie, naleję ci wody. I przerwij mi, jeśli będziesz miała dość...

– Obiecuję – wyszeptwała, widząc autentyczną troskę w jego oczach. – Mów.

– Przede wszystkim msza święta. – Janusz z powrotem usiadł przy biurku i pociągnął spory łyk wody. – Zresztą inne ceremonie ustanowione przez Kościół również. Wszystkie one nieustannie skazują Jezusa Chrystusa na śmierć i upodlenie. Według katechizmu msza święta powtarza ofiarę na krzyżu, zatem Chrystus codziennie, w kościołach całego świata, raz po raz jest przybijany do krzyża i umiera! A wszystko to zorganizowane jest tak, aby rzesze wiernych żyły w przeświadczeniu, że oto wielbią swojego zbawcę i oddają mu cześć.

Klara patrzyła na niego okrągłymi oczami i nie wiedziała jeszcze, czy zwariował, czy też w tym, co mówi, tkwi jakiś głębszy sens.

– Dalej krzyż. Krucyfiks jest niczym innym, jak tylko stałym wizerunkiem naszego Pana umordowanego i przybitego do krzyża. To ten symbol mamy przed oczyma, kiedy myślimy o Chrystusie! Widzimy go zakrwawionego, nagiego i przegranego! I nic w tym dziwnego, bo taki obraz jedyne Boga zewsząd nas otacza! Mamy go w domach, biurach, szkołach, kościołach, samochodach i na szyjach, wszędzie! – niemal wykrzyknął. – Czy to nie wydaje ci się doskonałym zwieńczeniem szatańskiego planu?! Umieścić Zbawiciela na krzyżu, zamiast po prawicy jego ojca?! W ten właśnie sposób Szatan zagradza miliardom katolików możliwość osiągnięcia wiecznego zbawienia, bowiem napisano w Piśmie, że ci, którzy wystawią Syna Bożego

na pośmiewisko, nie zaznają Królestwa Wiecznego! Ale na tym nie koniec. Szatan, przez tysiąclecia wkradając się do kolejnych umysłów papieskich, zmusił ich, aby zmieniali i modyfikowali Słowo Boże zawarte w Biblii. Przez te praktyki nie tylko popełnili oni jeden z najcięższych grzechów, stawiając siebie samych na równi z Bogiem, który w swojej łasce przekazał ludziom słowa Pisma, ale również cały Kościół katolicki rozpoczął szerzenie herezji i pogańskich praktyk, stopniowo wprowadzanych do tradycji i obrzędów Kościoła.

– Pogańskich? – zdziwiła się Klara. – Jesteś pewien?

Janusz spojrzał wprost na nią. W jego oczach widziała bezbrzeżny smutek i żal. Wiedziała, że czuje się winny, mówiąc jej to wszystko, zatem miała pewność, że sam głęboko w to wierzy. Zadawała sobie tylko pytanie, czy ma słuszność.

– Tak, Klaro. Jestem absolutnie pewien – powiedział, jakby czytał jej w myślach. Wszystko to, o czym teraz mówię, ma swoje poparcie w wiedzy okultystycznej. Są na to dowody. Zrozum, kochanie, to też jest dla mnie trudne, ale kiedy tylko przyjrzesz się temu z bliska, zastanowisz przez chwilę, wszystko stanie się dla ciebie jasne. Pomyśl tylko – wstał i ponownie rozpoczął swoją wędrówkę po pokoju – od 788 roku w Kościele katolickim zaczęto czcić obrazy i posągi, mimo że Pismo wyraźnie tego zabrania. Stopniowo zaczęto garściami czerpać z pogańskich tradycji, rzekomo chrystianizując pogańskie symbole. Różaniec, szkaplerze, posty i odpusty – to wszystko jest spuścizną po innowierczych religiach! Święta Wielkanocne, czas, który ma uchodzić za najbardziej uduchowione dni w roku, ogłoszono w tym samym czasie, kiedy niechrześcijańskie ludy Wschodu obchodziły własne święto słońca. Do pogańskich symboli dopisano nowe znaczenia i utrwalono je w tradycji tak głęboko, że dziś już nie sposób wyobrazić sobie bez nich Wielkanocy. Tym samym niepostrzeżenie przymuszono całe pokolenia wiernych do czczenia innowierczych bożków i obchodzenia pogańskich świąt. Jeśli mi nie wierzysz, proszę – wyciągnął do niej rękę, w której trzymał Biblię – spróbuj znaleźć w niej chociaż jedną wzmiankę o tym, że należy obchodzić

święto Zmartwychwstania. Nie znajdziesz, gwarantuję ci.

Klara milczała, więc położył jej księgę na kolanach i mówił dalej.

– To samo jest z Bożym Narodzeniem, Dożynkami, Zaduszkami. To wszystko spuścizna pogan, zgrabnie wpisana w tak zwaną tradycję Kościoła, czyli coś, co de facto nie powinno istnieć, ponieważ człowiek nie ma władzy, aby ustanawiać własne święta ponad te, które dał nam Bóg. Mało tego, fałszywy Kościół pod władzą Szatana wprowadził między inne dogmaty ten dotyczący czyśćca. W ten sposób uwierzyliśmy, że ludzkie grzechy nie zostały w całości odkupione na krzyżu przez naszego Pana, a więc jego ofiara stała się niepotrzebna i idiotyczna! Przestaliśmy czytać Biblię, która jest nieomylna i przygotowana dla nas przez samego Boga, abyśmy kroczyli jej ścieżką! Zgodziliśmy się czcić Maryję i świętych na równi niemal z Trójcą Świętą, otwarcie stając przeciwko Dekalogowi. Żyjemy według przykazań kościelnych w całości wymyślonych i zatwierdzonych przez papieństwo, a nie przez Boga. Przyjęliśmy spowiedź, celibat księży i umartwianie się, z każdym krokiem coraz dalej odchodząc od nauk tradycyjnego Kościoła, który założył dla nas Chrystus. A kiedy w 1517 roku Marcin Luter odważył się wystąpić przeciwko katolikom, zwracając uwagę na błędy w ich naukach i próbując nawrócić ich na właściwą ścieżkę życia w wierze, papież skierował krucjatę przeciwko niemu i jego wyznawcom. Ten okres terroru trwał niemal trzysta lat! Trzy wieki, podczas których próbowano zatuszować jedyną, biblijną prawdę o tym, że droga do rajów prowadzi tylko przez wiarę, a nie przez narzucane przez Kościół uczynki, modlitwy i obrzędy. W efekcie wymordowano ponad osiem milionów protestantów, zanim w Europie przywrócona została katolicka większość, potrzebna do posiadania całkowitej władzy. Osem milionów! Czy nie jest to wystarczającym dowodem na to, że Kościół rzymski nie cofnie się przed niczym, aby tylko zrealizować doskonały plan Szatana? – Zawiesił głos i zbliżył się do kanapy, na której siedziała przerażona Klara. Przykucnął u jej stóp i oparł splecione dłonie na jej kolanach. Zajrzał jej w oczy, w których wyraźnie przygasł zwykły, zielonkawy błysk, i kontynuował: – I jeszcze jedno. W szóstym wieku

czarownicy praktykujący czarną magię stworzyli czarną mszę, starając się zawładnąć okultystyczną mocą mszy katolickiej. Posługiwali się łacińską wersją mszy świętej i symbolami uznanymi już przez Kościół za chrześcijańskie. W rezultacie utworzyli oni własny krucyfiks, wyginając do przodu wszystkie ramiona krzyża. Umieścili na nim komicznie wyglądającą karykaturę Jezusa i nazwali ten symbol „skręconym krzyżem”, znakiem mającego przyjść Antychrysta. Wiesz, o czym mówię?

Klara pokręciła przecząco głową.

– Jestem pewien, że widziałaś go wielokrotnie. Jest on dla nas jednoznacznym potwierdzeniem tego, że szatańskie dziecię niebawem zawładnie Ziemią. Kościół używa go od 1963 roku, kiedy to papież Paweł VI objął tron Piotrowy. Natychmiast, zapewne za namową samego Szatana, rozpoczął używanie wygiętego krzyża satanistów jako pastorału, swojej papieskiej laski. Tego samego znaku używają jego następcy aż do dzisiaj. Sama zobacz. – Podszedł do biurka i wyjął z niego fotografię papieża dzierżącego w dłoniach ferulę, krzyż, o którym mówił.

Klara wzdrygnęła się zaskoczona, chociaż znała przecież wcześniej ten symbol. Gdy przyglądała mu się teraz, uderzyła ją zniekształcona figura Chrystusa i zdeformowane ramiona krzyża. Nie mogła uwierzyć, że nigdy wcześniej jej to nie zastanowiło, przecież profanacja była tu przeraźliwie oczywista. Z trudem oderwała wzrok od zdjęcia i z jeszcze większym niż dotąd przerażeniem wsłuchiwała się w słowa Janusza.

– W ten sposób niczego nieświadomi katolicy codziennie kłaniają się przed symbolem Antychrysta, przyzywając go modlitwami i przybliżając tym samym dzień jego nadejścia, a on, wierz mi, nie da na siebie długo czekać – dokończył Janusz i spojrzał jej głęboko w oczy. Szukał śladu zrozumienia lub zaszokowania. Zdawał sobie sprawę z tego, że to wszystko będzie dla niej ciosem. Obawiał się jednak, że mimo jej liberalnego podejścia, tradycja, w której została wychowana, nie pozwoli jej uwierzyć w słowa dawnego kochanka. Bał się, że teraz wyjdzie i nie zobaczy jej już nigdy więcej. Widząc jej minę niezdradzającą emocji, zastanawiał się, czy dobrze zrobił, wyjawiając

jej całą przerażającą prawdę. Rozumiał, że dla ciężarnej kobiety nadmiar wrażeń nie jest szczególnie wskazany, ale wiedział też dobrze, jak silny jest jej upór w dociekaniu prawdy, którą od zawsze ceniła ponad wszelkie inne wartości. W głębi duszy cieszył się również z tego, że nie będzie musiał już więcej dusić się z tą wiedzą sam. – Teraz wiesz już wszystko – zwrócił się do Klary, spodziewając się jakiejś reakcji. Ona jednak siedziała dalej w milczeniu, najwyraźniej nie mogąc otrząsnąć się z szoku po tym, co usłyszała.

– Dla mnie to również był wstrząs – powiedział Janusz, chcąc pomóc Klarze oswoić się z tą sytuacją. – Pewnie nie mniejszy niż teraz dla ciebie. Pomyśl, co musiałem czuć, wiedząc, że sam byłem częścią tego diabelskiego planu. Udzielałem spowiedzi, odpuszczałem grzechy, głosiłem Słowo Boże, które zmieniono na potrzeby Antychrysta! – Głos mu się załamał od nadmiaru emocji wywołanych tym wspomnieniem, a w oczach zalśniły łzy żalu. – A najgorsze, że nic nie mogłem zrobić... Podjąłem tylko decyzję, że odejdę z tej zakłamanej organizacji tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Tobiasz ostrzegł mnie, że to nie będzie proste. Powiedział, że nie wolno mi zdradzić znajomości z nim ani wyjawić przed nikim treści tamtej rozmowy. Kościół ma wszędzie swoich ludzi i nie zawaha się poświęcić mojego życia dla dobra swojej sprawy. Doradził mi, żebym zważył winę za moje odejście od wiary na ciebie, Klaro. Powiedział, że to jedyny sposób, aby uwierzyli, że nie wiem o rzeczach, o których nie wolno mi wiedzieć, a moje nagłe odejście spowodowane jest zwykłą ludzką słabością. Zaufałem mu i zrobiłem tak, jak mi poradził. Zrzuciłem sutannę, deklarując grzeszną miłość do kobiety, i w ten sposób uwolniłem się ze szponów Szatana. – Zawiesił głos, po czym dodał: – Dalszą część historii znasz... – Uśmiechnął się lekko i cierpliwie czekał, aż Klara przetrawi jego słowa. – Tobie pierwszej o tym mówię. Pierwszej i prawdopodobnie ostatniej.

Tępe, nieobecne spojrzenie Klary ukrywało rzeczywiste uczucia, które targały nią w tej chwili. Serce biło jej szybciej i niemal słyszała szum własnej krwi. Przez głowę przebiegało jej tysiące myśli. Analizowała słowa Janusza, zestawiała pozyskane informacje z tym, co wiedziała lub czego domyślała się

wcześniej. Nigdy nie była fanką Kościoła jako instytucji. Zawsze wydawała jej się ona nieco oderwana od słów Pisma, sprzeczna z własnymi naukami i zakłamana. Jednak nigdy dotąd nie zwęszyła w działaniach papieża niczego, co wykraczałoby poza zwykłą, ludzką chęć osiągnięcia władzy i zysku. Teraz jednak powoli otwierały jej się oczy. Wszystko, co powiedział jej Janusz, niewątpliwie miało sens, składało się w spójną całość. W świetle faktów, które jej przedstawił, Kościół jawił się jako potężna sekta, kierowana przez świątłych ludzi, prowadzonych i natchnionych przez samego Szatana. Ta potęga przerażała ją i paraliżowała. Jej społecznikowska natura popychała ją do tego, by stawić czoła temu niewyobrażalnemu złu i wyjawić ludzkości prawdę o największym kłamstwie wszechczasów. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby trzymała się od tego z daleka. Była o krok od podjęcia decyzji o jak najszybszym powrocie do domu i zapomnieniu o całej tej sprawie, kiedy nagle zakręciło jej się w głowie. W chwili gdy w zamroczeniu przymknęła powieki, przeszedł ją znajomy dreszcz. Uczucie, że zaraz stanie się coś ważnego. Jedno z tych przeczuć, które znała od dziecka.

– Pokaż się! – wyszeptała swoją dawną mantrę, ledwie poruszając wargami, tak cicho, że siedzący zaledwie metr od niej Janusz nie miał najmniejszej szansy, żeby to usłyszeć. Zacisnęła mocniej powieki i ujrzała przed oczami czerwony błysk, z którego raz po raz leniwie wynurzały się karykaturalne twarze ludzi. To byli jej znajomi, przyjaciele i rodzina. Wszyscy jakby skręceni w bólu, cierpiący, wykrzykujący niemymi ustami w jej kierunku prośby o udzielenie pomocy. Ona sama stała na wprost nich, nie mogąc się poruszyć. Patrzyła tylko, jak powoli obracają się w nicość, a wraz z nimi umiera wszystko, co sama znała i kochała.

– Nic ci nie jest, Klaro? Klara! – głos Janusza wyrwał ją z odrętwienia. Na pobladłą twarz wystąpiły jej kropelki potu. Odruchowo pogładziła się po brzuchu, jakby upewniając się, że dziecko skryte w jej łonie jest bezpieczne i nic mu nie zagraża.

– W porządku, dziękuję – odparła i podniosła do ust szklankę z resztką wody.

Janusz przytomnie dolał jej do pełna, a kiedy wypila, zwróciła się do niego:

– Myślisz, że Kościół może być zamieszany w morderstwa, o których ci mówiłam? Że z jakiegoś powodu chciał zlikwidować tych ludzi?

– Tak, jestem przekonany. Zresztą sama widzisz, że wszystko na to wskazuje.

– Ale dlaczego? To byli zwykli ludzie, nikt, kto mógłby zagrażać potędze kleru. Nauczyciel polskiego, licealistka, stażysta w prokuraturze i bogobojna wdowa – wyliczała Klara. – Co ich łączy? Dlaczego właśnie oni? I kto wobec tego będzie następny?

– Wiadomości, Klara – odpowiedział Janusz. – To one są kluczem. Nie bez powodu morderca zostawiał je w widocznych miejscach, podsuwał policji i prokuraturze jak kolejne elementy układanki. Moim zdaniem oni celowo naprowadzają śledztwo na właściwy tor. Z jakiegoś powodu zależy im na tym, żeby ludzie wiedzieli, z czym mają do czynienia. Nie wiem, czy chodzi o wzbudzenie strachu, paniki czy o coś zupełnie innego, ale te wiersze na pewno nie są przypadkiem. – Janusz podszedł do biurka i wyłuskał ze stosu dokumentów te kartki, na których zapisane były wiadomości od mordercy. – Nieprawy, Rozwiązła, Niegodzien, Nieszczerłość – wyliczał, wskazując kolejno odpowiednie słowa w tekście – tak nazywa tych ludzi. W Księdze Przysłów znaleźliście groźbę zagłady, która spotkała ich nagle i nieodwracalnie. Wszystko się zgadza.

– A co z „dniem zagłady”? – dopytywała się Klara. – Wiesz, jak to interpretować? – Nachyliła się w stronę Janusza i przeczytała mu przez ramię:

Dzień , w którym koniec nadejdzie

Prawdziwie bliskim się jawi

Ten, który idzie, zwycięży

Tego, co umarł, splugawi

– Myślisz, że to zapowiedź końca? – spytała go, drżącym z przejęcia

głosem.

– Tak, kochanie, tak właśnie myślę. Przykro mi. – Janusz z przerażeniem podniósł na nią wzrok i pogładził delikatnie jej ramię. – Spójrz – wskazał palcem fragment na poprzedniej stronie.

*Na chwałę Najpotężniejszego!
Odejdźcie, ofiara spełniona
Znalazłszy się w winie Wiecznego
Skrwawionych tłum owiec tu skona*

Odczytał wskazany fragment i mówił dalej: – Wydaje mi się, że to może mieć związek z pewnym mitem, legendą, sam już nie wiem, jak właściwie powinienem to nazwać. Zresztą nieważne, w każdym razie istnieje hipoteza, że w rękach szatańskich posłańców pozostał fragment szaty Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Tej samej szaty, którą zdarto z niego w dniu męki.

Klara słuchała w skupieniu z otwartymi szeroko, błyszczącymi oczyma, bezwiednie obgryzając skórki kciuka w nerwowym geście.

– Legenda głosi – ciągnął Janusz – że żołnierz, który wygrał w kości płaszcz Chrystusa, spieniężył go później z dużym zyskiem. Kupiła go kobieta, która podawała się za zielarkę, znachorkę, kogoś w rodzaju szamanki czy też czarownicy. W rzeczywistości była ona kapłanką czarnej magii, która przy pomocy Szatana tchnęła w ten kawał rubinowej tkaniny nie samowitą moc. Przez wieki ta siła rosła, karmiąc się po równo złem generowanym przez ludzi i zanikającą mocą Jezusa. Przesiąknięta była Chrystusową krwią, potem i łzami i dlatego właśnie przedstawiała dla diabła tak wielką wartość. Podanie mówi o tym, że potężne zaklęcie, jakie wypowiedziano nad tkaniną, pozwalało jej gromadzić w swych włóknach grzeszne, a zatem miłe demonom wydzieliny ludzkie, mieszając je ze świętymi kroplami, które wypłynęły z ciała Jezusa. Odpowiednie proporcje jednych i drugich miały w końcu sprawić, że boska moc zostanie do reszty splugawiona i w rękach diabelskiego pomazańca przemieni się w swego rodzaju eliksir generujący zło, podłość i

nikczemność, a dzięki nim będzie mógł narodzić się Książę Ciemności, szatański syn i następca, Antychryst.

– Dobrze, poczekaj, powoli. Co to właściwie ma wspólnego z fragmentem, który mi przeczytałeś, z naszą sprawą? – Klara nie mogła nadążyć za tokiem myślenia Janusza.

– Mówiłaś, że z miejsc zbrodni znikają dywany, tak? Wykładziny w kolorze dojrzałego wina.

– Tak, ale...?

– Jeden ze świadków zeznał, że wasz mnich odczyniał jakieś tajemnicze rytuały nad szmatką rozłożoną na podłodze, czy tak?

– Myślisz, że...

– Obawiam się, że tak – odpowiedział Janusz, nie czekając, aż Klara sformułuje pytanie.

– Boże... – Klara ukryła twarz w dłoniach. – Jeśli masz rację, to musimy natychmiast coś zrobić! Nie możemy dopuścić, żeby...

– Klaro... – przerwał jej Janusz – obawiam się, że nic już nie możemy zrobić... To nie jest siła, z którą moglibyśmy się równać, kochanie. Jeśli faktycznie jest tak, jak podejrzewam, jeśli szata Chrystusa rzeczywiście istnieje i naprawdę jest w niewłaściwych rękach, to nie ma już dla nas ratunku. Możemy się tylko modlić, Klaro, bo dzień sądu jest naprawdę bliski, a my wcale nie stoimy po stronie zwycięzców...

Zuza wpadła zziębnięta do pokoju hotelowego Klary. Po telefonie od niej nieomal spowodowała karambol, tak się spieszyła, żeby jak najszybciej z nią porozmawiać.

Jechała właśnie w górę alei Armii Krajowej, kierując się do hipermarketu po jakieś większe zakupy, kiedy w jej przepastnej torbie zadźwięczał dzwonek telefonu. Trzymając kierownicę lewą ręką, sięgnęła na siedzenie pasażera i sprawnym ruchem wysypała całą zawartość torby. Wśród niezliczonej ilości śmieci, papierków po gumach do żucia, zmiętych chusteczek higienicznych, luźnych karteczek i paragonów wałało się kilka przydatnych przedmiotów. Zgrabnie odsunęła szminkę, puder i lusterko, z ulgą stwierdzając, że jednak nie zgubiła ulubionego tuszu do rzęs. Wrzuciła na deskę rozdzielczą pęk kluczy i podniosła paczkę papierosów, pod którą leżał wibrujący i mrugający nagłaco telefon.

– Bachleda, słucham – odebrała, nie sprawdzając, kto dzwoni.

– Zuza, to ja.

– Klarka? No, co tam, kochana? – zaszczębiotała radośnie, ale Klara nie dała jej mówić dalej.

– Zuza, posłuchaj, to ważne. Przyjedź do mnie do hotelu. Jak najszybciej, dobrze? To dość nagła sprawa.

– Ale... – Zuza próbowała oponować.

– Żadnych „ale”, Zuza, po prostu przyjedź zaraz. Wiem już wszystko, rozumiesz? Nie ma czasu do stracenia! Jeśli natychmiast czegoś nie zrobimy, to będziesz miała niezliczoną liczbę ofiar, Zuza. – Głos Klary był zdecydowany i nieznoszący sprzeciwu. – O ile w ogóle ktokolwiek ocaleje – dodała smutno.

– Ale...

– Czekam – powiedziała jeszcze Klara i odłożyła słuchawkę.

Zuza, która zbliżała się właśnie do skrzyżowania, niewiele myśląc, nacisnęła z całą mocą na pedał hamulca, zerknęła tylko we wsteczne lusterko i skręciła ostro kierownicę. Samochód szarpnął do przodu i z piskiem opon obrócił się, stając w poprzek ulicy. Kilkanaście wciśniętych do oporu klaksonów obwieściło niezadowolenie innych użytkowników drogi, spowodowane niespodziewanym manewrem Zuzy. Jeden z kierowców, któremu zajęła drogę, wyskoczył ze swojego pojazdu i skierował w jej kierunku kilka nieprzystojnych słów, wspomaganych szerokimi gestami rąk i barków. Zuza, niewzruszona, wrzuciła wsteczny bieg, ustawiła samochód w kierunku, który zamierzała obrać, i dynamicznie ruszyła, zostawiając na jezdni ciemne ślady opon. Kiedy szybko zniknęła z oczu wzburzonych gapiów, myślała już tylko o tym, żeby porozmawiać z Klarą.

Teraz gdy zamykające się za nią drzwi trzasnęły z hukiem, opadła bezwładnie na fotel i próbowała uspokoić przyspieszony oddech. Klara wychodziła właśnie z łazienki i na widok czerwonych wypieków koleżanki bez słowa nalała jej szklankę wody. Zuza opróżniła ją duszkiem, wypuściła głośno powietrze i zwróciła się do Klary:

– Przepraszam, że tak bez pukania, ale chyba się mnie spodziewałaś – bardziej oznajmiła, niż spytała.

Klara uśmiechnęła się niewyraźnie. Wyglądała na poważnie zmartwioną. Nie podejrzewała, że wizyta u Janusza przebiegnie w taki sposób. Wszystkie scenariusze, które analizowała, zanim przestąpiła próg jego mieszkania, były raczej ponure, ale ten, który faktycznie się wydarzył, przeszedł w tej materii jej najśmielsze oczekiwania. Kierując się w stronę placu Daszyńskiego, miała nadzieję, że wróci od Janusza lżejsza o jedną, wielką tajemnicę, na której temat do tej pory rozmawiała tylko z Zuzanną. Zamiast tego, on obciążył ją inną, niewspółmiernie większą, która do tego mogła zaważyć na losie wielu ludzi. Już sama historia, którą jej opowiedział, była dla niej wystarczająco trudna do zniesienia. Dodając do tego prawdę o Kościele katolickim, legendę o szacie Chrystusa i w końcu nową interpretację wierszyków mnicha- -

zabójcy, otrzymała koktajl przerażających informacji i prognoz, zdecydowanie zbyt ciężkostrawny, zważywszy na jej odmienny stan. Mimo to trzymała się jeszcze całkiem nieźle, a chłodny prysznic przywrócił jej jako taką równowagę. Teraz musiała tylko przekazać wszystkie istotne fakty Zuzannie i zmusić ją, żeby jak najszybciej podjęła stosowne działania.

– Zuzieńko – zaczęła niepewnie, ignorując wcześniejsze pytanie Zuzy – wiem, jak to zabrzmie. Sama przez dłuższą chwilę nie mogłam w to uwierzyć. Ale postaraj się, proszę, przyjąć do wiadomości to wszystko, co ci za chwilę powiem, dobrze? Zaufaj mi, po prostu mi zaufaj, możesz?

Oniemiała z powodu tego niecodziennego wstępu, Zuza tylko pokiwała głową i odstawiła pustą szklankę na brzeg biurka.

– A, i jeszcze jedno – dodała Klara – nie przerywaj mi i poczekaj, aż skończę mówić.

Najpierw Zuza dostała napadu głośnego, niemal histerycznego śmiechu. Kiedy zdołała się opanować, poblądła gwałtownie i nie zważając na opartą o biurko zaledwie metr od niej Klarę, zapaliła cienkiego, mentolowego papierosa. Wypaliła prawie połowę, wpatrując się w czubki własnych szpilek, zanim się odezwała:

– Klarka, ty tak na poważnie?

Klara tylko w milczeniu skinęła głową.

– Jesteś pewna, że macie rację? Przecież to jakieś szaleństwo! Poza tym, jak ja mam twoim zdaniem powiedzieć o tym Malinowskiemu, jak w ogóle komukolwiek powiedzieć? Jak mam napisać raport? Przecież wyśmieją mnie z miejsca, wezmą za wariatkę! Stracę stanowisko, opinię! Etat stracę, Klara! – wyliczała podniesionym głosem. – I wyląduję w Tworkach... – dodała już całkiem cicho, zaciągając się głęboko i ponownie popadając w odrętwienie.

– Zuza, ja wiem, to brzmi jak wariactwo, ale spójrz na to obiektywnie. Spróbuj odsunąć na chwilę na bok wszystko to, co do tej pory wiedziałaś na temat Kościoła. Przeanalizuj raz jeszcze, krok po kroku całość tego, co ci powiedziałam, dobrze? Każdy fakt oddzielnie i wszystkie razem przemawiają

jednoznacznie za tym, że mam rację. To nie jest czcze gadanie, Zuza, to są dowody, których nie jesteś w stanie podważyć. – Zrobiła pauzę i wyjęła z dłoni Zuzy tłący się niedopałek. – Ja też nie jestem w stanie, dlatego w to uwierzyłam. A jeśli to wszystko jest prawdą, jeśli Kościół i papieństwo świadomie, bądź nie, zajmują się czarną magią i dążą do zagłady ludzkości, to my, Zuza, musimy coś zrobić. Dlatego, że w twoim mieście zamordowano już czworo niewinnych ludzi, dlatego, że obie wiemy, że będą kolejne ofiary, i dlatego, że wybrałyśmy takie życie, takie zawodowe kariery właśnie po to, żeby odkrywać prawdę i walczyć ze złem. Teraz odkrywamy prawdę, a to, z czym mamy do czynienia, Zuza, to jest właśnie zło – wyraźnie wypowiedziała Klara, akcentując każdą sylabę. – W najczystszej postaci.

W pokoju zapadła martwa cisza, zwielokrotniająca wagę ostatnich słów Klary.

– Dobrze już, dobrze – zreflektowała się Zuza po chwili. – Powoli. Co zamierzasz? Co proponujesz? Od czego powinniśmy zacząć? Mów, Klara, bo ja jeszcze tego nie ogarniam.

Klara usiadła w drugim fotelu i odchyliła do tyłu głowę, rozciągając sztywny od nadmiaru stresu kark.

– Po pierwsze i najważniejsze, policja musi jak najszybciej odszukać tego mnicha. Może od niego dowiemy się czegoś więcej. Może uda nam się ustalić, gdzie i kiedy ma dojść do dopełnienia rytuału i wezwania Antychrysta.

– Jezu, Klara, czy ty słyszysz, jak to brzmi? – wtrąciła się Zuza. – Jakie właściwie mamy dowody na to, że ktoś taki w ogóle istnieje?! Dobra, rozumiem, Kościół nie jest instytucją, za którą się podaje. Jest zły i pozostaje w sprzeczności z Biblią. OK. Co dalej, czarna magia? Mogę się zgodzić, bo przedstawiłaś mi wystarczające dowody dla poparcia tej tezy. To wszystko składa się w logiczną całość i daje się gładko przypasować do wiadomości, które podrzucał nam morderca. I wiem, że w tych samych wiadomościach jest mowa o jakiejś ostatecznej zagładzie niewiernych, ale żeby od razu Antychryst?! Klara, to jest dla mnie za dużo...

– A co z legendą o szacie Chrystusa? – Klara wbiła w przyjaciółkę przenikliwy wzrok. – Masz jakieś inne tropy? Coś, co lepiej tłumaczy znikające wykładziny? Po co twoim zdaniem ktoś miałby zabierać z miejsc zbrodni poplamione krwią albo mokre od łez kobierce? I co, do cholery, ten popieprzony mnich robił z czerwoną szmatką w siłowni?! – Zrobiła krótką pauzę, jakby licząc na odpowiedź, a po chwili podjęła spokojniej: – Może wyjaśnienie, które podsunął mi ekspert, jest odrobinę naciągane, brzmi jak wariactwo, ale... naprawdę nie mamy nic innego.

– Nie wiem, Klara. To jest jakieś oderwane od rzeczywistości. Zrozum, znam cię od dziecka i kocham jak siostrę, ale jestem właśnie w trakcie największego i chyba najważniejszego śledztwa w karierze, proszę cię o pomoc i dzięki tobie odkrywam nowe tropy w sprawie. A potem ty jedziesz do jakiegoś swojego eksperta i przywozisz od niego rewelacje o satanistach i Antychryście!

– To nie jest „jakiś” ekspert, Zuza, to... – zatrzymała się na chwilę, jakby rozważając, czy powinna wypowiedzieć to imię. – Rozmawiałam z Januszem.

Zuza była więcej niż zaskoczona. Wyglądała, jakby ta wiadomość poruszyła ją znacznie bardziej niż wszystkie poprzednie informacje przekazane jej tego popołudnia.

– Mówisz serio? – spytała z szeroko otwartymi oczyma.

– Tak, poszłam do niego, bo nikt inny nie przychodził mi do głowy. Chciałaś znać odpowiedzi. Potrzebowałyśmy kogoś, kto jest biegły w Piśmie, w naukach Kościoła. Ktoś, kto spojrzy na twoje śledztwo obiektywnie, bez zarzekania się, że mordercą na pewno nie jest nikt z duchownych. Ktoś, kto będzie miał otwarty umysł. Poza tym... – spuściła wzrok – chyba chciałam go zobaczyć...

– Boże, Klara, odeszłaś, bo nie chciałaś być zawsze na drugim miejscu! Nie mogłaś żyć ze świadomością, że poświęcił dla ciebie wszystko to, co kochał, na czym mu zależało. Zesłaś mu z oczu raz na zawsze, żeby mógł wrócić do swojej wiary, do swojego Boga i, przy odrobinie szczęścia, do

swojego Kościoła. Zniknęłaś z dnia na dzień i nawet nie zająknęłaś się o tym, że nosisz jego dziecko! A teraz poszłaś do niego nagle, jak gdyby nigdy nic, i opowiedziałaś mu o śledztwie przyjaciółki?! Tak po prostu?

– Mhm... – przytaknęła Klara, nie podnosząc wzroku.

– I razem wydedukowaliście tę spiskową teorię o Kościele i papieżu, którzy pod przykrywką szerzenia wiary służą Szatanowi! I o Antychryście, który zamierza objąć władanie nad ludzkością! A teraz oczekujesz ode mnie, że uwierzę w te brednie i podporządkuję śledztwo twoim i Janusza domysłom?! Jesteś szalona, Klara!

Zuza była czerwona ze wzburzenia, raz po raz pokrzykiwała gniewnie i niemal unosiła się nad fotelem, w którym siedziała.

– Zuza, Zuzieńko, zaufaj mi, Janusz wie, co mówi. Sama mówiłaś, że część tego faktycznie poparta jest dowodami...

– Teraz myślę – przerwała jej Zuza – że to nie są dowody, tylko jakaś dziwna prowokacja twojego księżulka! A ty jak idiotka dałaś się w to wciągnąć!

– Ja mu wierzę, Zuza. I myślę, że ty też powinnaś. Poza tym, póki co, nie masz nic innego, a naszym zdaniem zostało niewiele czasu.

– Co masz na myśli? – spytała Zuza poirytowana.

– Ostatni fragment tego tekstu, który analizujemy, mówi, że pomoc nam może ledwo zrodzone dziecko. Myślimy... jesteśmy przekonani – poprawiła się – że chodzi o Boże Narodzenie. O Dzieciątko, którego moc jest w stanie uniemożliwić Antychrystowi...

– Dość, Klara! Ani słowa więcej, bo stracę dla ciebie szacunek! – Zuza była poważna i stanowcza.

– Dobrze... – odparła zrezygnowana Klara. – Jeszcze tylko jedno. Ja się z tego nie wycofam, Zuza. Jeszcze nie wiem, co ani jak, ale czuję, że muszę coś zrobić. Czuję, że mamy do czynienia z czymś naprawdę złym i groźnym. I nie mogę koło tego przejść obojętnie. Po prostu nie mogę – głos jej zadrżał, a w oczach zalśniły łzy.

– Jedyna rzecz, której na pewno nie możesz, to zostać tutaj, kochanie. Nawet jeśli masz rację, to nie możesz brać tego na siebie. Nie w twoim stanie.

– Zuza położyła uspokajająco dłoń na kolanie Klary. Przemawiała do niej łagodniej, jakby chciała przejąć na siebie jej zmartwienia. – Wracaj do siebie, Klarka, a tutaj niech się dzieje, co chce. Nie masz na to wpływu. Odwiozę cię, chcesz? Weźmiemy twój samochód, a wrócę pociągiem. Jestem ci to winna za wciągnięcie cię w całą tę sprawę.

– Nie – odparła Klara cicho, lecz stanowczo. – Nie mogę. Nie mogę się od tego odwrócić. Próbowалам, ale...

– Ale co?! – Zuza była już nie tylko zniecierpliwiona, ale wściekła na upór i zaciętość przyjaciółki.

Klara odchyliła się w tył i splatając dłonie na karku wpatrywała się niewidzącymi oczyma w sufit.

– Miałam wizję, przeczucie. Takie samo jak te, które miewалам w dzieciństwie. Takie samo jak te, które miała moja babcia. Nie wiem dlaczego, ale jestem w tym wszystkim ważna. Mam jakiś swój udział. I nie mogę się wycofać. Po prostu nie mogę. – Spojrzała z powrotem na Zuzę, oczekując od niej zrozumienia.

– Dobrze – poddała się Zuza. Westchnęła i głośno wypuściła powietrze. – Wierzę ci.

– Kochana! – Rozpromieniona Klara niemal rzuciła jej się na szyję, ale Zuza powstrzymała ją gestem.

– Czekał – powiedziała oschle i z dystansem – wierzę ci, że to jest dla ciebie ważne. Wierzę, że ta historia cię wciągnęła i że czujesz się w obowiązku wziąć udział w tym polowaniu na czarownice. Rozumiem to i szanuję, ale na mnie nie licz, Klara. Jestem poważnym urzędnikiem państwowym i nie mogę zajmować się podobnymi idiotyzmami, nawet gdy ty mnie o to prosisz. Przykro mi – skończyła, wstając ze swojego miejsca. Podeszła do przygaszonej jej odpowiedzią Klary i chłodno cmoknęła ją w policzek. – Zbieram się, Klarka. Nie miej żalu. Po prostu mam teraz

ważniejsze sprawy na głowie – to mówiąc, skierowała się do wyjścia. Odwróciła się jeszcze od progu i dodała: – Gdybyś chciała jednak wracać, to...

– Wiem, dzięki, ale nie skorzystam. – Klara nie odwróciła nawet głowy w jej stronę. Siedziała dalej w fotelu, skubiąc paznokciami tapicerkę i wpatrując się tępo w pustą szklanę stojącą na biurku.

– Po prostu daj mi znać – dokończyła Zuza i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Tadeusz ocknął się z ekstatycznego omdlenia pośrodku własnej celi, leżąc wprost na zimnej, kamiennej posadzce. Powoli otworzył oczy i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że znajdował się w transie przynajmniej kilkanaście godzin. Na zewnątrz panował dzień. Sądząc z położenia słońca, samo południe. Niebo było bezchmurne i błękitne. Gdyby nie to, że był pewien, iż nie mógłby leżeć tak przez pół roku, pomyślałby zapewne, że za oknem jest środek lata.

Ostrożnie podniósł głowę, aby natychmiast znów ją opuścić. Kark miał zeszywniały, całe ciało obolałe i zmarznięte. Raz po raz wstrząsały nim dreszcze. Głowa ciążyła mu jakby obarczona jakimś balastem, a tępy ból rozsadzał mu czaszkę. Przez chwilę pożałował, że w ogóle otworzył dziś oczy. Przemógł się jednak i szybkim ruchem podniósł się do siadu, obejmując ramionami kolana, żeby utrzymać równowagę. Odruchowo skierował swoje spojrzenie w stronę klatki, jednak w jej miejscu stał teraz ogromnych rozmiarów pojemnik, jakby kielich z rżniętego szkła, zamknięty od góry bogato zdobioną pokrywą. Patrząc na niego, miał wrażenie, że jest ogromny. Nie próbował nawet odgadnąć, jaką też może mieć pojemność, ale nie ulegało wątpliwości, że tego, co znajdowało się we wnętrzu kielicha, może być grubo ponad tonę. Ani przez chwilę nie zaprzętał sobie głowy tym, w jaki sposób ten monstrualnej wielkości kielich mógł pomieścić się w jego ascetycznej celi. Wiedział, że dla tego, któremu służy, nie ma na tym świecie żadnych ograniczeń.

Oniemiały z zaskoczenia, nie spuszczać wzroku z tajemniczego naczynia, przeszedł od siadu do klęku i pospiesznie odmówił modlitwę. Następnie podniósł się z kolan i z namaszczeniem zbliżył się, aby dokładniej obejrzeć puchar. Szeroka podstawa była gładka i równa, wyglądem

przypominała zamarznąłą tafłę jeziora. Rzeźbiona nóżka, tak gruba, że nie sposób byłoby objąć ją ramionami, przedstawiała ludzkie ciała, splecione w najdziwniejszych pozach. Oczy wszystkich postaci były ciemne i puste, a usta otwarte szeroko, jakby w krzyku. Powyżej, znacznie wyżej niż na poziomie wzroku Tadeusza, w miejscu, gdzie nóżka łączyła się z ogromną czaszą kielicha, z tłumu ludzkich sylwetek wyłaniał się Chrystus, który rozciągniętymi na krzyżu ramionami podtrzymywał ciężar czary. Tadeusz powoli wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął rzeźbionego szkła. Natychmiast jednak cofnął się jak oparzony i z przerażeniem wpatrywał się w opuszki własnych palców. Spodziewał się, że kryształ będzie zimny i surowy, ale ku jego zdumieniu, kiedy dotknął jednej z wyrżniętych w nim postaci, miał wrażenie, jakby dotykał żywej osoby. Pod palcami poczuł miękkość skóry i sprężystość ciała. Mógłby przysiąc, że w tych realistycznie wyrzeźbionych żyłach płynęła najprawdziwsza krew, a z rozwartych ust wydobywał się autentyczny krzyk.

Zrobił kilka kroków w tył i odchylił kołnierzyk habitu. Nie czuł już zimna, przeciwnie, zrobiło mu się gorąco i nieswojo. Głośno przełknął ślinę, potarł dłonią szczękę i z pewnej odległości raz jeszcze spojrzął na kielich. Postaci nadal trwały w bezruchu. Teraz jednak jego uwagę przykuła czasza kielicha, a właściwie to, co znajdowało się w środku. Klarowna, ciemnoczerwona ciecz wypełniała czarę po brzegi. Nie stała jednak w miejscu, tak jak powinna, zważywszy na nieruchomość naczynia. Wręcz przeciwnie, kotłowała się i bulgotała, jakby była już bliska wrzenia. Migotliwy poblask rozchodził się od niej po całym pomieszczeniu, rzucając krwistą, ruchliwą poświatę rozszczepionego światła.

Kiedy stał tak na wprost olbrzymiego pucharu, kontemplując jego formę i zawartość, ujrzał nagle coś, czego wcześniej nie dostrzegł. Wewnątrz kielicha, w spienionej toni szkarłatnego płynu, znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka wydało mu się bezkształtną, galaretowatą masą. Jednak gdy lepiej się przypatrzył, stwierdził z całą pewnością, że widzi ludzki płód. Teraz wyraźnie dostrzegał drobne kończyny i wąty, niemal przezroczysty korpus dziecięcego

ciała. W przerośniętej czaszce wyraźnie rysowały się oczy i usta. Przez skórę prześwitywały drobne kosteczki i naczynia krwionośne. Nie ulegało wątpliwości, że ten zwinięty kłębek ludzkich tkanek, połączony pępowiną z dnem pucharu, jest żywym organizmem, który w jakiś niewyjaśniony sposób znalazł się tutaj, zamiast powoli dojrzewać we wnętrzu macicy.

– Piękny, nieprawdaż?

Tadeusz drgnął zaskoczony i podświadomie zrobił krok w tył. Rozejrzał się, szukając właściciela głosu, który przed chwilą usłyszał.

– Tu jestem, Tadeuszu.

Głos dobiegał z góry. Tadeusz skierował wzrok w tamtą stronę. Na futrynie ciężkich drzwi celi siedział kruk i końcem dzioba czyścił sobie pióra na torsie.

– To moje dziecko. Mój umiłowany syn, a twój pan. Czyż nie jest piękny?
– spytał raz jeszcze.

– Tak, panie – zgodził się szczerze Tadeusz. – Jest nieskazitelny, doskonały... – urwał, zapatrzony na powrót w kielich i płód, łagodnie unoszący się w czerwonym płynie. Zamyślił się przez chwilę, a na jego twarz wyplłynął błogi uśmiech. – Czy to właśnie...?

– Mhm... – zamruczał z zadowoleniem kruk. – Za każdym razem, kiedy rozkładałaś przed sobą szatę Chrystusa, czerpała ona z grzeszników niezwykle potężną moc. Celowo wyselekcjonowałem ich w taki sposób, aby materia miała szansę przesiąknąć każdym rodzajem występku i nieprawości. Wystarczała krótka ceremonia przeistoczenia, żeby włókna wniknęły w dowolny chodnik czy dywan, a reszty dopełniały zwykłe ludzkie namiętności. Ha, ha! – zagrzmiął gromko. – Czy to nie wspaniałe, że Bóg obdarzył swoje niedoskonałe pomioty wolną wolą i skłonnością do czynienia wbrew niemu? Wystarczy lekko ich popchnąć, aby sami z uśmiechem na ustach czynili zło, brukując tym samym drogę na ziemię dla mojego syna! Ostatniej czwórce musieliśmy trochę pomóc. Na nasze szczęście ludzka psychika jest słaba i skłonna do ulegania sugestiom. Wystarczyło, że spojrzeli pod swoje nogi albo

dotknęli krwistych włókien kobierców, żeby z miejsca wpaść w trans czynienia wszystkiego pod nasze dyktando. – Zaśmiał się ponownie i podjął z entuzjazmem: – Och, Tadeuszu, jak miła jest dla mnie świadomość, że nic już nie stanie na naszej drodze, że zaledwie krok dzieli nas od dnia, w którym on zapanuje nad tym ziemskim światem, a władza jego będzie absolutna i ostateczna! – Zrobił pauzę i wzbił się w powietrze, okrążając pokój, w którym się znajdowali. Przysiadł na brzegu pucharu i z satysfakcją zajrzał do środka.

Tadeusz przywołał w myślach momenty, kiedy inicjował proces przemiany, a potem z zachwytem wpatrywał się w pełzającą wokół tkaninę. Sekundy zajmowało, zanim wtopiła się w podłoże całkowicie, tak że nie sposób było odgadnąć jej pierwotnego kształtu. Tam gdzie to było konieczne, przedstawiał się jako fachura od wykładzin, gdzie indziej po prostu wchodził i wychodził niezauważony. Po wszystkim zabierał skrawek szaty Chrystusa ze sobą i nitka po nitce oddawał nasiąknięte strzępy swojemu panu. Do tej chwili nie wiedział jeszcze dokładnie, co się dalej z nimi działo, jednak kiedy zobaczył wypełnione po brzegi naczynie, zrozumiał, dlaczego kazano mu zbierać kolejno krew, pot i łzy. Domyślał się również, do czego posłużą te fragmenty materii, które miesiącami upychał w tylnej części ołtarza w jasnogórskiej kaplicy.

Z obrzydzeniem przypominał sobie dziesiątki i setki ludzkich istnień, których ostatnie myśli i emocje wstrząsały jego ciałem za każdym razem, kiedy odzyskiwał magiczne włókna ze zbutwiałych kobierców. Kiedy dotykał krwistych przędz, a one wracały do swojego pierwotnego kształtu, odsłaniając przy tym dawne kolory i kształty wykładzin, dywanów i makatek, w jego umyśle pojawiały się strzępy informacji o ludziach, których pochłonęła moc szaty Chrystusa. Nie były to przyjemne doświadczenia, topić się w strachu i trwodze słabych istnień ludzkich, niemal doświadczać ich cierpienia i słyszeć jęki, z jakimi zwracali się o pomoc do Najwyższego, przeczuwając zbliżający się koniec. Na myśl o tym przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Choć cieszył się, że jego trud nareszcie zostanie nagrodzony. Spojrzał raz jeszcze na kielich i rozwijający się w jego wnętrzu zaczątek ostatecznego końca i uśmiechnął się

mimowolnie. Ciepły, czerwony blask kładł się wielkimi plamami na jego twarzy i piersi.

– Jeszcze trzy dni – wyszeptał z uśmiechem i przymknął oczy, grzejąc się w szkarłatnym świetle.

Janusz dreptał w miejscu i obejmował się ramionami, próbując ogrzać wychłodzone ciało. Poprzedniej nocy pojawił się pierwszy tej zimy śnieg, a dziś rano temperatura spadła sporo poniżej zera. Było zimno i wietrznie. Śnieg zamienił się w brudną i śliską masę, przypominającą bardziej zgniły szlam lub bagnisko niż śnieżnobiały puch, którym upstrzone były świąteczne pocztówki. Po ciemnym, groźnym niebie sunęły złowrogo gęste, czarne chmury, nie zwiastując bynajmniej polepszenia pogody. Dzień nie bardzo różnił się od nocy. Słońce, i tak blade i wątle, wydawało się w ogóle nie wschodzić, pozostawiając świat skąpany w ponurym półmroku, jakby w mieszance mgły, łez i smutku. Na wpół zamarznięte kałuże wyglądały jak złowieszcze krater, w których czyhała smolista otchłań nicości i zapomnienia. Smutne szkielety nagich drzew wyginały się w spazmatycznych odruchach, smagane raz po raz podmuchami nieustępliwego wiatru. Gdzieś tam można było dostrzec ciemne ptaki, siedzące rzędem na ogrodzeniach i dachach budynków. Miały główki głęboko powciskane między skrzydła i wyglądały tak, jakby ktoś jednym, pewnym ruchem poprzetrzącał im kruche karki. Jedynie ich ponure pokrzykiwania świadczyły o tym, że nadal żyją.

Ta fatalna atmosfera w żaden sposób nie nastrajała pozytywnie do zbliżających się świąt. Rozświetlone lampkami i ozdobione choinkami witryny sklepów niknęły w szarzyźnie miasta. Dziesiątki roześmianych mikołajów, przemoczonych do suchej nitki i brudnych, wyglądały na mocno sfatygowanych. Janusz przyglądał się im, stojąc na placu Biegańskiego i szukając niecierpliwymi spojrzeniami Klary. Obserwując miejski krajobraz, miał wrażenie, że nie tylko ich dwoje wie o tym, że te święta wcale nie będą ciepłym i radosnym okresem i że dla części mieszkańców mogą okazać się ostatnie.

– Janusz! – wołanie Klary wyrwało go z zamyślenia. Zdyszana i ze zmarzniętymi policzkami zbliżała się do niego tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to dodatkowe kilogramy i śliska nawierzchnia chodnika.

Popatrzył na nią z rozrzewnieniem i fala ciepłych uczuć napłynęła mu do serca. Była mu taka bliska. Ona i dziecko, które z całą pewnością było jego, a o którym wciąż jeszcze nie zdążyli porozmawiać. Z całych sił chciałby, aby zdołali uniknąć najgorszego i nareszcie mogli w spokoju cieszyć się sobą. Przed oczyma miał wciąż roześmiane oblicze Klary, jej włosy rozrzucone w nieładzie na poduszce i oliwkowe oczy, niewyrażające niczego poza bezgraniczną miłością do niego. Wciąż jeszcze nie spytał jej, dlaczego odeszła ani czy zamierzała jeszcze do niego wrócić. Nie znał powodów, dla których z dnia na dzień zniknęła z jego życia, ale był przekonany, że zrobi wszystko, żeby zagościła w nim na nowo. Najpierw jednak musiał zapewnić bezpieczeństwo jej i sobie. A to było możliwe tylko, jeśli uda im się powstrzymać pędzącą machinę zła i nie dopuścić do ziszczenia się diabelskiego planu. Zdawał sobie sprawę, że występują sami przeciwko całym zastępom ludzi Kościoła, ale wiedział też, że nikt inny nie zrobi tego za nich. Musieli znaleźć sposób, żeby przeszkodzić Szatanowi w sprowadzeniu na ziemię Antychrysta. Musieli zdemaskować i zniszczyć ten fałszywy Kościół oraz przywrócić światu prawdziwą wiarę w jedyne Boga. W innym razie życie na ziemi przypadnie, Chrystus nigdy nie nadejdzie ponownie, a ludzie staną się niewolnikami w służbie Księcia Ciemności, teraz i na wieki.

– Długo czekasz? – spytała Klara, odgarniając z twarzy kosmyki potarganych wiatrem włosów.

– Nie, dopiero przyszedłem – skłamał Janusz i objął ją ramieniem. – Chodźmy, na pewno strasznie zmarzłaś.

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu, z pochylonymi głowami. Kiedy skręcili z ulicy Nowowiejskiego w Waszyngtona i uszli kilka kroków, Janusz zaproponował:

– Może tu usiądziemy, co? – wskazał witrynę Sety i Galarety. – Ogrzejemy się trochę. Chyba wybraliśmy złą pogodę na spacer.

Klara zgodziła się skinieniem głowy i weszli do środka. O tej porze w lokalu było prawie zupełnie pusto. Zajęli stolik w rogu, przy oknie. Janusz odwiesił mokre płaszcze i zamówił dwie herbaty i dwie porcje pierogów. Kiedy tylko barman zniknął na zapleczu, pochylił się nad blatem stolika i zaczął bez ogródek:

– Analizowałem znowu naszą sytuację, Klaro. W całym tym proroctwie wskazywano na to, co zostało zrobione, co się stanie, ale także – uniósł w górę palec wskazujący – a może przede wszystkim, dano nam wskazówkę, że możemy tego uniknąć. Oraz, co pewnie ważniejsze, w jaki sposób możemy tego uniknąć. To jest swego rodzaju obietnica, warunek, który, jeśli tylko zdołamy go spełnić, unicestwi plany Szatana.

– Co? O czym ty mówisz, Janusz?

– Popatrz tylko.

Wyjął z kieszeni spodni kartkę, na której odręcznie przepisał cały tekst przepowiedni, a kilka jego fragmentów zaznaczył kolorowymi pisakami. Wskazał jeden z wersów i podjął:

– Spójrz: „To jedno, co pomóc wam może, to ledwo zrodzone dziecko” – odczytał i podniósł oczy na Klarę. – A więc mamy szansę, aby uniknąć najgorszego! Potrzebujemy tylko niemowlęcia!

Klara wpatrywała się w niego oszołomiona. Nie docierał do niej sens słów, które wypowiadał. Junior wiercił się zapalczywie, raz po raz boleśnie trafiając ją w nerkę. Była głodna i zziębnięta. Z całych sił pra gnęła mieć już to wszystko za sobą. W jakiś magiczny sposób po prostu nie wziąć udziału we własnym porodzie ani w ratowaniu tego przeklętego świata. Na domiar złego nie mogła już liczyć na nikogo. Własna matka nie chciała jej widzieć. Zuza, najbliższa przyjaciółka potraktowała ją jak zwykłą wariatkę, a Janusz... Janusz wciąż nie spytał jej nawet o ciążę. Zamiast tego galopował w swoim obłąkańczym amoku, próbując rozwikłać zagadkę końca świata. Nie czekał, aż za nim nadąży, o ile w ogóle uda jej się to zrobić. Znowu była sama i zdana tylko na siebie. Z tą różnicą, że teraz była odpowiedzialna nie tylko za siebie i

dziecko, ale prawdopodobnie za całą ludzkość, a przynajmniej za ludność Częstochowy. Nadal wprawdzie nie miała absolutnej pewności, co do tego, czy ich podejrzenia są słuszne, ale miała przecież swoje wizje. A one nigdy jeszcze jej nie zawiodły. Nie potrafiła ich dobrze odczytać, ale czuła, że bez jej udziału wszystko pójdzie nie tak. Gdyby nie te przeczucia, z czystym sumieniem rzuciłaby to wszystko w cholerę i raz w życiu skupiła się wyłącznie na sobie. Zwłaszcza teraz, kiedy należało jej się to jak nikomu na świecie.

– Ale... – wtrąciła się w końcu – wcześniej myśleliśmy, że w tym wersie chodzi o Boże Narodzenie. Zmieniłeś zdanie co do tej interpretacji? Jak w takim razie powinniśmy to rozumieć? I co masz właściwie na myśli, mówiąc, że potrzebujesz niemowlaka? Właściwie, że potrzebujesz TYLKO niemowlaka!

Barman, który w tym momencie postawił przed nimi buchające misy z pierogami, musiał usłyszeć kilka ostatnich słów Klary, bo zrobił przestraszoną minę i czym prędzej oddalił się w stronę baru. Janusz przełknął ślinę, trochę z rozemocjonowania, a trochę przez smakowity aromat, który owionął jego twarz i wzmógł, i tak dotkliwe, uczucie głodu.

– Księgi mówią, że Antychryst może narodzić się tylko wtedy, kiedy, paradoksalnie, nie sprzyjają mu okoliczności. Żeby objąć władanie nad Ziemią, musi zwyciężyć Najwyższe Dobro, czyli Boga i Trójkę Świętą. Jeśli jego moc okaże się silniejsza, wówczas Pan Bóg musi ustąpić mu miejsca i pozwolić na panowanie nad światem. – Zrobił pauzę, żeby dać Klarze chwilę na przetrwanie jego słów. Po chwili podjął: – Musimy założyć, że najmniej sprzyjającą okolicznością jest dla demona właśnie Boże Narodzenie, kiedy to w sercach wszystkich wiernych Kościoła rodzi się Jezus, bóstwo i uosobienie wszelkich cnót. Jednak Szatan sprowadzi swojego syna w fizycznej postaci, zatem Bóg potrzebuje dla siebie ciała i duszy, którymi mógłby rozporządzać w walce ze złem. Duszy nieskazitelnej, czystej, niewinnej, słowem takiej, która nie zgrzeszyła jeszcze myślą, mową ani uczynkiem, rozumiesz? A ponieważ święci nie istnieją, wydaje mi się, że naszym ratunkiem może być dziecko,

które, jeśli odpowiednio je przygotujemy, będzie w stanie sprostać zadaniu uwolnienia doczesnego świata spod jarzma diabła.

– Co? Co ty mówisz?

– Rozmawiałem z Tobiaszem. – Janusz jakby jej nie słyszał. – Twierdzi, że byłby w stanie odprawić rytuał ognia, żeby wzmocnić siłę nieskalanej duszy noworodka.

– Co takiego?! Ty chyba nie mówisz poważnie?! – Klara była więcej niż zaniepokojona.

– Tylko w ten sposób możemy stworzyć przeciwwagę dla zła, z którym przyjdzie nam walczyć. Poza tym rytuał nie wyrządzi nikomu krzywdy. Jest wprawdzie nieprzyjemny, ale z całą pewnością nie zagraża niczyjemu zdrowiu ani życiu.

Klara nigdy nie widziała takiego obrzędu na własne oczy, ale sporo czytała na ten temat i rozmawiała z ludźmi, którzy zgodzili się w nim uczestniczyć. W skrócie chodziło o to, aby przy pomocy doświadczonego kapłana-mistyka poddać swoje ciało i duszę wewnętrznemu oczyszczeniu poprzez bezpośredni kontakt z pierwotną siłą, jaką jest ogień. Miało to ponoć niesamowity wpływ na moc człowieka i jasność jego umysłu, jednak dla powodzenia całego przedsięwzięcia należało za wszelką cenę doprowadzić je do końca. Nie było to szczególnie łatwe, biorąc pod uwagę rozdzierający ból, jaki towarzyszył wewnętrznej przemianie, wrażenie płonącego ciała oraz odbierające zmysły wizje, których doświadczał oczyszczany. Chętnego do duchowej przemiany umieszczało się pośrodku okręgu ustawionego z płonących zniczy. Wokół jego nagiej, rozłożonej z wyciągniętymi ramionami sylwetki kapłan rysował kształt krzyża. Następnie poprzez odmawianie odpowiednich modlitw i zaklęć otwierał umysł poddanego mu człowieka i rozpoczynał odprawianie egzorcyzmu. Przyzywał na pomoc świetliste duchy, anioły i sam Bóg wie, co jeszcze, a wszystkie one wlewały kolejno swoją moc w otwartą duszę ochotnika. Jego ciało gięło się i wykrzywiało w bezskutecznych próbach walki z ogromną masą świetlnej plazmy. Ogień wznosił się na metr w górę, tworząc w środku kręgu temperaturę trudną do wytrzymania i dym utrudniający

oddychanie. Czerwono-złote blaski wwiercały się w umysł, przywołując halucynacje i zwidy, które z trudem można było odróżnić od rzeczywistości. W końcu narysowany na podłodze krzyż zaczynał parzyć plecy, a nadwyrężone zmysły podsuwały wyobraźni swąd palonego mięsa. Po wszystkim ci, którym udaje się dotrzeć do końca, pozostawali już na zawsze odmienieni, jednak Klara miała poważne wątpliwości, czy owa metamorfoza dokonywała się na korzyść przemienianego czy wręcz odwrotnie.

– Oszalałeś! – wykrzyknęła. – Chcesz próbować egzorcyzmów na dziecku?! Na niemowlęciu?!

– Nie widzę innej drogi, kochanie. – Janusz był lekko podekscytowany, ale spokojny i opanowany.

– Oszalałeś! – powtórzyła Klara. – A skąd niby zamierzasz wziąć to dziecko, co? Ukradniesz? Porwiesz? A może masz jakieś dzieci hodowane specjalnie na takie okazje?

– Niezupełnie. Myślałem o tym, żeby wziąć do siebie na święta któregoś z wychowanków Domu Małego Dziecka. Liczyłem, że mi pomożesz. Zawsze przychylniej patrzą na pary – dodał łagodnym, niepewnym tonem i spojrzał na nią wzrokiem oczekującym aprobaty.

– Ty zwariowałaś! – Klara aż poczerwieniała ze wzburzenia. – Jesteś nienormalny! Chcesz zabrać Bogu ducha winną sierotę z domu dziecka pod pretekstem spędzenia wspólnie rodzinnych świąt Bożego Narodzenia, żeby potajemnie poddawać ją magicznym praktykom, rytuałom i egzorcyzmom?! I co potem? Postawisz to biedne dziecko, wycieńczone psychicznie i fizycznie, pośrodku jasnogórskiej kaplicy, czy gdzie tam uważasz, że pojawi się Antychryst, i każesz mu walczyć na pięści z Szatanem?!

– To nie tak – Janusz próbował się bronić.

– A jak?! Proszę, powiedz mi! – Klara gwałtownie wstała z miejsca, z hukiem przewracając krzesło. – Aaa, już wiem! Może ja powinnam już urodzić, żebyś mógł użyć NASZEGO dziecka do ratowania świata, co?! – Oblizła czubeczką języka pobieleła ze złości wargi. Do oczu napłynęły jej

łzy. – Jesteś chory, Janusz! Żałuję, że w ogóle się do ciebie zwróciłam!
Wypisuję się z tego interesu i nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

– Ale...

– Nie przerywaj mi, jeszcze nie skończyłam. – Szybkim ruchem zerwała płaszcz z wieszaka i narzu ciła go sobie na ramiona. – Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, tak jak nie chcę mieć nic wspólnego z tobą, słyszysz?! Nigdy więcej! – Wykrzyczała w jego stronę, kierując się do drzwi. – Nigdy – dodała jeszcze cicho, kiedy znalazła się na ulicy, a po policzku spłynęła jej łza.

Janusz siedział oniemiały na swoim miejscu i tylko śledził wzrokiem oddalającą się za oknem sylwetkę Klary. Nie rozumiał jej reakcji. Chciał przecież jak najlepiej dla wszystkich. Dla nich, dla dziecka i dla reszty chrześcijańskiego świata. Długo myślał nad tym, co powinien zrobić, a plan, który jej ostatecznie przedstawił, wydawał mu się jedynym słusznym. Swoje zdanie opierał przecież nie tylko na przeczuciach, ale także na rzetelnej wiedzy, którą posiadał w trakcie wielogodzinnych posiedzeń nad mądrymi księgami. Zależało mu na Klarze. Z całych sił chciał być ojcem dla ich dziecka i stworzyć z nimi rodzinę. Jednak było dla niego zupełnie jasne, że żadne z jego pragnień nie może się ziścić, jeśli nie przeszkodzi Szatanowi w realizacji planu zagłady. Klara była ważna, ale teraz musiała odsunąć się na drugi plan. Nawet jeśli od tego miałyby zależeć ich wspólne być albo nie być. Nawet jeśli nie będzie chciała go znać. Był gotowy na tę stratę, bo jego obowiązkiem było przede wszystkim chronić ją i dziecko. Miał nadzieję, że to zrozumie, a teraz zamierzał skupić się wyłącznie na swoim zadaniu.

Pogrzebał widelcem w talerzu z pierogami i wbił wzrok w ścianę, żeby skupić myśli. Najpierw należało zgłosić swoją kandydaturę na rodzica zastępczego. W okresie przedświątecznym nie powinni mu robić problemów, w końcu nikomu nie zależy, żeby małe sierotki spędzały Boże Narodzenie w bidulu. Potrzebował maksymalnie dwuletniego dziecka, najlepiej chłopca, koniecznie ochrzczonego. Czystej duszyczki, która nie poznała jeszcze słodkiego smaku grzechu. Następnie razem z dzieckiem uda się do Tobiasza, żeby odprawić rytuał. Wigilia wypadła nazajutrz, dlatego należało się spieszyć.

Dopił chłodną herbatę, brudne naczynia postawił na ladzie i skinął w milczeniu na barmana, dając znać, że chce zapłacić. Czekał na rachunek,

zerknął na duży zegar wiszący nad półką z wódkami. Dochodziła siedemnasta. Za późno na wizytę u sióstr służebniczek, które prowadziły sierociniec.

„Spróbuję jutro – pomyślał, wychodząc na ulicę. – Albo będę musiał wymyślić coś innego”. – Postawił kołnierz przemoczonej kurtki i skręcił w lewo, w coraz szybciej zapadający zmrok.

Zuza wpadła na komisariat zdyszana i bez zbędnych wyjaśnień minęła kilku funkcjonariuszy, udając się od razu do biura Malinowskiego. Z impetem nacisnęła klamkę i weszła zamaszystym krokiem, stając dokładnie na wprost zdumionego tym zajściem komisarza. Dochodziła dwudziesta trzecia, a on właśnie kończył służbę. Zastała go w momencie, gdy wstał już zza biurka i pakował swoje rzeczy.

– Pani prokurator? Bardzo mi miło, ale czemu zawdzięczam tę niespodziewaną...

– Klara zniknęła! – nie dała mu dokończyć. – Nie wiem, gdzie jest ani z kim, ale musimy ją natychmiast odnaleźć. Jej i dziecku grozi niebezpieczeństwo! Podejrzewam, że to zniknięcie może mieć coś wspólnego z tymi jej podejrzeniami. Nie mówiłam panu, komisarzu, ale wszystko wyjaśnię po drodze. Teraz jedźmy, dobrze? Nie mamy dużo czasu.

Malinowski wyraźnie nie mógł się połapać w jej zbyt szybkiej przemowie. Patrzył na Zuzę okrągłymi oczyma, a milczącymi ustami łapał powietrze, przydając sobie wyglądu średnio rozgarniętego karpia.

– Klara? Dziecko? – wyjąkał w końcu.

– Wasowska, dziennikarka, przecież pan zna – starała się wyjaśnić krótkimi, jasnymi komunikatami. – Z brzuchem – dołączyła obrazowy gest rękoma, co natychmiast rozjaśniło skołowany umysł komisarza.

– Ach, tak, oczywiście, już kojarzę. Ale co z nią?

– Proszę – sięgnęła do wieszaka i podała mu marynarkę. – Opowiem panu po drodze.

Na ulicy usiłowała wyjaśnić mu sytuację.

– Byłam niedawno u Klary, w sprawie tych morderstw, nad którymi

pracowaliśmy wspólnie. Twierdziła, że zna już kilka odpowiedzi, jednak to, co mi ostatecznie przedstawiła, nie nadawało się do zaraportowania i podania do ogólnej wiadomości jako podstawa śledztwa. Bredziła coś o Szatanie, Antychryście, ogólnie o siłach nadprzyrodzonych, więc kazałam jej darować sobie dalsze rozważania i zostawiłam ją w pokoju hotelowym. Miałam nadzieję, że otrząśnie się i wróci do siebie, do Łodzi, a po porodzie, kiedy gospodarka hormonalna jej się ustabilizuje, będziemy się z tych jej wymysłów śmiać. I od tamtej pory właściwie nie miałam z nią żadnego kontaktu. Aż tu dzisiaj, może godzinę temu, dostałam telefon ze szpitala, że Klara jest u nas na porodówce. Na Mickiewicza. Prawdopodobnie miała mój numer gdzieś w dokumentach albo po prostu nie wiedziała, kogo w tej sytuacji powiadomić. Wie pan, ona tutaj nikogo nie ma. Z matką, zdaje się, nie rozmawia, a tatuś dziecka... no, mniejsza o to. W każdym razie zapakowałam się w samochód i jadę do tego szpitala. A na miejscu się okazuje, że Klara zniknęła!

– Jak to zniknęła? Wypisała się? – chciał wiedzieć Malinowski.

– Nie wiem. Nie. Na pewno nie. – Zuza była zdenerwowana. – Z tego, czego się dowiedziałam, wynika, że leżała z bólami, a położna zostawiła ją tylko na chwilę. Kiedy wróciła, łóżko było rozgrzebane, a Klary ani śladu. Szukali w łazienkach, w ubikacjach, wszędzie pusto. Tylko salowa sobie przypomina, że wchodził do niej jakiś facet, ale nie oglądała go dokładnie i nic więcej nie mogła powiedzieć. Musimy ją znaleźć, sami, poza protokołem, zanim będzie za późno. – Zuza popatrzyła błagalnie na komisarza i wpiła długie palce w rękaw jego munduru.

– Pani się domyśla, kto to mógł być? Gdzie ona jest? – Malinowski nie tracił zimnej krwi. – Dokąd powinniśmy udać się najpierw?

– Ach, prawda, nie powiedziałam panu, jestem taka roztrzęsiona. Mam wrażenie, że to wszystko moja wina. Boże... jeśli coś jej się stanie, to... – głos jej się załamał, a do oczu nabiegły łzy.

– Wszystko będzie dobrze, tylko niech się pani uspokoi i mówi wszystko, od początku.

– Bo ona na te brednie nie wpadła tak całkiem sama. Konkretnie, poszła z tą naszą sprawą do jednego księdza, byłego wprawdzie, bo zrzucił sutannę, zdaje się w zeszłym roku. Mniejsza o to. W każdym razie to on jej nakładł do głowy o tym Antychryście i tak dalej, a ona to łyknęła jak pięciolatka.

– I pani myśli, że to on był w tym szpitalu? Mogła z nim wyjść, tak po prostu?

– Tak po prostu pewnie nie, ale... To są tylko moje domysły, ale wydaje mi się...

– Niech pani mówi – ponaglał ją Malinowski.

– Ten ksiądz, Janusz, nie pamiętam nazwiska, jest głęboko przekonany o swoich racjach. Ubzdurał sobie, że Kościół do spółki z Szatanem chcą sprowadzić Antychrysta na Ziemię. Konkretnie do Częstochowy. Konkretnie na Jasną Górę i konkretnie dzisiejszej nocy.

Malinowski ponownie zaczął wytrzeszczać oczy.

– Tak, wiem jak to brzmi – rzekła Zuza, widząc minę komisarza – dlatego wyśmiałam Klarę, kiedy wydzwoniła mnie i zaszczyciła tymi rewelacjami. Ale on ją przekonał, naprawdę. I wmówił jej, że tylko ich dwójka jest w stanie pokrzyżować diabłu szyki. Wszystko to wyczytał rzekomo z tych wskazówek z miejsc zbrodni, które Klara pomagała nam zinterpretować. Dlatego myślę, że mógł ją w jakiś sposób przekonać, żeby wyszła z nim ze szpitala, narażając życie swoje i dziecka, ale w szlachetnej sprawie ratowania świata.

Malinowski wciąż milczał, więc dodała:

– Mam nadzieję... nie wykluczam, że to tylko moje domysły, ale tak czy siak musimy ją znaleźć i doprowadzić na porodówkę, zanim urodzi na tym mrozie i wykrwawi się albo zamarznie razem z dzieckiem. Pomoże mi pan? Wiem, jest Wigilia, a pan już kończy służbę, ale... naprawdę pana proszę...

– Oczywiście, nie ma o czym mówić. – Spojrzał w zamglone oczy pani prokurator i poklepał ją kojąco po ramieniu. – To gdzie najpierw? Do niej? Do niego?

– Ani tu, ani tu. Dzwoniłam już do Granta. Klary nie ma od rana. Dadzą

mi znać, jeśli się pojawi. A u niego byłam, prosto ze szpitala, ale pocałowałam tylko klamkę. Wygląda na to, że musimy pójść od razu tam. – Odsunęła się nieco na bok i ręką wskazała klasztor.

– O Boże... Jest pani pewna? – spytał Malinowski z przestachem. – Wie pani, ile tam będzie ludzi?

– Wiem, ale to jedyne, co mi przychodzi do głowy – odpowiedziała zrezygnowana Zuza.

– Dobrze, zatem jedźmy – zaordynował komisarz. – Nie ma czasu do stracenia.

W głównej nawie kaplicy jasnogórskiej, przed ołtarzem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, kłębiły się tłumy wiernych. Pielgrzymi, którzy przybyli tu specjalnie z okazji świąt, i częstochowianie lubiący oglądać jasnogórską żywą szopkę przy okazji uczestniczenia w pasterce. Razem tworzyli zbitą masę odświętnych zimowych okryć, rozchełstanych pod szyjami z powodu duchoty, jaka zwykle tworzy się w tłocznych miejscach. Przy ołtarzu krzątało się kilku ministrantów w białych, ceremonialnych pelerynach, nałożonych na odświeżone komże. Rozbrzmiał dźwięk dzwonków, oznajmiający rozpoczęcie nabożeństwa, a znad głów zebranych ryknęły organy. Zwarta masa pątników i wiernych zaczęła śpiewać *Wśród nocnej ciszy*. W powietrzu unosił się zapach kadzidła. Fałszujący tłum śpiewał w różnym tempie, inaczej przy ołtarzu, a inaczej z tyłu świątyni, tworząc trudną do wytrzymania kakofonię. Tu i ówdzie dało się słyszeć śmiechy nieskrępowanych podniosłą atmosferą dzieci. Kilkoro wiernych przeciskało się przez zwartą ścianę tłumu, zmierzając w sobie tylko znanych kierunkach. Jeden z mężczyzn co chwilę nerwowo zerkał na zegarek i zniesmaczony przewracał oczyma za każdym razem, gdy jego matka starowinka wydmuchiwała nos w płócienną, sfatygowaną chusteczkę.

W jednej chwili wszystkie światła zgasły, a organy umilkły. Przez kilka sekund wewnątrz sanktuarium pogrążone było w całkowitych ciemnościach. Tłuszcza przycichła i zastygła w bezruchu, by się wzajemnie nie stratować. Posłusznie i w ciszy, jak stado baranów, czekali, aż paulini opanują tę dziwną sytuację i wszyscy powrócą do przerwane go, tuż przed rozpoczęciem, nabożeństwa.

Nagle w ciemności rozbłysło czerwone światło. Najpierw delikatnie, nieśmiało, potem coraz intensywniej. Skonsternowana rzesza wiernych, jeden

po drugim, zadzierając w górę głowy, szukając źródła jaskrawego, krwistoczerwonego światła. Wysoko w górze, u samego wymalowanego we freski sufitu latał ogromny, lśniący czarny kruk. Trzepocząc okazałymi skrzydłami, zataczał kręgi coraz niżej i niżej ponad zebranymi, aż znalazłszy się tak blisko zbitych w jedną, wystraszoną masę głów, że bez trudu mógłby ich dotknąć, poderwał się w górę i na jeden, krótki moment, zniknął wiernym z oczu. Ludzie zaczęli panikować. Jedni próbowali znaleźć drogę do wyjścia, inni wyciągali szyje, żeby dojrzeć w tłumie jakichś kompetentnych przedstawicieli zakonu i dowiedzieć się, co też właściwie się tu dzieje. Zaczęła się ogólna przepychanka, tu i ówdzie podnoszono lekkie okrzyki zniecierpliwienia i gniewu. W tej chwili, korzystając z zamieszania, kruk gwałtownie zanurkował w tłum, porywając w swoje imponujące szpony jednego z pątników. Uniósł go wysoko ponad głowy zebranych, wzniesając podniecone krzyki przerażonego już tłumu. Wbił swoje ostre pazury w szyję i barki pielgrzyma i nie zważając na fontannę krwi, tryskającą z jego przerwanej aorty, przeleciał ze swoją zdobyczą przez całą długość kaplicy, po czym cisnął nią na główny ołtarz niczym szmacianą lalką. Bezwładne ciało mężczyzny opadło z trzaskiem na przykryty białym płótnem ołtarz, który natychmiast pokrył się lepką i ciepłą kałużą krwi. Struchlały tłum rozpierzchnął się na boki. Ci, którzy stali najbardziej w tyle, rzucili się do wyjścia, jednak drzwi zastały zamknięte. Matki zasłaniały swoim dzieciom oczy, szepcząc uspakajające frazesy. Mężczyźni występowali krok przed swoje żony, mimowolnie chcąc osłonić je własnymi ciałami. Grupa staruszek uklękła i wznosząc w górę przerażone oczy, zaczęła się modlić, obracając w palcach różańce.

Wtedy oczom zebranego tłumu ukazał się brat Tadeusz. Ubrany w długą, mieniącą się złotem szatę z naciągniętym głęboko obszernym kapturem, kroczył majestatycznie od strony zakrystii w kierunku spływającego krwią ołtarza. Stał za stołem liturgicznym i wznosił ręce w powitalnym geście, po czym przemówił do spanikowanego tłumu:

– Umiłowani! – zaczął, a w kaplicy ponownie zapadła cisza. – Stoję tu

dziś przed wami, aby uczestniczyć w waszej duchowej przemianie. Dla jednych z was będzie to pierwszy dzień nowego życia w świecie wspaniale urządzonego przez naszego Jedyne Pana. Dla innych, którzy nie doznają zaszczytu oświecenia, ten dzień będzie ostatnią drogą, prowadzącą wprost w otchłań nicości.

Wśród zebranych ponownie wzmożyły się szmery niepokoju. Jakaś kobieta zaszlochała żałością i natychmiast została uciszona przez swojego towarzysza. Ktoś inny próbował wzniecić bunt, wykrzykując w powietrze hasła protestu. Kilka osób z uporem napierało na ciężkie wrota kaplicy, te jednak, dokładnie zabezpieczone przez braci zakonnych po drugiej stronie, ani drgnęły.

– Cisza! – wrzasnął Tadeusz, a jego głos odbił się echem od ścian świątyni.

Ogromny kruk przysiadł na jednym z kryształowych żyrandoli i złowrogo patrzył swoim pustym i ciemnym okiem w dół, na tłumnie zebranych widzów tego ponurego przedstawienia.

– Mówię dzisiaj do was w imieniu naszego Jedyne Pana, który dziś właśnie wspaniałomyślnie obdarzy mnie, was i resztę świata swoim umiłowanym synem. Możecie czuć się wybrani. – Tadeusz zrobił pauzę, dając wiernym czas, aby dotarły do nich jego słowa, a nie doczekawszy się pomruku aprobaty, ciągnął: – Dziś wspólnie będziemy świadkami narodzin Mrocznego Księcia, który nadejdzie w chwale, aby zapanować nad ludzką rasą na ziemi. Wszyscy razem i każdy z was z osobna winien jest oddać należną mu chwałę i cześć. W przeciwnym bowiem razie uznani zostaniecie za przeciwników Jedynej Prawdy i zostaniecie w mękach zgładzeni, a wasze dusze przez wieczność nie zazną spokoju!

Tadeusz kontynuował swoją przemowę, a jego słowa, podkreślane akustyką sanktuarium, nabierały dodatkowego patosu. Zebrani w kaplicy ludzie, do których stopniowo docierała powaga zaistniałej sytuacji, przybierali rozbieżne postawy, począwszy od gorączkowych, acz bezproduktywnych prób ucieczki, aż po całkiem pasywne klęknięcie u pierwszych stopni ołtarza, na którym wykładał obleczony w złoto mnich. Kobiety łkały, kilka z nich

zemdlało, przybyła młodzież maturalna uklękła, wznosząc modlitwy ku niebu. Jeden z mężczyzn wybiegł przed resztę, rzucając się z pięściami na Tadeusza, jednak zanim zdążył go dosięgnąć, w mgnieniu oka powielił los pierwszej ofiary kruka. Skóra jego twarzy, rozerwana na strzępy ostrymi szponami ptaka, wisiała teraz smętnie poniżej ucha, a z rozłupanej czaszki powoli wyciekała budyniowata, krwista papka. Mimo to wśród zebranych nie brakowało takich, którzy zazdrościli mu przykrego losu. Bez wątplenia cokolwiek ich jeszcze czekało, on nie musiał już się tego obawiać. Wszyscy znajdowali się w potrzasku, a ich panika wzrastała z każdą sekundą, pogarszając tylko i tak już beznadziejną sytuację. Powoli opuszczała ich nadzieja, a uradowany kruk karmił się ich strachem i z chwili na chwilę stawał się potężniejszy.

W tyle jednej z bocznych naw kaplicy, w obszernym, zamykanym na czas spowiedzi konfesjonale, leżała Klara. Zaciskając zęby na brudnym gałganku, starała się nie krzyknąć z bólu przy kolejnych skurczach. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że tam jest. W przeciwnym razie mogła stracić życie. Ona i dziecko.

Wszystko zaczęło się niespełna kilka godzin temu, kiedy wracała ze spaceru. Była zmęczona, zmarznięta i wciąż zrozpaczona z powodu wydarzeń poprzedniego popołudnia. Szła powoli w dół ciemnej ulicy. Rzęsisty deszcz skutecznie maskował płynące po jej policzkach łzy. Czuła się zawiedziona i oszukana. Jedyne osoba, która jej pozostała, jedyna, na którą liczyła i którą darzyła bezgranicznym zaufaniem, okazała się bezwzględny maniakiem. Rozumiała wprawdzie, że cel jest szczytny, a Janusz nie kieruje się bynajmniej chęcią zysku czy rozgłosu, ale miała niejasne wrażenie, że za uporem, z którym dąży do osiągnięcia swojego celu, kryje się coś więcej niż tylko altruistyczna chęć ratowania świata. Chciał coś udowodnić, odnieść własne, ciche zwycięstwo nad tymi, którzy zniszczyli mu światopogląd. Chciał przywrócić ład w Kościele rzymskim, zwrócić sobie i wiernym prawo do osiągnięcia zbawienia. Chciał głosić prawdę i nieść Dobrą Nowinę. Chciał być bohaterem, rycerzem Chrystusa, który nie cofnie się przed niczym,

walcząc o jego dobre imię.

Klara rozumiała pobudki, które nim kierowały. Sama zamierzała przecież ratować życia doczesne wiernych, którzy prawdopodobnie byli w wielkim niebezpieczeństwie. Jednak czym innym było poświęcanie własnej energii i zdrowia, a czym innym składanie ludzkiej ofiary z niczego niepodważającego i całkowicie niewinnego dzieciaka. A tym właśnie było dla niej to, co zamierzał Janusz. Chciał narazić zdrowie i życie oraz wykorzystać do własnych celów sierotę. To było dla niej za dużo. Na domiar złego ona i dziecko zostali w planach Janusza zupełnie pominięci. Nie znajdował dla nich miejsca przy sobie, nawet nie zająknął się na ich temat. Ponownie istniało dla niego coś bardziej istotnego niż Klara. Najwyraźniej wciąż nie była dla niego dość ważna, tak samo jak błaha było dla niego ich dziecko. I to bolało ją jeszcze bardziej.

Pogrążając się w ponurych myślach, przysiadła na moment na niskim murku, przy witrynie jednej z cukierni. Otarła rękawem krople deszczu i łzy, spływające jej ciurkiem po policzkach. Potrzebowała tylko chwili odpoczynku, zanim wróci do hotelu, weźmie bagaże i zamówi taksówkę na dworzec. Dziś jeszcze zamierzała znaleźć się w swoim przytulnym mieszkaniu w Łodzi, zakopać się w pościeli i z miską popcornu oglądać Kevina w Polsacie. Na myśl o tym nikły uśmiech przebiegł jej po twarzy.

– Będzie dobrze – powiedziała na głos w stronę swojego brzucha.

Odrobinę podniesiona na duchu podniosła się z miejsca i z przerażeniem spostrzegła, że stoi w kałuży wody. Tym razem nie był to niestety nieprzyjemny incydent z deszczówką. Po nogach ciepłym strumieniem spływały jej własne wody płodowe. W jednej chwili zrobiło jej się gorąco i duszno, za moment niedobrze i znowu gorąco. Przed oczyma miała wirujący obraz ciemnej ulicy i kilku oddalonych od niej przechodniów, spieszących do domów w strugach deszczu z ostatnimi świątecznymi zakupami.

– Boże... – wyszeptała – ja rodzę.

Zrobiła krok do przodu, stając pośrodku chodnika. W zasięgu głosu nie

było nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc.

– Rodzę! Boże, ja RODZĘ! – wykrzyczała na całe gardło i straciła przytomność.

Obudziła się w szpitalu podłączona do jakiejś kroplówki. Szybko zorientowała się, że ktoś musiał zauważyć ją leżącą na ulicy i wezwać karetkę. Z żyły na wierzchu dłoni wystawał jej wenflon, a na brzuchu miała opaskę z urządzeniem mierzącym tętno dziecka. Pod tyłek podłożyli jej kawałek ceraty, wyglądającej jak śliniak dentystyczny, a na piersiach i ramionach miała obrzydliwą, wysłużoną szpitalną koszulę, której ona sama nie użyłaby nawet jako ścierki do podłogi.

W chwili gdy kontemplowała swoje położenie, poczuła skurcz. W tym samym momencie zrozumiała, że przechodzona koszula nocna stanowi ostatni z jej problemów. Wrzasnęła z bólu i już miała przycisnąć czerwony przycisk umieszczony z prawej strony łóżka, ale powstrzymała się, zobaczywszy w drzwiach sylwetkę Janusza.

– To ty? – zapytała z nadzieją w głosie. – Skąd wiedziałeś, że...

– Ćśśś... – Położył jej palec na ustach. – Nic nie mów. Zabieram cię stąd.

– Chyba żartujesz?! – oburzyła się Klara. – Na wypadek, gdybyś jeszcze nie zauważył, ja tu rodzę. Rozumiesz? RODZĘ!

– Chyba ty nie rozumiesz, kochanie. – Mówił cicho i spokojnie, tonem cierplivej niani, uspokajającej niepokornego wychowanka. – Mamy coś do zrobienia, nie uważasz? My dwoje, chociaż właściwie powinienem chyba powiedzieć... troje.

– Oszalałeś! Nigdzie nie idę. Siostro! SIOSTRO! – zawołała, ale Janusz zamknął jej usta dłonią.

– No to cię zaniosę albo jeszcze lepiej, zawiozę. – Janusz wydawał się zupełnie opanowany. – Zrozum, skarbie, jesteś mi potrzebna. To jak będzie? Hm?

Puścił ją, oczekując najwyraźniej, że zdążyła już zmienić zdanie.

– Siostro! Ratu... – Poczowała mdlący zapach chemikaliów i powtórnie

straciła przytomność.

Ponownie ocknęła się w jakiejś ciemnej, drewnianej budce. Leżała naga wprost na lodowatej posadzce. Ręce związane miała nad głową, a na jej opuchniętych przez ciężę nogach siedział mężczyzna jej życia. W kilku wyszeptanych pośpiesznie słowach wyjaśnił jej nowe położenie.

Ponury barak, który początkowo wzięła za jakąś komórkę czy składzik, okazał się konfesjonałem w ka plicy Wniebowzięcia. Wyglądając przez wąskie szpary w ścianach swojego ciasnego więzienia, zauważyła tłum ludzi wypełniających całe sanktuarium. W pierwszej chwili chciała do nich krzyknąć, ale Janusz uprzedził ją, wpychając jej w usta zwiniętą w kłębek szpitalną koszulę.

– Odradzam – odezwał się do niej, używając tego samego co w szpitalu, opanowanego, ciepłego tonu. – Chyba że chcesz, żeby on cię usłyszał.

Klara spojrzała na niego wymownie, a on pośpieszył z odpowiedzią na pytanie, którego, zważywszy na knebel, nie była w stanie zadać.

– Ten mnich, którego z uporem śledziła cała częstochowska policja, stoi właśnie przy ołtarzu i przemawia do zebranego tłumu. Są jego niewolnikami, podobnie jak my. Jeśli nie uda nam się mu przeszkodzić, skończą jako przystawka na stole Szatana. Ich ciała i dusze zostaną złożone w ofierze jako dowód na cał kowite oddanie Kościoła. Ale wierzę, że do tego nie dojdzie. – Uśmiechnął się pod nosem i musnął palcem jej brzuch.

Klara szarpnęła się, nie chcąc, żeby jej dotykał, ale w tej samej chwili jej ciało przeszła fala nieopisanego bólu. Chciała wrzasnąć, ale brudna szmata, którą Janusz zatkał jej usta, pochłonęła jej okrzyk. Żałosna resztką jęku, który zdołał wydobyć się z jej gardła, zniknęła bez śladu w zgiełku generowanym przez tłum.

– Nie jestem lekarzem, ale wydaje mi się, że będzie tylko gorzej – powiedział Janusz, ocierając kciukiem pojedynczą łzę z jej policzka. – Ale nie martw się, kotku, przyjmę poród i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wszyscy tu obecni – wskazał spojrzeniem ludzi stłoczonych na zewnątrz

konfesjonału – bezpiecznie wrócili do domów. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Nie chciałem, żeby to tak wyglądało, ale nie dałaś mi wyboru. Zostawiłaś mnie samego, skazując na niepowodzenie mój plan z zabraniami jakiejś sieroty od siostr służebniczek. A przecież wiedziałaś, że nie ma innej drogi, żeby przeciwstawić się temu, co tutaj widzisz. Ale miłosierny Pan nie zostawił mnie samego. W sekundę po tym, jak odebrałem telefon ze szpitala, zrozumiałem, że to znak. Nasza jedyna, ostatnia nadzieja. – Popatrzył na Klarę z czułością i pogłaskał delikatnie jej włosy, po czym ciągnął:– Dziecko, które wkrótce urodzisz, nie potrzebuje żadnych rytuałów oprócz chrztu. Pan zsyła je nam przedwcześnie po to właśnie, żeby stało się częścią jego wielkiego planu. A my jesteśmy tylko narzędziami w jego rękach. Wierzę, że nie bez powodu skrzyżował kiedyś nasze drogi i pokierował naszymi krokami, tak że dziś ponownie jesteśmy blisko siebie. Mam nadzieję, że rozumiesz, jak wielkie jest zadanie, które nam powierza, i jak bardzo wdzięczni powinniśmy być za łaskę zaufania, jakim nas obdarza. Wyobraź to sobie, Klaro. Sam Bóg pokłada w nas nadzieję. Jesteśmy tutaj po to, żeby wypełniać jego dzieło. A dziecko, które za naszą sprawą przyjdzie na ten świat, uratuje przed potępieniem całe pokolenie wiernych i uchroni świat przed ostateczną zagładą. Czyż to nie wspaniała nagroda dla nas? Właściwie, Klaro – ciągnął – to tobie przede wszystkim powinienem podziękować. Byłaś, jesteś – poprawił się – moim natchnieniem, moją żoną. Przecież to ty zwróciłaś moją uwagę. Gdyby nie ty, być może nigdy nie wpadłbym na to oczywiste, w gruncie rzeczy, rozwiązanie. Sam Chrystus wybrał nas na swoich świadków i apostołów, a także, i może przede wszystkim, na swoich męczenników. Potraktował twoje łono jako bezpieczną przystań dla tego, który zbawi świat. Tak samo jak uczynił to Bóg, dając mu za matkę Maryję. Rozumiesz, Klaro? Chrystus zrobił z ciebie Maryję, a ze mnie nieomal Abrahama, który w imię boże musi poświęcić swego jedyne go potomka. Jesteśmy wybranymi, Klaro!

W trakcie jego przemowy Klara odczuwała kolejne skurcze. Były coraz silniejsze i coraz częstsze. Następowały jeden za drugim, zostawiając jej coraz mniej czasu na wytchnienie przed kolejną falą bólu. Słowa Janusza docierały

do niej jakby zza ściany. Nie wiedziała już, czy to jawa, czy też wszystko to, co jej się przytrafia, jest jakimś koszmarnym snem. Paskudny knebel utrudniał jej oddychanie. W ustach zaschło jej na wiór. W nozdrzach miała zapach duchoty i kadzidła. Całe jej ciało było obolałe, a twarda posadzka nie pozwalała jej ani odrobinę ulżyć sobie w cierpieniu. Nogi poniżej kolan miała całkiem zdrętwiałe. Ciężar Janusza i grube więzy w pęcinach skutecznie odcinały prawidłowy dopływ krwi do jej kończyn. Skurcze wykręcały w nieopisanym bólu wszystkie jej wnętrzności. Czowała, że nie wytrzyma już ani sekundy dłużej. Starła się zasnąć albo skierować swoje myśli w innym kierunku, ale jedyne, o czym była w stanie teraz myśleć, było uwolnienie się od tego cierpienia. Zdołała kilka razy uderzyć potylicą o kamienną posadzkę, mając nadzieję, że straci przytomność, jednak Janusz powstrzymał ją, podtrzymując jej głowę.

– Co robisz?! – krzyknął teatralnym szeptem. – Nie wolno ci! Zabijesz siebie i dziecko!

Klara wyszarpnęła się z jego uścisku i posłała mu najbardziej błagalne spojrzenie, na jakie było ją stać.

– Wiem, skarbie – odezwał się do niej ze współczuciem. – Wiem że ci ciężko, i uwierz mi, że gdybym mógł, wziąłbym to brzemię na siebie. Jednak nasz Pan tak urządził świat, że to kobieta cierpi męki, wydając na świat potomstwo.

Klara nie dawała za wygraną. W niespełna minutowych już odstępach między kolejnymi skurczami próbowała uwolnić się z więzów, mając nadzieję, że jeśli nawet nie uda jej się uciec, to może chociaż ułoży się w nieco wygodniejszej pozycji. Janusz popatrzył na otarcia na jej nadgarstkach i dodał:

– Na pewno ci niewygodnie.

Spojrzał na nią wzrokiem wyrażającym bezbrzeżny smutek i głębokie współczucie.

– Nie mogę ci pomóc – rzekł w końcu. – To dla twojego dobra. Nie

zdołałabyś powstrzymać się od krzyku, a gdyby ktoś nas usłyszał... Sama rozumiesz, że nie mogę...

Klara już nie słyszała tych słów. Mgła przesłoniła jej oczy. Kolejny skurcz nadszedł niespodziewanie, wykręcając jej ciało najpierw do tyłu, a potem z całą mocą w przód. Był silniejszy od wszystkich poprzednich, ale był też zupełnie inny. Zaczęła się ostatnia część porodu. Zaczęło się parcie.

Zuza i komisarz Malinowski biegli wzdłuż komnat klasztoru. Mijali kolejne pomieszczenia, sale, biblioteki i krużganki, ale nigdzie nie było żywej duszy. Dźwięk ich kroków odbijał się echem od murów potężnego gmachu. Zrezygnowani wypadli ponownie na zewnątrz, między zabudowania sanktuarium.

– Gdzie oni są?! – wysapała zdyszana Zuza. – Spodziewałam się tłumów, tymczasem tutaj nikogo nie ma! Żadnych mnichów, księży, pielgrzymów, nikogo!

– Ćśśś! – syknął Malinowski. – Proszę słuchać.

Zuza przystanąła i zaczęła nasłuchiwać. Po drugiej stronie niewielkiego placu od strony głównej kaplicy klasztoru dało się słyszeć wyraźne głosy.

– To tylko nabożeństwo – odparła zrezygnowana. – Zaraz pewnie zaczniesz się pasterka.

– A może tam właśnie powinniśmy się udać? – zaproponował Malinowski i ruszył w stronę, z której dochodził hałas.

Zuza natychmiast podążyła za nim. Szybko przecięli wybrukowany plac i stanęli u wejścia do kościoła. Malinowski odsunął ciężką kotarę osłaniającą wrota do kaplicy. Zuza wyprzedziła go i pchnęła ciężkie wrota. Powoli weszli do komnaty z Cudownym Obrazem. Lampy były pogaszone, tylko sinawe światło latarń wpadające przez uchylone drzwi odbijało się od złotych pokrywających ołtarz z wizerunkiem Madonny.

– Chodźmy – powiedziała Zuza. – Nikogo tu nie ma.

Malinowski uciszył ją gestem i ponownie nadstawił ucha.

– Tam – wskazał palcem drzwi na bocznej ścianie świątyni. – Dochodzi stamtąd.

Drzwi, które pokazał, były przejściem z kaplicy adoracji do bocznej nawy

głównego kościoła.

– Chodźmy – ponaglił Zużę i pierwszy ruszył we wskazanym kierunku.

Kiedy dopadli drzwi, pchnął je, ale nie uchylily się nawet na milimetr.

– Zamknięte?! – spytała Zuza z niedowierzaniem i z całej siły szarpnęła za klamkę.

Drzwi ani drgnęły, wobec czego Malinowski przyłożył do nich ucho, a Zuza przyklękła, spoglądając ciekawie przez dziurkę od klucza.

– Boże... – szepnęli jednocześnie i popatrzyli na siebie z przerażeniem.

Tadeusz uniósł ręce ponad tłumem i zaczął wspólną modlitwę:

– Ojczy nasz, któryś między swemi, święć się imię twoje! Przyjdź królestwo twoje!

– Przyjdź królestwo twoje! – zawołali za nim księży i mnisi, wychodzący kolejno z zakrystii. Powoli wypełnili całą przestrzeń pod ołtarzem, tuż za plecami Tadeusza. W ich błyszczących oczach widać było triumf i pełne podniecenia oczekiwanie na nagrodę, która za chwilę ich spotka. Szykowali się do tego dnia długimi latami. Całe pokolenia zdążyły odejść z tego świata, zanim wszystko zostało przygotowane. Dziś nastał dzień, w którym Pan Ciemności miał ofiarować ludzkość swojemu jednemu synowi i raz na zawsze zapanować na ziemi. Ci, którzy byli tutaj obecni, zostali wtajemniczeni w prawdziwą misję Kościoła tuż po przyjęciu święceń i złożeniu ślubów. Inni, mniej godni, byli wtajemniczani znacznie później, kiedy biskup nie miał już wątpliwości co do ich absolutnej wierności. Bywało jednak i tak, że młodzi księży za bardzo zapatrzeni byli w nauki Kościoła i nie sposób było przeciągnąć ich na właściwą drogę. Ci, prawdziwie nieliczni, spychani byli przez swoich pryncypałów do parafii na końcu świata bądź pośrednio lub wprost zmuszani do zrzucenia habitu. Biskupi i papiestwo gotowi byli uczynić wszystko, aby usunąć ze swej drogi każdą, nawet najdrobniejszą przeszkodę. Od wieków nie istniało dla nich nic bardziej świętego niż ścieżka, którą pragnęli kroczyć, aż do ostatecznego zwycięstwa Szatana. Jak wiadomo, cel uświęca środki. A celem tym był rodzący się z

niegodziwości szatański syn.

– Przyjdź królestwo twoje! – powtórzył Tadeusz i odrzucając w tył obszerny kaptur, skrywający do tej pory jego ponure oblicze, wskazał dłońmi na zebranych.

– Przyjdź królestwo twoje! – usłyszał pojedyncze głosy.

– Przyjdź królestwo twoje! – podejmowały kolejne osoby.

– Bądź wola twoja! – huknął Tadeusz i ponownie wyciągnął ręce w stronę wiernych.

– Bądź wola twoja! – odpowiedział mu zgodny chór dziesiątek i setek głosów.

– Bądź wola twoja! Bądź wola twoja! Bądź wola twoja! – powtarzali po chwili wszyscy zebrani, z ufnością wpatrując się w swojego pasterza.

Kruk obserwował ich z góry, wyczekując odpowiedniego momentu na objawienie. Z satysfakcją wsłuchiwał się w modlitwy swoich nowych poddanych i czuł już słodki smak zwycięstwa. W pewnej chwili wzbił się w powietrze i podfrunął do samej frontowej ściany ołtarza.

– Jak w zaświatach, tak i na ziemi! – zawołał z całą mocą Tadeusz i padł na kolana, spodziewając się tego, co za chwilę nastąpi.

W tym momencie figura Maryi Dziewicy runęła w dół na marmurową posadzkę u stóp ołtarza, a jej połamane fragmenty potoczyły się w stronę martwych ciał leżących pośrodku. Na tle złocień wyobrażających firmament ukazał się kielich, który Tadeusz oglądał w swojej celi. Teraz wydawał mu się jeszcze bardziej okazały, a blask, który od niego bił, raził jego oczy.

Kilka pierwszych rzędów wiernych osłoniło twarze rękoma, spoglądając tylko przez palce na cuda, jakie działy się na ich oczach. Kruk ponownie wzbił się w powietrze, żeby za chwilę przysiąść na miejscu Ducha Świętego u szczytu kompozycji. Z oczu, ust i nosów wszystkich wizerunków na ołtarzu popłynęły strumienie krwi. Po chwili lepki, czerwony płyn sączył się już z setek przygotowywanych przez Tadeusza miesiącami otworów. Cała, wysoka na kilkanaście metrów ściana ołtarza spływała krwią. Szum i bulgot, jaki temu

towarzyszył, brzmiały złowieszczo, niczym nieposkromiony wodospad, mogący zgładzić lub zabrać ze sobą wszystko, cokolwiek spotka na swej drodze. Czasza kielicha pękła z ogłuszającym trzaskiem, wylewając kolejne hektolitry karminowego płynu na zebranych. Tłum zgodnie runął na kolana i w osłupieniu wpatrywał się w niesamowite widowisko. Jedni zamarli w bezruchu, inni kołysali się w przód i w tył, powtarzając uparcie „Bądź wola twoja!”.

Tadeusz patrzył na ludzi zebranych u swoich stóp i nie posiadał się ze szczęścia. Z punktu, w którym się znajdował, wyglądali jak morze kipiącego, czerwono nego błota, jak wiaderko z robakami przeznaczonymi na przynętę. I tym w istocie byli. I tak należało ich traktować. Jak robactwo, które należy poświęcić dla większego dobra.

„A w tym konkretnym przypadku – pomyślał – dla większego zła!” – Roześmiał się na głos i ponownie skłonił głęboko przed swoim panem.

Kruk rozłożył szeroko skrzydła i pierwszy raz tego dnia przemówił do zebranych:

– Otwórzcie swoje umysły, oto bowiem nadchodzi mój syn, a wasz pan. Jego słuchajcie!

W tym momencie ostatnie krople połyskującej mieszanki krwi, łez i potu spłynęły po złotym firmamencie, a oczom wiernych ukazał się szatański syn. Sylwetka dorosłego mężczyzny zwiniętego w pozycji embrionalnej lewitowała w powietrzu, czekając najwyraźniej na odpowiedni moment dla swoich narodzin. W chwili gdy kruk wypowiedział jego imię, rozłożył swoje umięśnione ramiona i wyprostował plecy, odsłaniając przed zebranymi całe swoje oblicze.

Gawiedź zamarła. Antychryst, który właśnie narodził się na ich oczach, wyglądał zupełnie jak Chrystus na świętych obrazach. Miał muskularne, choć szczupłe ciało trzydziestolatka, rozpuszczone, lekko pofalowane włosy do ramion i zarost wokół wąskich, idealnie wykrojonych ust. Kiedy się wyprostował i rozłożył ramiona, przyjął pozycję, w której Chrystus umierał na

krzyżu. Największe zło rodziło się w ten sam sposób, w jaki umarło największe dobro.

Wiedziony ciekawością Janusz opuścił bezpieczną kryjówkę w konfesjonale i obserwował rozgrywającą się na jego oczach scenę. Pod samym ołtarzem zbici w jeszcze ciaśniejszą niż przedtem masę ludzие stali i klęczeli, zahipnotyzowani nietypowym widokiem. Cała podłoga kaplicy była mokra i lepka od krwi. Z nagła ci, którzy znajdowali się najbliżej Antychrysta, zaczęli w pośpiechu zrzucać z siebie ubrania. W oczach mieli obłęd, a na twarzach wymalowane szaleństwo. Wszyscy od stóp do głów wysmarowani byli kleistą mazią, która wciąż nieprzerwanie sączyła się z otworów w ścianie przed nimi. Janusz podszedł kilka kroków i pochylił się zaciekawiony. Chciał dotknąć tajemniczej substancji, przekonać się, czym może być to, co w kilka sekund spętało umysły tych setek ludzi. Nabrał odrobinę płynu na palce i z zadowoleniem podniósł go do ust. Zanim do jego nozdrzy wdarł się metaliczny zapach krwi, poczuł, że zachodzi w nim nieodwracalna przemiana. Odwrócił się jeszcze w stronę Klary i ostatkiem sił krzyknął do niej „Uciekaj!”, po czym natychmiast o niej zapomniał, biegnąc co tchu w stronę swoich nowych braci, swojej nowej rodziny i swojego nowego pana.

Kiedy tylko Janusz opuścił konfesjonał, będąca na skraju wyczerpania Klara wypluła ciężki od własnej śliny i potu knebel. Obiema rękami, które jakiś czas temu uwolnił jej z więzów, złapała się za kostki i nabrała powietrza, żeby wykonać ostatni tego wieczora wysiłek. Nie mogła uwierzyć, że Janusz, jej Janusz, zostawił ją samą właśnie w tej chwili. Przypomniała sobie jego wyrażającą wstręt minę, kiedy zerknął między jej nogi i stwierdził z odrazą, że widać już główkę. Uznał widocznie, że dalej już sama sobie poradzi, bo wyswobodził jej nadgarstki i wyszedł z konfesjonału sprawdzić, co się dzieje w kaplicy.

Poczerwieniała i na chwilę przestała oddychać. Nadchodził kolejny skurcz. Skupiała się tylko na tym, żeby wypchnąć dziecko na świat. Napięła wszystkie mięśnie i zgięła się w pół, pracując z całej siły. Krzyknęła przeraźliwie i opadła

wykończona na twardą posadzkę kaplicy. Było już po wszystkim. Najgorszy ból minął. Odczekała kilka sekund i zaniepokojona ciszą, która wypełniała jej kryjówkę, ostrożnie podniosła się, żeby zajrzeć między swoje zakrwawione uda. Na posadzce u jej stóp leżał jej synek. Pomarszczony i sino-czerwony z wysiłku, wyglądał jak zaśliniona i sfatygowana lalka, którą ktoś rzucił psu do zabawy. Drobnutkie ciało zwinięte było w kłębek, piąstki zaciśnięte, a oczka zamknięte. Przerazona myślą, że nie żyje, złapała go w ramiona i w tej samej chwili rozległ się jego pierwszy, rozdzierający ciszę krzyk. Podniosła się z dzieckiem w objęciach i na chwiejnych nogach wyszła z konfesjonału. Chciała uciec, jak najszybciej opuścić to miejsce. Szła po omacku, powłócząc nogami i jedną ręką trzymając się ściany. Jednak zanim zdążyła ująć kilka kroków, ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Osunęła się w dół, chroniąc ramionami kruche ciało swojego synka.

Tłuszcza zebrana pod ołtarzem całkiem pozbyła się już ubrań. Ich nagie ciała ślizgały się w lepkiej mazi, przenikając się wzajemnie. Pod dyktando swojego pana pielgrzymi i wierni, księża i paulini, zaczęli się nawzajem kąsać, gryźć i dźgać. Poodcinane kończyny plątały się pod nogami tych, którzy w strugach ciepłej krwi, łez i potu, uprawiali seks każdego rodzaju. Wśród kazirodców i wszelkiej maści dewiantów szerzył się gwałt i zgorzenie. Oblicza nowo oświeconych pokrywała coraz grubsza warstwa śliny, krwi i spermy. Bagienko płynów fizjologicznych sięgało im już do łydek, kiedy w atmosferze ogólnej wrzawy usłyszeli płacz niemowlęcia. Ogromna orgia, gdzie między kolejnymi stosunkami jedni bili się, inni urywali zębami krwawe kawałki ciał współtowarzyszy, a jeszcze inni spijali krew z przerwanych tętnic swoich żon i matek, na chwilę zamarła i wszyscy zgodnie zaczęli przesuwać się w stronę dochodzącego ich z końca kaplicy odgłosu. Kiedy byli już całkiem blisko, zatrzymali się, jeden obok drugiego, wpatrując się w nagą, spoconą, raną kobietę z oczyma pełnymi łez. Pochylała się nad swoim lepkiem od krwi noworodkiem, a jej widok sprawiał, że żadne z nich nie mogło się poruszyć.

Kiedy przymknęła oczy, zobaczyła raz jeszcze obrazy ze swoich snów. Widziała swoje dziecko na czele pielgrzymki cierpiących dusz. Widziała siebie, stojącą naprzeciw morza krwi. Otworzyła oczy i w tej samej chwili zrozumiała, co oznaczały jej wizje. Janusz mógł mieć rację. To jej dziecko mogło być tym, kto ma szansę uratować świat. Popatrzyła z rozczuleniem na drobne, różowe ciało, leżące ufnie na jej piersiach. W tamtej chwili cała była miłością. Niezależnie od wszystkiego, przepełniona była szczęściem. Była zdecydowana, żeby uchronić to nowe życie przed całym złem tego świata. Zdeterminowana, aby uciec z nim teraz w bezpieczne miejsce i wychować na wspaniałego człowieka.

Ze łzami szczęścia w oczach podniosła się i spojrzała na otaczający ją tłum. Wszyscy zastygli w bezruchu i zdawali się podziwiać jej synka. Uśmiechnęła się nikle do tych ludzi i poczuła, że wszystko będzie dobrze. Powoli docierało do niej, że właśnie ich ocaliła, że Janusz miał rację, że owoc jej łona, jej ukochany syn ocalił ludzkość przed zeszmaceniem i zezwierzęceniem. Nie rozumiała do końca, jak to się stało, ale w tej chwili nie to było najważniejsze. Potrzebowała pomocy, musiała stąd wyjść i jak najszybciej zgłosić się do szpitala. Z zewnątrz dobiegał ryk policyjnych syren i przeciągłe zawodzenie karetek pogotowia. Pomyślała o Zuzie. Chciałaby mieć ją obok w tej chwili. Na pewno z miejsca zakochałaby się w Juniorze i zorganizowałaby każdą potrzebną im pomoc. Spojrzała znów na dziecko, które tuliła w ramionach, i zdobyła się na kolejny krok. Zachwiała się i przyszło jej do głowy, żeby poszukać oparcia wśród tych, których oboje uratowali od wiecznej zagłady. Podniosła ponownie wzrok i dojrzała szaleństwo we wszystkich obłąkańczo szklistych, wpatrzonych w nią oczach. Z przerażeniem otworzyła usta, ale nie zdążyła już krzyknąć.

KONIEC

Posłowie

Częstochowa, moje rodzinne miasto, jest i zawsze będzie dla mnie jednym z najważniejszych miejsc na świecie. Tutaj się urodziłam, tutaj spędziłam dzieciństwo i wczesną młodość, tutaj zostawiłam przyjaciół i rodzinę. Takie wspaniałe i intrygujące miasto warte jest literackiej historii na miarę *Kodu Leonarda da Vinci* czy *Egzorcysty*. Moja opowieść jest zaledwie próbą stworzenia podobnej wizji. Na ile mi się to udało, ocenią czytelnicy.

Krew, pot i łzy jest w całości fikcją literacką. Wszystkie postaci i wydarzenia zawarte w powieści są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistości jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe. Klasztor jasnogórski prawdopodobnie nie jest siedliskiem demonów, Kościół katolicki prawdopodobnie nie jest w zмовie z Szatanem, a papież najpewniej nie uprawia czarnej magii. Niemniej są na świecie ludzie, którzy wierzą w dużo bardziej nieprawdopodobne scenariusze, i nie możemy im tego odmówić.

Zanim na poważnie zabrałam się za pisanie tej powieści, trafiłam na stronę cuttingedge.org, gdzie znalazłam szalenie inspirujący artykuł, zatytułowany *Traditional Roman Catholic Church proven to be a practice of White Magic Witchcraft – words and symbols tell the story!* Czerpałam z przedstawionej tam wizji pełnymi garściami, filtrując jednak jej treść tak, żeby odpowiadała fabule książki. Tak powstała teoria spiskowa moich bohaterów, nad którą mam nadzieję, jeszcze się zastanowicie.

Podziękowania

Powieść, którą macie Państwo w rękach, nie mogłaby powstać bez udziału kilku bliskich mi osób, którym w tym miejscu z serca dziękuję.

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi za pomysł i inspirację; za to, że wierzy we mnie, wspiera i jest obok zawsze, na dobre i na złe. Bez niego nie byłoby nie tylko tej powieści. Nie byłoby również tej części mnie, która jest zdolna do podejmowania wyzwań i walki z przeciwnościami. Nie byłoby we mnie tej siły, która pozwala sięgać gwiazd.

Dziękuję moim przyjaciołom i pierwszym recenzentom – Marcie i Michałowi – za poświęcony czas, cierpliwość, trzymanie kciuków i wsparcie na drodze do realizacji marzeń.

Dziękuję moim rodzicom za to, że w spokoju wytrzymali do premiery. Mam nadzieję, że przeczytają i się nie zawiodą.

Szczególne podziękowania chciałabym złożyć wszystkim tym, którzy liczyli, że mi się nie uda. Dzięki. Bez Was nie miałabym wystarczająco motywacji do działania.

Carla Mori